ROK XXIV.
Ogólnego zbioru Tom XCVI.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.

1899.

DRUK. i LIT. JANA COTTY,
7. Kapucyńska 7.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 13.

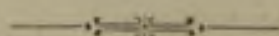
Druk ukończono d. 25 października 1899 r.



KARYKATURY

studyum sceniczne w czterech aktach.

Nagrodzone na konkursie im. Ignacego Paderewskiego, wystawione po raz pierwszy na scenie Teatru miejskiego w Krakowie dnia 8 kwietnia 1899 r.



RELSKI ANTONI
JESZ
ROZBORSKI
WITOLDYŃSKI
RADOWSKI — studenci
STACHOWSKI
LASSOTA
JUROWICZ
KALENICKI
ZOSIA, szwaczka
MATKA ZOSI
WALENTOWA, sąsiadka
MIGDAŁ WOJCIECH, czeladnik
BORKOWSKI, dawniej ziemianin
P. BORKOWSKA, jego żona
STEFANIA, maturzystka
IGNAŚ, uczeń gimnazyalny — ich dzieci.
LAURA, młoda wdowa
JOASIA, służąca Borkowskich.

Między aktem pierwszym a drugim upływa przeszło dziesięć miesięcy.

Działo się w stolicy W. ks. Krakowskiego, królewskiem wolnem mieście Krakowie, w oficynach piętrowych, w realności i domostwie mieszczanina Okręgłowskiego, które to domostwo, na chwałę Bożą, a pożytek ludziom dobrej woli, przez ś. p. dziada Okręgłowskiego mieszczanina przy ulicy Krupniczej wzniesione, numerem siódmym w księgach magistrackich sygnowane; w stancyi i przed jej drzwiami, Antoniemu Relskiemu, żakowi krakowskiej Almae Matris, za komornem miesięcznem 11 guldenów austryackich w srebrze podnajmowanej, — a to w czwartym dniu miesiąca listopada roku od narodzenia Chrystusa Pana 18 dziewięćdziesiątym i szóstym.

....*Pschakrefff kikeriki Kremstange!*

— Nie ma go w domu!

— Lecz duch jego przebywa w samotni, choć ciało krąży wśrod kamiennych szpalerów...

— Właśnje, sądziłem... o tej godzinie miał być.

— Zimno jest. Wywalić podwoje...

— Relskiego niema? Nic nie szkodzi.

— Niee. To nawet pomaga. Jednego kpa mniej.

— Klucz, klucz, klucz!!

— Dawaj!

— Stróż was wyrzuci.

— Albo my stróża.

Chrzęst — weszli. Ciemno. Sześć sylwet majaczy.

— Niech się stanie światłość.

Głośno krzyczące cienie słowami skaczą sobie wzajem przez ramiona myśli: ten jeszcze siedzi na karku sąsiada, następny już goni krzykiem rodzącej się, świat zbawiającej idei.

— Kto ma zapałki?

I stała się światłość, w smukłej o podłogę wspartej lampie, z głową całą w seledynach.

— Zbrodnia! Jaką ten Relski ma lampę!

— Królewski apartament, co?

— Na szezlongu siadać ostrożnie!

— Gryzie sprężynami. Już czuję.

— Witraże! To jest byczy karton! Kiedy machnąłeś?

— Szelma Relski grypsnął mi pejzaż! Ten na prawo.

— Łożnica na cztery kobiety! Tę lornetę mu ściągnę. Co ten idyota w cylindrze chodzi?

— Niee. Składa w nim brudne chustki do nosa.

— Kto z kolegów zdolny będzie milczeć przez pięć minut. pierwszy dostanie czarnej kawy!!

— Tyrania! Właśnje! Protestuję! Wolność słowa, towarzysze!

— Kolego Radowski, jesteście wstrętny i t. d. i t. d. biją się językami purpurowymi: Radowski, Stachowski, Lassota, Jurowicz, Jesz i Witoldyński; kolega Rozborski przeczy ustawicznie.

— Z koniakiem postępować należy bardzo subtelnie.

Tak rzekł Witoldyński.

Koliste, lśniące kieliszki szampańskie zapełniają się wrzącym płynem kawowym. Lotne słowa wirują po komnacie w lekkich tunikach z dymu sinego.

...Ibsen, Gladstone, Munch, Kowalewska, Maeterlinck, Nietzsche, Björnson, Tołstoj, Boecklin, Dostojewski, Strindberg, Bebel, posłowie, dyabolicy, redaktorzy, mistycy, piąta kurya, feministki, palladyści, misogyni, dzień 8-godzinny, dramat parlamentarny z przeskoczeniem foteli, akustyka teatralna, barykada z pulpitów, votum nieufności, pięć absolutów (jeden dymisyonowany), artysta kapłanem—koniak arcykapłanem, jeżeli to wszystko nie skończy się na kobiecie, to jestem gips.

Nie mówiłem?... jest!

. . . .

Rozborski. Niee, niee...

Witoldyński. Zasada: „pater ssemper incertus"!

Jesz. Wstrętne! Zwłaszcza, że Strindberg...

Stachowski. Ty jesteś „wstrętnie" zstrindbergizowany, zdaje ci się, że każdy...

Rozborski. Niee, mówiąc jednak seryo...

Witoldyński. Rozmowa „seryo" jest niedopuszczalna, ohydna filisterska...

Jesz. ...wstrętna. Ale co do tej kwestyi, godzę się ze Strindbergiem.

Witoldyński. ...w każdym razie ko...bieta! Ona tylko jest odpowiedzialna.

Stachowski. Pozwólcież! Ależ...

Lassota na boku do rysującego Jurowicza. No, no—! Ciekaw jestem.

Jurowicz. Zaraz, zaraz. Czekajcie.

Stachowski. ...ależ kwestyę należy rozważyć ze stanowiska mężczyzny, równie dobrze, jak i ze stanowiska kobiety. *Audiatur et altera pars!!*

Jesz uderza pięścią w stół. Sta..nowczo protestuję przeciw wstrętnie trywialnemu powoływaniu się na autorytet sentencyi!!

Radowski. Ha, ha, ha! Ty właśnje jesteś „wstrętnie wspaniały".

Jesz. Tak. Tak jest! To krępuje indywidualną wolność myśli i jest wstrętnie pospolite.

Witoldyński. Oczywiście. Banalne.

Radowski do Jesza. Proszę! Arystokrata. Własnje...

Rozborski drapie się w ucho. Niee, proszę kolegów, ja sądzę, w podobnym wypadku, wina jest obopólna...

Witoldyński. Wina?! Ależ to jest wprost skandaliczne mówić dzisiaj o „winie". Nie macie chyba pojęcia o Nietzsche'm.

Stachowski wstając. Mnie się zdaje, że wy w ogóle o niczem nie macie pojęcia.

Śmiech. Okrzyk: Górą matematyka!

Witoldyński. Protestuję przeciw tak lekceważącemu odzywaniu się o Nietzsche'm!! To jjest...

Stachowski. Ależ nie o Nietzsche'm, tylko o tobie.

Witoldyński. Wszystko jedno.

Stachowski. Brawo!! Niech żyje Witold Nad-nietzsche!

Okrzyk: Hurra!

Jesz. młynek oboma rękami. Jja, sstanowczo muszę zaznaczyć i podkreślić, że podobne wywieranie terroryzmu gromady, wskazuje kolegów, na jednostkę, jest...

Stachowski. Wiemy: wstrętne pospolite atque banalne.

Jesz. Proszę mi nie przerywać. Wprawdzie, ja jestem stanowczo przeciwnym powoływaniu się na autorytety, jednak w obronie wolności, indywidualnej myśli, podnieść muszę, że nikt nie ma prawa komukolwiek zakazywania...

Radowski. ..Lokajstwa myśli. Ha, ha.

Jesz rozwiera, usta chce mówić.

Stachowski. Zwłaszcza, gdy sam preopinant szacowny przed sekundą podjął krucyatę przeciw autorytetom, mimo, iż ciągle powołuje się na Strindbergów i.. i.. Oryginalna logika.

Witoldyński. Gardzę logiką.

Stachowski. Tho zmienia postać rzeczy.

Rozborski. Niee, proszę kole..gów, logika nie jest głupia rzecz.

Radowski. Własnje prosz' kolegów. Ja widz', że dyskusia weszła na niewłaściw' tory. Bo własnje jeżeli mię ktoś cóś zaczyna od kwestyi, czy zasada *pater semper incertus* moży mjeć własnje w pódobnem wypadk uzastósowanie, a potym zajeżdża własnje do lo.giki, to ja musz' własnje prosz' kólegów zwrócić uwagie, że, że, wła.. własnje.. że..

Rozborski. Niee! bo kolego, coś znowu zaczynacie okrążać.

Radowski, krzyknął: Własnje! Ja chcjałbym sobie zastrzedz aby mje ktoś zarzucał, że ja, bo ja własnje mówca nie jestem.. i musz' prosz' kólegów przypomjec, że w panstwie przyszłości...

Stachowski. Ależ, słuchajcie, kolego. My chcielibyśmy wiedzieć, co „w państwie te.raźniejszości!"

Radowski. ..bo, bo, w panstwie przyszłości pódobne kwestye własnje muszą być usunięty i, i, samó panstwo własnje...

Stachowski. ..Delegować będzie specyalne mamki.

Jesz. Wstrętne.

Lassota. Czekajcie.

Jurowicz. Dobrze. Niech sądzą.

Radowski do Stachowskiego. Ja.. ja.. ja..

Lassota głośno. Przepraszam. Proszę o głos w kwestyi nagłej!

Witoldyński. Kawy niema?!

Rozborski. Nie, gdzie Relski?—Wyszedł?

Jurowicz. Ależ proszę kolegów!!

Stachowski. Zapomnieliście, że gospodarza w domu niema. Hahaha! Banda piratów.

Lassota. Idzie o to, czy estetyczniejszy jest akt kobiecy, czy męski!

Krzyk: Kobiecy! Rozumie się.

Jesz na boku. „*Stupides Volk*!!"

Lassota. Przepraszam. Ja jestem sta.nowczo przeciwnikiem. Pokazuje dwa szkice na kartkach, swój i Jurowicza: Proszę, proszę, porównajcie — tu są idealne kontury aktu męskiego, tu kobiecego.

Jurowicz. U kobiety łagodność linii, wspaniałe zaokrąglenia; akt męski brutalnie ciosany...

Jesz leży na łóżku. Kobieta jest Szatana kochanką i dlatego jest wspaniałą w swej moralnej ohydzie.

Lassota do Jesza. Tu chodzi o same linie, kolego!! Ach! do Rozborskiego. Proszę, proszę, porównajcie tylko choćby Venus milońską albo medycej...

Jurowicz. ... Tylko górne pół-aktu.

Lassota. No, no! No to melijską — cały akt; z Appolinem belwederskim: jeżeli macie krztę poczucia estetycznego, przyznacie.

chór: Venus! Venus! Wenera!

Lassota zły. Ależ to jest szczytem kretynizmu literackim łokciem mierzyć każdy rodzaj sztuki! Dlatego, że cały tłum o tradycye oparty, daje pierwszeństwo aktowi kobiecemu.. i to dla czego? Jakie to nizkie! Mężczyźni tworzą opinię estetyczną, całą estetykę: gruby pokład seksualny!

Jurowicz. Hehehe! Prawi, jak stara emancypantka!

Jesz. Wstrętne.

Lassota. Tak jest! Seksualny podkład ma cała dotychczasowa teorya...

Rozborski. Niee, kolego, gdzie czytaliście o tym grubym podkładzie?

Lassota. Pozwólcie. Ale teraz weźcie, weźcie, ot Schneidra np.: czy on wam choć kawałek kobiety pokaże, a mimo to.. przepraszam.. i właśnie dlatego...

Jurowicz. Pi, pi, pi! Dokąd ten zajechał! Ta tu, do dyabła całkiem inny kawał z tym Schneidrem! Schneider...

Rozborski. Niee. Proszę kole.gów, to o tym seksualnym podkładzie nie jest głnpia rzecz. Ale, do Lassoty. uważacie kole.go, to da się jeszcze naprawić: kobiety teraz zaczynają się ru.szać, no to proszę kolegi, one wezmą się do estety.ki, to one, uważacie, kolego, będą z wami. Taak.

Witołdyński. Zaiste stał się „najcudowniejszy cud“: oto wiecznie negujący Rozborski po raz pierwszy w życiu powiedział „tak“.

Rozborski. ...Niee, kole.go. niee.

Witołdyński. Hehe. Do Lassoty. Ale wy z tym seksualnym podkładem... to jest ciekawa rzecz. Ja wam mogę tyle tylko powiedzieć: mógłby ten spór rozstrzygnąć tylko ktoś, co nie zaznał kobiety.

Stachowski. Oczywiście. Czystość wrażenia; bardzo możliwe.

Witołdyński. Hehehe. Kto jest tym mężem, niechaj wynijdzie na forum, aby uczczon był, jako Joseph castus.

Grobowe milczenie.

Jesz. Jeden Antek, zdaje mi się.. tak jest. I dlatego uwielbiam go!

Głosy. Co?! Relski! Hahaha.

Jesz. Tak jest. I będzie wstrętnym w chwili, gdy kobieta w nim pokala niepokalanie poczętą męską duszę. Psst!! Cicho, wskazuje drzwi. *Lupus in fabula!* głosem garsona: Czarna w cienkiej raz!!

Relski wchodzi. A—! grono dostojne!

Chór: Daj czarnej kawy.

Witoldyński. Jeżeli lekcyę dostałeś...

Relski, ucieka, chce mówić, koledzy z Witoldyńskim na czele krążą za nim.

Witoldyński. A jeśli nie dostałeś..

Daj czarnej kawy!

Relski. Dostałem! Pozwólcie...

Relski. ..Jeżeli mam. Wypiliście pewnie!

Daj czarnej kawy!

Relski. Pozwólcie rozebrać się!

Daj czarnej kawy.

Relski. Czekajcie. Hol-la!!!

Lassota. Relski, rozstrzygnijcie..

Jurowicz. Wolicie... akt męski czy kobiecy?

Chór: Czarna w cienkiej raz!!

Relski. Ależ kobiecy! Rozumie się!

Jesz. Wstrętne! Ty, ty tak mówisz?

Relski. Słuchajcie, rycerze! Oto lekcyę dostałem...

Chór: Daj czarną w cienkiej!

Relski. Ale co za facetka — oszaleć!!

Głosy: Kto? Co? Jak?

Relski. Moja uczenica. Borkowska. Maturzystka.

Jesz. Wstrętne.

Rozborski. Niee. Drukujecie. Inteligentna?

Stachowski. Dusza kobiety jest niewiadomą X.

Jesz. ...jeżeli ją w ogóle posiada.

Radowski. Nasza.. nasza..?

Lassota, Jurowicz: Bruneta, blondyna?

Relski. Nie wiem, nie wiem, nie wiem! Tylko oczy, szalone oczy i usta ma!

Ha, dziś we mnie zrodził się mężczyzna.—

Jesz. Stracony! Ach, Satans Buhlerin.

Relski wyciąga ręce. Pragnę, pożądam wpleść dłonie w te płowe loki, na ustach zawisnąć i.. pić, rozkosz pić.. pić!

Stachowski. I stracić przytomność.

Relski. Chachacha! Matematyku trzeźwy! Ja dziś „otrzeźwiałem...“ dziś dopiero przejrzałem!

Książkę, którą miał w ręce, rzuca. Precz szmaty!!

Zagrzebany w bibule, jak mól, żyłem drukiem. A tu, ta harfa drzemała nieczynna, wielka harfa życia.

Jednej struny mi brakło. Dziś mam ją.. mam tę złotą!

Uderzę w nią silnie, przewodniczkę strun chóru, stworzę życia symfonię: orgią tonów zahuczy!!

Jej echem pieśń będzie, pieśń moja rytmiczna. Hurah!!!

Jurowicz. Oszalałeś pan!?

Rozborski. Dla jednej dziewczyny? Niee...

Witoldyński. Ty kochasz ją?!

Relski do Witoldyńskiego: Ach, jak śmieszni jesteście! Oszalałem, oszalałem przez nią jedną dla.. wszystkich. Dziś dopiero poznałem, czem dla mnie może być k o b i e t a. Wszystko jedno, która... jaka.

Radowski. mina kolumbowa. Własnje; prosz' kólegów; ja sądziłbym, że Antóś cóś do druku gotuje.

Relski. Hahaha, boski! Zbawco ludzkości!! porywa Radowskiego w objęcia.

Radowski broni się. Ależ.. dajżeż.. własnje..

Stachowski kręci papieros; bibułki rozsypują się; jedną z nich chwyta w powietrzu.

Relski. Rozkosz chwytać w lot! Tak!!

Stachowski. Bibułka zmięta?

Relski. Więc cóż?

Stachowski. Nic. Marna bibułka cygaretowa.

Witoldyński. Po co to matematykowi siadać na symbole?

Relski. O, matematyko, Kassandrą być chcesz!?

A.. tak wyrwać ją z tej menażeryi! Dalej! jazda „na wyżyny zawrotne... stawiać zamki błękitne”, jak twierdzi pan Solness.

... I że ta dziewczyna zdołała uratować duszę wśród takiej hordy!

... To są okazy! W spirytusie chować i *tournée* po Europie! Powiadam wam, majątek można zrobić. No, ale słuchajcie męże, czemu zawdzięczam gremialne wtargnięcie do mojej samotności?

Chór: Daj czarnej kawy!

Rozborski. Niee.

Jurowicz. Wiecie przecież...

Lassota. Jutro zgromadzenie.

Radowski. Sądzę, nie odmówisz, ja własnje nie wierzę w to, coś ty miał powiedzieć Witoldyńskiemu.

Relski. Co, co, nie rozumiem.

Radowski. Otóż, prosz' ja ciebie, dzisiaj na poufnem zebraniu komitetu naszej paczki, na mój wniosek, zdecydowano się na decyzię, własnje i ja własnje imieniem radykalnej paczki, jako własnje mnie, z uwagi na osobisty nasz stósunek i żebyś ty jutro stanął, jako kandydat naszej paczki. Na prezesa.

Relski. Nigdy!!

Jesz. Dziękuję ci. ściska rękę Relskiego.

Radowski. Antoś! Toż co jest!?

Taż wszyscy faceci! Jednomyślna decyzya!

Jurowicz. Koniecznie. Musicie.

Lassota. Innej rady nie widzę.

Rozborski. Niee, ja sądzę, choćby dla samej opozycyi.

Witoldyński. Oczywista. Nie pozwolić głupocie królować.

Relski. Pozwólcie. Ja ani myślę przyjąć. Wiecie, że wycofałem się od roku blizko. Ja.. prezesem! Dobrze wybraliście się dzisiaj!

Witold. Zaczynasz być trywialnym. Jakieś skromności! Niesmaczne.

Jesz demonicznie. Jja... chchociaż.. dość znoszę Relskiego, oddam głos przeciw niemu.

Relski. Ejże! Gotówbym stanąć, choćby dlatego.

Radowski osłupiały. Ta wszyscy faceci dają tobie votum zaufania.. i ty odmawiasz?!

Jesz. Bo to byłoby wstrętne, gdybyś poszedł w usługi gromady.

Radowski do Jesza. Ja protestuje i odwołuje się do zgromadzenia. To jest szczepienie bakcyla dekadenci na kwestyach społecznych...

Jesz. Wy.praszam sobie używanie podobnej terminologii!

Witoldyński. Kolego Radowski, pozwólcie sobie zwrócić uwagę na to, że tu nie ma „zgromadzenia". Ani nawet posiedzenia brukowej redakcyi. Hehe! *Baccyllus decadentiae.*

Radowski. Tu obrażają moje zapatrywania. Spółeczne. Własnje..

Jurowicz. Zabagniacie sprawę.

Lassota. Relski musi przyjąć. Niema co.

Witoldyński, Rozborski. Musi?! O—!

Relski. Ależ, zlitujcie się, ja nie mam warunków na prezesa. Nie zdolny jestem.

I do tego u studenckiej instytucyi finansowej, w której musiałbym wieść ciężko poważną politykę! Dajcie pokój.

Radowski. Obowiązkiem jest na każdem polu...

Relski. Obowiązkiem!? A, moi drodzy! Dlatego właśnie nie przyjmę. Nie znoszę żadnych kajdan.. nie potrafię! Wolność, nadewszystko wolność mi zostawcie.

Jesz. Tak jest: indywidualną swobodę.

Relski. Albo obowiązki (wielkie czy małe) przyjmuje się i wypełnia — do czego nie jestem zdolny—, albo wcale się ich nie przyjmuje. Skończyłem. Kandydatury nie przyjmę.

Radowski. To ja, prosz' kólegów, muszę skonstatować własnje bardzo smutny objaw. Kompletny zanik poczucia obowiązku względem społeczeństwa.

Jesz. Wstrętne!!! Społeczeństwo nie ma prawa nakładać więzów wbrew woli jednostki...

Witoldyński. Tak, kolego Radowski; zwłaszcza, że to in.dywiduum nie stało się dobro.wolnie cząstką danego społeczeństwa.

Stachowski do Witoldyńskiego. Troszeczkę zagalopowałeś się pan. O ile n. b. idzie o stowarzyszenie.

Radowski. Hańba, własnje! W takich stósunkach musi królować reakcia. W takich stósunkach musi społeczeństwo! Musi gnić. W takich stósunkach musi się dojść do tego, że się własnje za kieliszek absyntu sprzedaje łaski ludu!

Jesz krzyczy: Proszę o głos w nagłej kwestyi absyntu, sprofanowanego niecnym szantażem!!

Radowski. Hańba, hańba! W takich stósunkach dla mnie miejsca niema. Ja nie mogę! Hańba. porywa płaszcz, wychodzi.

Jesz wrzeszczy: Proszę o głos w nagłej kwestyi sprofanowanego...

Lassota. Ależ, Relski, słuchajcie...

Rozborski. Uum. Szkoda, szkoda. Niee.

Relski. Nie, nie, nie!

Jurowicz. Zwyciężą tamci. Relski!

. . . .

Pasmo blado-różowego światła oświeca pokój. Z oddali dochodzi odgłos trąbki pożarnej: stłumiony jęk. Na ulicy rośnie gwar.

Stachowski. Cicho! Słyszycie...

Trąbki pożarnej przeciągły jęk. — Tentent, turkot, gwar.

Jesz z radością dziecięcą. Łuna!!

Zgasił lampę. — Łuna.

Lassota. Na Wiślnej.

Jurowicz. Chodźcie.

Wybiegają.

Witold. Antoś! Chodź.

Relski. Zostaję.

Jesz w pogoni. Rreinculturen von Typhus und Cholerabaccyllen!!

Milczenie.

Purpurowa łuna zalewa pokój. Po bruku ulicznym dudnią beczkowcy pełnym galopem.

Relski sam; o okno wsparty, patrzy się w łunę czerwoną. Twarz poważnieje; jakiś smutek osiada na czole. Westchnienie. Mówi cicho, powoli:

Swiat płonie.
Szalony, biedny świat!
Znów... sygnał trąbki pożarnej,
Ach! piekielny jęk!!

Zrzuca storę: rozświeca lampę.

. . . .

Stachowski wchodzi. Wracam. Ty nie idziesz?

Relski. Po co? Na pożar się gapić?

Pauza.

Stachowski. Wróciłem się, bo widzisz, słuchaj.. Dobrze byłoby, gdybyś wziął kandydaturę. Masz niemal ogólną sympatyę.

Relski. gest niechęci. Mój drogi, przynajmniej ty mógłbyś zrozumieć, że nie mogę. „Ogólna sympatya!" Chcecie mieć we mnie kompromisowego prezesa. Dziękuję.

Stachowski. Ach, skąd kompromis?

Relski. Do licha, nie macie już nikogo więcej?—Zresztą, kompromis nie kompromis, jest mi obojętne, ale dałem sobie słowo, że do żadnych tego rodzaju „honorowych" posług nie pozwolę się używać. Mam dosyć wyborów. Wielkich i małych. Do dziś dnia nie mogę pozbyć się niesmaku po tych brukowo-ideowych świństewkach.

Stachowski. Ha, może masz racyę.

Relski. Nie, ale, ale, — no, ale już dosyć mam. Niech teraz inni.

Pauza.

Napijesz się ze mną?

Stachowski. Dobrze.

Piją.

Stachowski. Antek... Hm. Nie masz monety? Potrzeba mi 6 zł.; 5 brakuje do czesnego.. uwolnili mnie do połowy. Jutro ostatni termin.

Relski. Hehe! Wieczna, nieśmiertelna kwestya! szuka w pularesie 2 guldeny w srebrze, 30 halerzy w niklu, 7 karbowanej miedzi i guzik.

Stachowski. Tę ostatnią monetę daj do muzeum, stary idyoto! Chacha! Prosił dziad dziada... A szewc, kanalia, butów mi nie wyda bez szóstego guldena!

Relski. Co tu zrobić? Borkowskich naciągnąć na zaliczkę zaraz drugiego dnia nie idzie. Zwłaszcza, że się im postawiłem po dżentelmeńsku. Hm. Ale hej, psst, jest! Dwie poduszki piekielny luksus. Sprowadź żydowinę...

Stachowski. Pościel sprzedawać! Tego brakowało.

Relski. Sprzedawać, dopóki nie braknie—jest moją zasadą.

Stachowski. Spać w hotelu „pod Jowiszem", jeść u Lukullusa „raz na widelec", ubierać się w listek figowy...

Relski. ...to będzie moją zasadą. Nie bądźże tak poduszkowo sentymentalny. Furda, mości Stachowski. Patrz w górę; szybuj wzrokiem sokoła po ścianie onej, a natkniesz się na proroctwo urągające Akibie: „Wszystko będzie, mawiał ben Relski."

Gotuję kufer stimungów, kosz sonetów; powiadam ci...

Stachowski. Wiem, wiem. Góry złota, Sahara szlachetnego piasku, i t. d. i t. d.

Relski. Idźże pan, idźże pan, bo pana wytnę. wypycha Stachowskiego. Za drzwi, za drzwi. A żebyś mi się nie ważył wrócić bez mojego mecenasa!

Stachowski. Szpitalna 15.

Relski. To twój. Mój pod 17.

Przez drogę wyłóż mu, że robi majątek na mnie. Ta poduszka i te dwie pary, że się tak wyrażę, pantalonów, po mojej śmierci.

Stachowski. Wiem, wiem. Do British Museum.

Relski. O ile Ameryka nie podkupi. wychylając się za drzwi. Nie zapomnij o rabbim Ben Abuja. Kłaniaj się Mojżeszowi.

. . . .

Przez chwilę stoi w środku pokoju, milcząc.

Ha.. no! Z życiem w zapasy!

W tej chwili z trzaskiem otwierają się drzwi, wpada

Zosia. Zdyszana, śmiertelnie zmęczona opiera się o drzwi. Blada. Oczy błędne.

Relski. Zo... urywa.

Zosia. Stoi, ciężko oddychając. Ogląda się po za siebie; milczy.

Relski. Zosia. Ty tu? Co to...

Zosia. Drzwi! Niech Antoś drzwi zamknie.

Relski. Proszę uspokoić się. Co to znaczy? Proszę powiedzieć.

Zosia. Gonią mnie! Drzwi. Może nie widzieli.. Niech..

Relski, zamyka drzwi.

Zosia osuwa się na kufer obok stojący. Oczy spuszczone, dłonie splecione jakimś ruchem rozpaczliwym. Milczy,

Relski. Niechże coś powie. Choć słowo. Co się stało—?

Zosia zsunęła się na kolana. Panie Antosiu.. niech mnie Antoś struje, albo co.. Ale ja się do domu nie wrócę!!

Relski podnosi ją, sadza na szezlongu. Co zrobi! Co Zosia mówi!

Pauza.

Zosia. Antoś u nas nie był, to nie wie.

A dwa dni w domu nie byłam, ojczym chciał bić, i dwa dni chodziłam. Wieczór, po robocie. I nigdzie nie spałam. A tu iść, wstyd mi było.

Aż i głód, taki straszny głód.

Dzisiaj wróciłam do domu, niema godziny, a ojczym na mnie się teraz porwał.

I mama odratować nie mogła, zbił mnie i mamę ..

Relski. ...Bydlę nikczemne!

Zosia. Ażeby mu tego Bóg w niebie nie darował! Łka. Jakie on do mnie ma prawo?! Ten wächter od złodziejów, a sam zbój, pijanica.

Relski. Ale.. za co, a co, jak?!

Zosia milczy. Nagle rzuca się do nóg Relskiego, łkając, całuje jego rękę.

Relski. Co robisz? Co Zosia robi! wyrywa dłoń.

Zosia. Niech.. mnie Antoś wygoni, to ja pod progiem, jak pies; a na cudze dzieci nie pójdę.

Relski sadza Zosię. Milczenie. Zosia mówi jakby do siebie:

Cóż to ja jestem: ojczym nic, tylko ..ty musisz za niego pójść. musisz. ..Ja ci rozkazuję.. A jakie on do mnie ma prawo? .

Pięcioro dzieci; i stary wdowiec.

Relski brwi marszcząc. K.to?!

— O..on. Co ja się miałam za niego wydać?

Ten wächter. I dom ma swój; to myślał, że se mnie kupi?..

To Antoś nic nie wiedział—?

A ja, to jak do domu od roboty wracałam, to zawsze w okno patrzyłam: czy się u pana Antosia świeci, czy nie.

Pan Antoś do nas nigdy nie przychodził... a mnie się działo już nie wiem co! Ja już całkiem jestem waryatka.

A dziś, to jak mnie ojczym chciał bić, to mnie tak gnało, aż tu.., i jak ślepa leciałam tu, ino tu...

Dreszcz. Z trwogą ogromną:

Antoś mnie nie wypędzi, prawda, panie Antosiu?

Antosiu, prawda...?

Niech pan Antoś o mnie se myśli, co chce, ale ja nie mogłam.

Chciałam se zrobić śmierć, ale jeszcze choć widzieć chciałam Antosia.

Nie.. wy..pędzi...!?

Przytula się do rąk Relskiego.

— Uspokój się, Zosiu, Zosiu!

A-a, zziębła; ręce, jak lód. Zaraz zrobię herbaty. Wstał. Aha, może Zosia wódki; mam trochę koniaku.

Cała mokra! A może Zosia co zje?

— Dwa dni chodziłam sama po robocie i na noc nie poszłam. Bałam się, żeby mnie pod telegraf nie wzieni. A mróz i teraz, śnieg idzie... Niech Antoś się napije tyż, no, niech się pan Antoś napije...

— Dobrze. Pije, nalewa, podaje Zosi.

— A teraz, niech upije trochę z mojego kieliszka...

— Hehe.

— No, proszę ja Antosia. No.

— Ty dziecko. Upił, podał Zosi.

— Jeszcze. Dać.

Relski nalewa jej.

— Cieplej teraz?

— Aha.

— Herbata zaraz. Co Zosia chce jeść; poślę zaraz?

— Nic. Ja teraz nie mogę.

— Albo sam skoczę przynieść.

— Nie, nie! Nie odchodzić.

Cisza. Syk spirytusowego sinego płomienia.

...Co sobie pan Antoś o mnie pomyśli. Zakryła dłońmi twarz. Ale niech!

Bo ja sobie myślałam... że przecież—.

Jak Antoś u nas na stancyi stał. Pamięta Antoś? W gimnazyum. To przecież nie tak dawno. Nie, nie, po co ja to mówię!

— Mów Zosiu, no mów.

Siada obok niej. Kładzie swoją dłoń na jej ręce u kolan splecione.

Pauza.

— A ja wiem, że Antoś śmiać się ze mnie będzie.

A.. nie wie Antoś, haha, jak to się dziwił nieraz, że mu nie braknie tytoniu w tytonierce.—To ja. Coś się tam zrobiło, a musiało być. W nocy nakładłam, żeby Antoś miał zawsze cygara.

A jak Antoś na skrzypcach grał. Ja słuchałam; co ja sobie wtedy myślałam!

Bo, bo przecież ja, chociaż szwaczka, ale i nie z podłej familii.

Ale potem.. pan Antoś od nas poszedł, jak się do egzaminów uczył, a mama się wydała za.. za tego... to Antoś... i cóż ja będę gadać to wszystko!

...Ja wiem, że Antoś tylko śmiać się będzie, a to jest moje nieszczęście.

— Płonę.. goreję..! Wstał.

— Co Antoś mówił?

— Nic, nic, Zosiu, mów, dalej, opowiadaj, mów.

Automatycznie nalewa sobie koniaku.

— Proszę dać jeszcze trochę koniaku.

Daje.

— Dobry koniak. Niech Antoś napije się także.

On pije. Ah! kieliszek rzucił na stół.

— ...A teraz to mnie już wszystko jedno. Niech się dzieje, co chce.

Bo ja.. zawsze.. i ciągle.. i we dnie i w nocy.. myślałam. Potem

wiedziałam, że przecież ja nie dla Antosia.. Chciałam zapomnieć.. a już nic a nic i już nie mogłam — !

— Mów, dalej, opowiadaj jeszcze, jeszcze, mów.

Ona osuwa głowę o jego piersi. Przymruża oczy, cicho, sennie szepcze:

Ale teraz tak ciepło się robi i w głowie tak dziwnie... I tak jest dobrze.. tak dobrze,.. ach! tak dobrze!..

(*d. c. n.*) *Jan August Kisielewski.*



JAROSŁAW VRCHLICKÝ

i jego dramat „Bar-Kochba",

(karta z współczesnej literatury czeskiej).

Rozwój poezyi czeskiej w stosunku do innych gałęzi umysłowości opóźnił się należycie. Przez pewien czas wydawało się nawet, jakoby ów inteligentny i zdolny naród pod względem poetyckim przyroda wielce upośledziła. Studyując historyę literatury czeskiej, z podziwieniem spostrzegamy, jak do połowy wieku XIX dzieje poezyi szczupłe miejsce w niej zajmują.

Pominąwszy wieki średnie z poematami rękopismów Królodworskiego i Zielonogórskiego, w których autentyczność wiara silnie zachwianą została, widzimy prawie zupełny brak poezyi w epokach tak silnego rozkwitu myśli czeskiej, jaki był w wiekach XV i XVI. Nie wtórowała ona ani śmiałym, energicznym dysputom i szczękowi oręża epoki husyckiej, nie było jej nawet w dobie humanizmu, w wieku Odrodzenia. Dwaj rymotwórcy z wieku XVII Mikołaj Daczický i Szymon Lomnický zasługują raczej na nazwę rymodziejów, niż poetów. Boska córa muz nie opłakiwała elegijnym płaczem porażki na Białej Górze, a w dobie upadku nie cieszyła zgnębionych proroczemi przeczuciami powstania z grobu.

Śmiało możemy powiedzieć, że początek zmartwychwstania narodowego rozpoczął się od dziecięctwa poezyi czeskiej. Pierwsi mężowie odrodzenia, Thamowie i Stach, a po nich niebawem Puchmayer, Hnievkovský i bracia Nejedlowie dość szczęśliwie próbowali sił swoich w wierszowaniu, i to w języku, bardzo mało przywykłym do noszenia szaty rymów. Było to jednak dopiero szczebiotanie poetyczne, przeto — nic dziwnego — naiwne, monotonne i w wyższe motywy poetyckie niesłychanie ubogie. Więcej bogactwa i polotu objawił Milorad Polak, twórca jedynego dzieła „Wspaniałość przyrody", od którego zaczął i na którem skończył.

Po tych słabych porywach, jak loty świeżo opierzonego pisklęcia, nastąpił silniejszy rozpęd w następnej generacyi odrodzicieli, jeszcze niecałkiem pewnych tryumfu swojej sprawy, jeszcze trwożliwych o los swego siewu na przyszłość, ale już o wiele głębiej odczuwających ważność i samej sprawy, i dzieła, które budować poczęły ich pilne ręce. Poczet piewców wzrósł w nieoczekiwanej mierze; z udatnymi, mniej więcej, wierszami występowali Kamaryt, Vacek (Kamenický), Vinarzický, Tupý (Jablonský, który pozostawił po sobie pewną ilość wierszy polskich, jako pamiątkę pobytu swego w Krakowie, gdzie znaczną część życia swego spędził i umarł), Vocel, Kalina, Karol Jaromir Erben, twórca nielicznych ilościowo, ale wielce udatnych ballad, Koubek, Langer, Sztulc, a nadewszystko Jan Kollar, piewca wielkiego poematu wszechsłowiańskiego „Córa Sławy", i narodowy pieśniarz Fr. Czelakowský. Postęp był znaczny, ale wielkiego poety, o jakim patryoci czescy marzyli, jeszcze nie było. Tęsknem okiem spoglądano na każdy nowy rokujący nadzieje talent, ale tego oczekiwanego nie pozyskano ani we wcześnie zgasłych, a zapowiadających się niepospolicie poetach, jak Karol Hynek (Ignacy) Mácha i Rudolf Mayer, ani nawet w niepowszednim na swój czas Witiesławie Hálku.

Plejada naszych poetów epoki romantyczno-narodowej, a nadewszystko trójca wielkich wieszczów, niesłychanie imponowała Czechom, podobnie jak i reszcie Słowiańszczyzny, a w pragnieniach każdego patryoty czeskiego było westchnienie „kiedyż się i nam Mickiewicz czeski narodzi!" Rozwój poezyi nie odpowiadał bynajmniej rozwojowi literatury naukowej, która szczególniej na polu dziejowem zrobiła nadzwyczajne postępy. W umysłach rodziło się podejrzenie, że albo Bóg ducha czeskiego pod względem poetycznym upośledził, albo że pierwiastku poetyckiego brakło w żywocie dziejowym i obecnym narodu. Jak przypuszczenie to było płytkiem i bezzasadnem, okazywało się przy bliższem zaznajomieniu się

z przeszłością, gdy wychodziło na jaw, ile momentów, pełnych grozy tragicznej, jakie bogactwo szczegółów, oczekujących ręki artysty, w przeszłości czeskiej się zawiera. Powieści i nowele obyczajowe, szczególniej Bożenny Niemcowej, a po niej o wiele silniejszej talentem Karoliny Swietli dały, poznać poetyczne tajnie żywota wieśniaka czeskiego, tego oracza, który w ziemi ojczystej utrzymał i wypielęgnował skarb nieoceniony, ziarno mowy i ducha narodowego.

Oczekiwani jednak poeci nie zjawiali się. Wprawdzie niemal każdy z nowozaciężnych pracowników literackich rozpoczynał od tego, że „popełnił piosenkę" (*spachál pisniczku)*, ale z tych niesłychanie licznych podlotów stosunkowo słaby bywał rezultat. Ogromna większość piskląt poetyzujących odlatywała na inne pola, nawet często gęsto dawała całkiem literaturze za wygrane, ale ilość talentów poetyckich niepostrzeżenie wzrastała.

Wiadomo, że konstytucya październikowa, której kumem był mąż szczęśliwej ręki, Agenor hr. Gołuchowski, niesłychanie podniosła poziom, i to nietylko polityczny, narodów słowiańskich. Skoro zdjęto z ich bark i piersi tłoczące brzemię ojcowskiego despotyzmu i opieki biuralistycznej, pierś ta, odetchnąwszy swobodniej, pełniej, zawrzała budzącą podziw i głębokie uznanie energią do czynu i działalności. Nową czynnością szczególniej odznaczyli się Czesi, dając podnietę i wzór do dzieła odrodzenia i podniesienia i innym narodom słowiańskim.

W tej to dobie, gdy żywot narodów, podległych berłu Austryi, upływał *inter spem curamque*, wyszła na widownię nowa generacya literatów i poetów. Byli to ludzie, porodzeni na schyłku epoki Metternichowskiej, doby tyle przeklinanego przez ludy ojcowskiego despotyzmu, a wychowani w germanizacyjnych szkołach niemniej smutnej i wstrętnej, na szczęście o wiele krótszej doby Bachowskiej. Młodociane ich oczy poglądały z radosnem zdumieniem na świt nowej ery, która rokowała odepchniętym na stanowisko paryasów ludom słowiańskim i innym nieniemieckim równouprawnienie i przedewszystkiem do szkół średnich wprowadziła języki narodowe. Młode serca zawrzały nowym zapałem, i umysły marzyć i roić niepomiernie poczęły. Nic dziwnego, że w tej epoce młodzież poetyzowała o wiele zawzięciej, niż przedtem.

Aczkolwiek położenie polityczne zarysowało się o wiele gorzej, niż początkowo przypuszczano, postęp świadomości wśród mas przechodził wszelkie najbardziej optymistyczne oczekiwania. Rozbudzający wpływ, a zarazem demonstracyjne znaczenie miały tabo-

ry (mityngi) i uroczystości korporacyjne, odbywające się niemal po wszech zakątkach Czech i Morawy. Szczególniej pamiętną pozostanie uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nowy Teatr narodowy r. 1867, która zaimponowała światu nietylko swoją wspaniałością zewnętrzną, ale jeszcze więcej niesłychanym zapałem i entuzyazmem ludu, zbiegłego ze wszech stron ojczyzny czeskiej. Najwięksi pesymiści przekonali się naocznie, że w niecałe sto lat po pierwszym brzasku odrodzenia naród czuł się tem, czem czuć się powinien, narodem duchowo samodzielnym i świadomym swego stanowiska i celów.

Na uczczenie tego faktu w roku następnym (1868) „Omladina czeska" wystąpiła z almanachem „Ruch", który wychodził przez lat kilka z rzędu i stanowił prezentacyę młodego dorostu poetyckiego publiczności czeskiej. Już w pierwszym roczniku ukazały się próbki poezyi Świętopełka Czecha, i ten niebawem zajął poważne miejsce na Parnasie narodowym. Kółko młodych pisarzy założyło czasopismo tygodniowe, przeważnie beletrystyczne, i nazwało je „Lumirem", zapożyczając tytuł, a po części i kierunek od upadłego już organu beletrystycznego, który pod redakcyą Mikowca, a później Halka, pewną rolę w ruchu literackim był odegrał.

Na kartach tego czasopisma ukazała się r. 1873 nowela „Ptak tęczowy", a za nią cały szereg innych nowel i powieści nowego autora, Juliusza Zeyera, który również dobił się stanowiska górującego w beletrystyce czeskiej, nadzwyczaj oryginalnego — można go bowiem nazwać ostatnim, a snać jedynym dziś w Europie romantykiem.

Wcześniej od Zeyera na arenie literackiej pojawił się najmłodszy z tej trójcy Emil Frida, znany lepiej pod pseudonimem Jarosława Vrchlickiego. I on wystąpił w początkach swego zawodu na kartach „Ruchu", ogłaszał swoje wiersze w „Lumirze" i wraz z innymi współpracownikami tego pisma poczytywany był za „zachodowca" w przeciwieństwie do partyi narodowo-słowiańskiej, na której czoło wypychano Świętopełka Czecha.

Vrchlický, Zeyer i Czech stanowią trójcę poetyczną nowej epoki literatury czeskiej. Wbrew tendencyjnemu wysuwaniu naprzód Czecha nie waham się przyznać pierwszego miejsca Vrchlickiemu za jego siłę talentu, rozległość poglądów i mistrzostwo formy, a również pod tymi względami stawiam wyżej Zeyera nad Czecha.

Jarosława Vrchlickiego poznałem w lipcu 1876 r., a trwałą pamiątkę zawiązania naszego stosunku stanowi egzemplarz „Epických Basni" z własnoręczną dedykacyą i datą 10 lipca 1876 roku. Było

to niemal nazajutrz po zetknięciu się naszem w uprzejmym, gościnnym domu późniejszej jego teściowej, znanej chlubnie w literaturze Zofii z Rottów Podlipskiej. Przedtem doleciała mię tylko głucha wieść o nowym poecie. Informując mię o nowościach literatury, wspomniano o nieznanym mi nowozaciężnym, charakteryzując go jako poplecznika i naśladowcę... Świętopełka Czecha. Przyjąłem był ten sąd z pełną wiarą, nie znałem bowiem zbiorku poezyi p. t. „Z głębin”, inaczej byłbym poznał, jak wielce mylił się szanowny informator. Kilka utworów z owego zbiorku jużby mię było dostatecznie przekonało, że Vrchlický wystąpił odrazu jako niebezpiepieczny współzawodnik piewcy „Adamitów”, witanego takiemi fanfarami uznania i nadmiernych nawet oczekiwań. Zresztą, jeżeli kto po pierwszym zbiorku miał jakąkolwiek pod tym względem wątpliwość, to go pojawienie się „Epických Baśni” zupełnie przekonać musiało, chyba że nie chciał być przekonanym.

Nie zapomnę nigdy tego, jak w kilka dni później prof. Ottokar Prażak, który zawsze nam zazdrościł wielkich poetów naszych i z rozkoszą przysłuchiwał się deklamowaniu wierszy Asnyka, napotkawszy mię na ulicy, zawołał z uniesieniem:

— Mamy nareszcie poetę z Bożej łaski!

— Wiem, wiem — odrzekłem z uśmiechem — nazywa się Frida, a pisze się Vrchlický. Czytam właśnie jego „Poezye epiczne”.

Ze zbiorkiem tym pojechałem do Zagrzebia, dokąd (pozwólcie mi się tem pochlubić) pierwszy zaniosłem imię Jarosława Vrchlickiego. Nieb. August Szenoa niebardzo wierzył w poezyę czeską, dla tego też z pewną nieufnością wziął do ręki poezye, ale zamknął książeczkę z całkiem innem przekonaniem. Z pewnością i bez mego pośrednictwa Chorwaci byliby się zapoznali z wielkim poetą pobratymczego narodu, a jednakże poczytuję to sobie za wielki fawor fortuny, że właśnie moją ręką szczepiłem sławę poety czeskiego na dalekiej ziemi Słowian południowych.

W wielki, niepospolity talent młodocianego wieszcza „z Bożej łaski” uwierzyłem odrazu i rokowałem mu wielką przyszłość, jednakże Jarosław Vrchlický ciągle sprawiał mi niespodzianki. Talent jego rozwijał się w takiej mierze, tak szybko, iż prześcigał najzuchwalsze marzenia, a niesłychana płodność i mnie, i wszystkich wprawiała w zdumienie. Gdy we dwa lata później znalazłem się w Pradze, już mi młody poeta przyniósł w podarunku z dedykacyą „miłemu przyjacielowi” kilka tomów nowych swych utworów takich, jak „Duch i świat”, dwa tomy „Mitów”, „Rok na południu”, a jednak

nie były to wszystkie przez niego wydane zbiorki. Poprostu, jak czarodziej, wiersze wytrząsał z rękawa.

Ile cudownych, rozkosznych chwil winien jestem Vrchlickiemu! Nie umiałbym słowami wypowiedzieć, jak upajało mię nietylko odczytywanie, ale nawet tłómaczenie jego wierszy, szczególniej takich, jak „Sarkofag", „Pitya", „Twarz Judasza", „Amarus", „Lilita". A ileż mu jeszcze zawdzięczam nieocenionych, nieopłaconych złotem ni brylantami wspomnień z osobistych naszych stosunków!

Szczególniej pamiętnymi mi zostaną na zawsze lata 1881 i 1882. Spotykałem w domu Zofii Podlipskiej nietylko przyszłego jej zięcia, ale jeszcze całą gromadę jego przyjaciół, którymi byli Juliusz Zeyer, Józef Sladek, Franciszek Kwapil, rzeźbiarz Mauder oraz brat poety Fryderyk Frida. Trudno uwierzyć, że w narodzie, okrzyczanym tyle ze swej praktyczności, może się znaleźć taki zastęp idealistów najczystszej wody, a między nimi najznakomitszy dzisiaj epigon romantyzmu, jakim jest Juliusz Zeyer.

Vrchlický, Zeyer i Sladek wraz z gromadką popleczników swoich stanowili partyę zwaną „Lumirową" (wydawali bowiem czasopismo p. t. „Lumir"). W dziejach nowego piśmienictwa czeskiego „Lumirowcy" pozyskali sobie osobną kartę, a na niej zapisano, iż z całą energią młodocianą wyprowadzili literaturę czeską z ciasnej uliczki, w którą wpychała ją tendencya wyłączności swojskiej.

Był czas, gdy zapominano, że dzieje Czech są w ścisłym związku z historyą powszechną, że fale ogólnej cywilizacyi przelewały się żywym ruchem przez krainę, w samem sercu Europy leżącą, że w niej żyły, działały i owoc rodziły idee, co przyszły skądinąd, nie, jako obcy wdziercy, tłumiący wszystko swojskie bez litości i względu, ale, jako apostołowie jednej ogólno-ludzkiej cywilizacyi, która w jednych stronach świata idzie śpieszniej naprzód, a potem innych, opóźniających się w pochodzie maruderów pobudza do skuteczniejszej żywszej działalności i owocniejszego żywota.

Z tych dążności wytwarzała się u Czechów, podobnie jak i wszędzie w pokrewnych warunkach, ckliwa sielanka źle zrozumianej swojskości i kompromitujące deklamacye o jakiejś osobnej, odrębnej, nieznanej dotąd światu cywilizacyi słowiańskiej, którą w ustach zapaleńców na zimno, prawiących banialuki o wyższości plemienia słowiańskiego nad wszystkimi ludami i narodami świata, oczekuje wspaniała przyszłość, rozumie się, po upadku... zgniłego Zachodu.

W Czechach, które od czasów Kollarowych mają pretensyę do przodowania na polu tak zwanej wzajemności słowiańskiej, te ciasne, szkodzące więcej, niż pomocne, idee, zrodzone właściwie gdzieindziej, przyjmowały się i rozwijały tak ucieszniе, iż oni sami w końcu uwierzyli, że zrodzili ową samodzielną, wyróżniającą się od ogólno-ludzkiej cywilizacyę słowiańską. Wszelako już w młodszem pokoleniu przebijało się poczucie, że podobna wyłączność, pomimo swej podszewki patryotycznej, jest złudzeniem, że nietylko nie przynosi pożytku, ale jeszcze na śmieszność naraża. Bardzo charakterystyczny wiersz znajdujemy w satyrycznej broszurze „April", wydanej przez młodego naówczas poetę Martinca:

Rzymianie Wirgila,
Grecy Iliadę
Mają, a my Słowianie
Możem mieć... Sławiadę.

Rozbicie muru chińskiego, ściągnięcie ożywczych prądów z literatur obcych, skierowanie umysłów czeskich do wielkich tematów z historyi ogólno-ludzkiej, ujęcie własnych dziejów i własnego stanowiska narodowego w związku z całą ludzkością — wszystko to przypadło niespodzianie w dobie niepomiernego, nieoczekiwanego niemal rozkwitu narodowości czeskiej.

Uniwersalizm stanowi wysoką zaletę literatury niemieckiej; pisarze germańscy uganiają się za tematami po niwach wszystkich ludów, wszelkich czasów, setki dramatów i romansów egzotycznych powstały, jako trwała, niewiędnąca ozdoba ich piśmiennictwa, a jednak któż ośmieli się twierdzić, by to piśmiennictwo nie było nawskroś narodowem, niemieckiem, by Goethe i Szyller przedstawiali się, jako odstępcy od ducha germańskiego dlatego, że jeden napisał „Egmonta" i „Tassa", a drugi „Maryę Stuart" i „Dziewicę Orleańską"?

Uniwersalizm rodzi się zazwyczaj w chwilach dojrzewania narodu. Z ciasnego zakątka, w którym ćwiczył swoje siły na dni męskiego, śmiałego czynu, występuje dzielny, przejęty poczuciem swej siły, rzuca się na bystre fale żywota ogólno-ludzkiego, daje się nieść prądom powszechności, wszechświatowości, sprzykrzywszy sobie kręcenie się w zamkniętem kółku motywów, może najszlachetniejszych, lecz wyczerpanych już, przerabianych wielokrotnie, częstokroć zużytych aż do nudnego oklepania. A jednak nie przestaje być sobą, nie traci skrzydeł, danych sobie od przyrody, zapożyczając się u obcych, tylko rozmachuje je do szerszego i wyższego lotu.

Miłość ludzkości nie jest wyparciem się swojszczyzny, bo własna narodowość stanowi cząstkę wielkiej całości, byle tylko człowiek ukochał w ludzkości to, co wyższe, szlachetniejsze,—prawdę i sprawiedliwość, piękno i dobro. Jedynie niższe umysły, powszedniejsze dusze mogą uniwersalizm mieszać z kosmopolityzmem, który właściwie jest grubym fałszem, bo człowiek, będący obywatelem całego świata, właściwie nie jest niczego obywatelem, a tylko nędznym tułaczem, gotowym przylepić się tam, gdzie mu będzie najlepiej.

W Vrchlickim Opatrzność dała Czechom męża, którego dziwnie bogata natura i cudownie skomplikowana organizacya duchowa odpowiadała wyśmienicie tej potrzebie wyjścia po za ciasne szranki ograniczonych stosunków, potrzebie, jaką naród może nieświadomie, ale niemniej silnie odczuwał. Wrażliwy na wszystko, co piękne, głębokie, wspaniałe, lotny umysłem, przeskakującym z niesłychaną łatwością z jednej dziedziny idei i faktów do drugiej, rozstrzelający się i skupiający wrodzoną zdolnością bez żadnego wysiłku, głęboki, a zarazem subtelny, ulegający łatwo wszelakim wpływom, a nigdy nie poddający się im niewolniczo, ogarniający obszary wiedzy, niby igraszkę, a przytem w każdej rzeczy umiejący dopatrzyć jakiejś strony nowej, nieznanej, nie przeczuwanej nieraz — Vrchlický był, jakby stworzony na to, aby w rozwijającej się powoli, opornie literaturze, sączącej się mnóstwem drobnych strumyków, wytworzyć nową, nowoczesną epokę i samemu stanąć na czele obudzonego przez się ruchu.

Że go nie zrozumiano odrazu, że go niejeden i dzisiaj nie rozumie, a może raczej zrozumieć nie chce, czyż się temu dziwić należy? W historyi krytyki wogóle nierzadkim jest fakt wmawiania w autora tego, o czem mu się ani śniło. W obecnych szczególniej czasach większość krytyków, uważając się za istoty stojące po nad pisarzami twórczymi, czuje się w prawie kapralskiego komendowania działaczami literatury. „Ty masz to robisz, ty tamto....“ tak, a nie tak!” brzmi ciągle do znudzenia w tej kociej muzyce, którą krytyka autorom wyprawia.

Nie rozumiejąc szerokich, rozległych widnokręgów wielkiego poety wmówiono w niego najbezczelniej, że jest bezwarunkowym wielbicielem obczyzny, „ksenolatrą”, jakby powiedział w wieku XVII Križanicz, znany awanturniczy ksiądz chorwacki, protoplasta sławianofilów, który w pogoni za marą swej idei oparł się aż o lody syberyjskie. Zaciekli zwolennicy swojskości z tego powodu oddają berło poezyi czeskiej Świętopełkowi Czechowi. Jeżeli Vrchlický ilościowo nie poruszył tylu motywów czeskich, co Czech, to nie na-

leży zapominać, że obok „Vittorii Colonny", „Narodzin Sakuntali". „Pokuty Don Juana", napisał także „Szarkę", „Krzyż Bożetiecha", że jego „Legenda o św. Prokopie" (patronie ziemi czeskiej) stała się utworem nader popularnym, o czem świadczy kilka jej wydań, między niemi jedno szkolne. Wśród zbiorków jego mniejszych poezyi jest kilka, poświęconych wyłącznie motywom czysto czeskim, jak „Na domaň pudie" (Na gruncie rodzinnym) i „Ballady wiejskie", wśród zamętu jego liryk trafiają się często i takie, które dowodnie świadczą o tem, jak głęboko i podniośle odczuwa poeta kwestye szczero-czeskie. Gdyby osobno zebrać wszystko to, co Vrchlický wysnuł z ojczystego wątka, starczyłoby na przyznanie autorowi tytułu znakomitego poety narodowego.

A jednak byli tacy, którzy bezczelnie podawali w wątpliwość nawet patryotyzm poety! Trzeba chyba albo znać bardzo mało jego utwory, albo nie rozumieć i nie odczuwać ich, aby zdobyć się na podobnie zuchwałą insynuacyę. A toż niejeden drobny wierszyk więcej zapalić może uczucia patryotyczne w rodowitym Czechu albo sympatyę dla sprawy czeskiej w obcym, aniżeli całe stosy broszur i rozpraw lub sążniste poematy, nudnie i chłodno deklamujące o zasługach i cierpieniach narodu. Na poparcie tego pozwolę sobie przytoczyć drobny wierszyk ze zbiorku „Co życie dało", noszący skromny tytuł „Motyw z Krzywoklatu".

Na zamku Krzywoklatskim wchodzę w same cienie;
Gdziekolwiek oko zwrócę, gruzy, spustoszenie,
Wchodzę, gdzie huczna w sali bywała biesiada.
Nagle mi do nóg z gzymsu ptasie gniazdo spada.
Z ścian surowo patrzyli praojców rówieśni.
Wtem oknem z pola wpadły dźwięki czeskiej pieśni,
I śpiew ten brzmiał tak słodko, aż łzy z ócz wyciska,
Że niema śmierci, zguby, zniszczenia, zwaliska!
Gdy zmilknął, bór mu zdala do wtóru zaszumiał,
Ja wpatrzyłem się w gniazdo i wszystkom zrozumiał.
Gdzie niegdyś zbroje dziadów, tam dziś gniazdo ptasie,
Wnuk nową walkę toczy, już w ducha zapasie.
Został śpiew, bohaterów dzieło dalej przędziem,
Tylko wiary! byliśmy, jesteśmy i będziem.
Burzliwe moje serce w tej modlitwie drżało,
Ach, tyle pieśni wysnuć, ile w gnieździe brzmiało!

Jakże gorącem poczuciem narodowem, pragnieniem rozwoju sprawy czeskiej dyszy cudowna „Legenda Krumlowska", pomieszczona w zbiorku „Osty z Parnasu", a osnuta na poetycznem podaniu o Perchcie z Rosenberga, zacnej pani na Krumlowie, wsławionej czynami poświęcenia i miłosierdzia, której fantazya ludowa każe ukazywać się po śmierci jako Białej pani czeskiej.

Jak lud prawi, na Krumlowie — władcy zamku w dziejach znani —
W kurytarzach w noc do świtu błądzi z jękiem Biała pani.
Opiekunka biednych, sierot Perchta, w życiu nieszczęśliwa,
Musi błądzić i narzekać, nawet w grobie nie spoczywa.
Gdy pańskiego rodu syny będą ciężką dolą gnani,
W opuszczonych, próżnych salach wnet się zjawi Biała pani.
Zaprzeczajcie, jako chcecie, biała postać wnet się zjawi,
Gdy nietylko ów ród pański, lecz ojczyzny pierś się krwawi.
A że ciosów tych bez liku, moc ich ziemię naszą rani,
Musi ciągle z płaczem błądzić w pustym zamku Biała pani.
Błądzić musi, błądzić będzie, opuszczając trumny deski,
Póki kiedyś nam nie wróci tej straconej szlachty czeskiej.
Jest to dobry duch wasz, ludzie, obcym bogom zaprzedani,
To cień dawnej siły waszej miłująca Biała pani.
Zaprzeczajcie, jako chcecie: wnuk się wróci do macierzy,
Mowa ojców o sklepienia pustych komnat znów uderzy.
Póki to się nie dopełni, wciąż z wyrzutem, z jękiem kani
Po tym waszym zamku błądzić będzie dalej Biała pani.

Jakkolwiek Vrchlický nie wyjeżdża na popis ze sławianofilstwem, jednakże musimy przyznać, że jest bardzo dobrym, bo przedewszystkiem rozumnym Słowianinem. Nie hołdując bynajmniej tak niedorzecznie wyśnionej marze odrębnej kultury, wybornie ocenia stosunki i położenie międzynarodowe słowiańskie i przykłada do nich miarę ogólno-ludzkich idei. Pod tym względem nie wahamy się stawić go o wiele wyżej nad piewcę słowianofilów, a raczej słowianomanów, Świętopełka Czecha.

Vrchlický — jako prawy poeta-filozof — nie przypuszcza sprzeczności pomiędzy ideałami narodowymi, plemiennymi a ogólno-ludzkimi. Nie mając w sobie ani odrobiny faryzeuszostwa kosmopolitycznego, jest dobrym Czechem i Słowianinem bez cienia szowinizmu i czci dobro i piękno wszędzie, gdzie je widzi, czy to we wspomnieniach głębokiej, zamierzchłej starożytności, czy w podaniach hebrajskich, czy na gruncie klasycznym lub oryentalnym, czy też na ojczystej niwie. Arystokrata duchem bez arroganckich roszczeń fałszywego arystokratyzmu lubi wycieczki egzotyczne, bynajmniej nie dla tego, żeby miał—za przykładem skażonych panków — pogardzać tem, co ma u siebie w domu. Egzotyzm, na który sobie pozwala jego bogata muza, bynajmniej nie jest w sprzeczności z obowiązkowym patryotyzmem. Vrchlický jest dobrym Czechem, ale zarazem człowiekiem, dla którego wszyscy ludzie są braćmi. Kto go nie rozumie pod tym względem, to zaiste nie rozumie bardzo prostej rzeczy pod słońcem.

Nie rozumiał tego np. prof. Pypin, który w drugiem wydaniu swej „Historyi literatur słowiańskich” (r. 1881) oponuje przeciwko opinii krytyków czeskich o poezyi Vrchlickiego. „Nam” — powiada prof. Pypin — „miara krytyki czeskiej wydaje się przesadzoną zwłaszcza, gdy podnosi poezyę Vrchlickiego do znaczenia europejskiego. Dla tego znaczenia potrzeba, aby poeta przedstawiał się, jako poeta swojej narodowości, jako poeta słowiański, żeby nie poprzestawał na prostem powtórzeniu (!) treści europejskiej. Czytelnika Rosyanina może dziwić fakt, że poeta, który w krótkim czasie napisał kilka tomów, wybierał prawie wyłącznie albo temata obce, albo oderwano-idealne. Szczególniejsze znamiona poezyi Vrchlickiego są — idealizm romantyczny i refleksyjność; poeta ustawicznie zwraca się do kwestyi ogólno-ludzkiej myśli i historyi”.

A dalej prof. Pypin, mówiąc o prześlicznym zbiorze poezyi liryczno-epicznych „Duch i świat”, powiada: „poeta, przejęty współczuciem dla lepszych stron i dla wielkich zalet prawdziwego człowieczeństwa, wierzy w przyszłe zwycięstwo ducha nad przyrodą — ale ta poezya tematów powszechnie-historycznych, wspaniałych perspektyw, szerokich pomysłów nie wyrosła, zapewne, z gruntu czeskiego; to—poezya wyczytana, książkowa”....

Już na pierwszy rzut oka wyda się to wielce dziwnem, że prof. Pypin robi takie zarzuty Vrchlickiemu, lubo — jak się to z przypisku okazuje, zasłyszał chociaż, że Vrchlický w „Mitach” „stanął na gruncie czeskim” (str. 978). Istotnie pierwszy cykl „Mitów”, pisany między r. 1874 a 1878, a wydany 1879, zawiera w sobie trzy poemata narodowe „Szarkę” (na podstawie podania z kronik Dalemila i Hajka o wojnie niewiast przeciwko mężczyznom), „Legendę o św. Prokopie” i „Krzyż Bożetiecha”. Sam ten przypisek już powinien był nakłonić autora „Historyi literatur słowiańskich” do większej oględności w sądzie, wygłoszonym zresztą z dziwnie lekkomyślną apodyktycznością. Dalsze stronnice — nieliczne zresztą — mówiące o nowoczesnej literaturze czeskiej, aż nadto dowodnie wskazują, że prof. Pypin nietylko z Vrchlickim, ale z całą ową literaturą nie zapoznał się, nie już przy pomocy rozległego studyum, ale choćby przy pomocy osobistego zetknięcia się z odpowiedniemi książkami. Istotnie zasłyszałem w Pradze, że prof. Pypin, gotując się do drugiego wydania „Historyi literatur”, odpowiednich informacyi zasięgnął u członków pewnej podejrzanej kliki, u której to kliki Vrchlický nie jest bynajmniej *in odore sanctitatis*. Stąd płynie ten jego sąd, będący zresztą tylko echem uprzedzeń, krzewionych niekoniecznie

z dobrą wiarą, w kołach literackich czeskich [1]. Daje to widoczny, namacalny dowód, że już wówczas, w kilka lat zaledwie po wystąpieniu, działalność Vrchlickiego rosła po nad przewidywaną miarę i stawała się ..... niedogodną.

* * *

Życie wielkiego poety czeskiego nie obfituje w fakta, nadające się do sensacyjnego romansu, ale bogate jest wewnętrzną treścią swoją.

Emil Frida, jak brzmi istotne imię i nazwisko Jarosława Vrchlickiego, urodził się 16 lutego 1853 roku w Lounach, małem miasteczku w północno-zachodnich Czechach pod Slanem. Ojciec jego Filip Jakób (zmarły r. 1875) był właścicielem małego handlu kolonialnego, matka zaś Marya pochodziła z domu Kolarzów. Ponieważ rodzina zwiększała się, a przytem czteroletni Emilek był słabego zdrowia, przeto wziął go do siebie wuj Antoni Kolarz, proboszcz w Owczarach pod Kolinem. Tutaj malec wychowywał się w duchu religijnym i patryotycznym pod okiem zacnego kapłana i zapalonego narodowca, przyczem na rozwój umysłowy chłopca miała wpływ babka, niewiasta pełna żywej wyobraźni. Ona przyczyniła się do rozbudzenia w chłopcu ducha poetyckiego, który objawił się wcześnie i szybko się rozwijał. Dziecięca jego fantazya roiła sobie rozległe plany przyszłych prac poetyckich, a chłopczyk, nie mający jeszcze lat dziesięciu, już chwytał za pióro i bazgrał — ni mniej, ni więcej tylko... tragedye.

Do szkół oddano Vrchlickiego naprzód w Slanem, skąd przeszedł do Pragi, gdzie uczęszczał do szkoły prywatnej imienia Jungmanna. Aby zyskać prawo wstąpienia do uniwersytetu, młodzieniec postanowił ukończyć studya gimnazyalne w zakładzie rządowym i w tym celu w październiku 1869 r. pojechał do Klatów, gdzie zdawał egzamin do klasy siódmej. Przed egzaminem przedstawił się profesorom (u jednego z nich Porta stał na stancyi). Nauczyciel matematyki odgadł, że szesnastoletni młodzieniec jest słabym w tym przedmiocie, zalecił mu więc, aby przed egzaminem wziął

---

[1] Jak niesumiennymi musieli być owi informatorzy prof. Pypina, najlepiej okazuje się z tego, że Karolina Swietla, ta znakomita malarka ludu czeskiego, a obok tego autorka pięknych powieści z doby upadku i brzasku odrodzenia narodowego, została wspomnioną li tylko gołosłownie. Juliusz Zeyer, poeta wielkiego talentu, któremu należy się drugie miejsce na Parnasie czeskim, dla owych informatorów nawet nie istniał wcale.

kilka lekcyi z trygonometryi u starszego kolegi Thomayera, obecnie doktora medycyny, profesora, znanego w literaturze pod pseudonimem R. E. Jamot

I uczeń, i nauczyciel nad zagadki wszechmądrości trygonometrycznej przekładali literaturę piękną, do której obudwu serce despotycznie ciągnęło. Jeden przed drugim zwierzył się poufnie, że pisują wiersze. Zbliżyło to ich do siebie, ale na nieszczęście oddalało od matematyki, skutkiem czego młody pan Frida przyjęty został do gimnazyum o klasę niżej. Z pobytem w Klatowach łączą się wspomnienia o pierwszych usiłowaniach wkroczenia do pism czasowych. Ponieważ rygor szkolny nie pozwalał naonczas na otwarte popisy literackie, obaj młodzieńcy postanowili wiersze swoje posyłać do Pragi pod wspólnym pseudonimem. Długo łamali sobie głowę nad wynalezieniem czegoś odpowiedniego, ale nic im przypaść do gustu nie chciało. Nareszcie nawinął im się „Vrchlický" od potoku Vrchlice w okolicach Kutnej Hory.

— Dobrze, zawołał młody Frida — ten zatrzymamy! Wprawdzie już jakiś człowiek z Kutnej Hory pisał wiersze pod tem imieniem, ale nie utrzymał się.

Gdyby w tej chwili młodociany poeta miał choć odrobinę dumnego jasnowidzenia, że to imię stanie się kiedyś europejskiem, byłby może nie odważył się na taki pseudonim, z którego dworują sobie Niemcy, nazywając go „unaussprechlich".

W r. 1870 gimnazista-poeta zdobył się na odwagę i pod pseudonimem posłał próbki swoje do ilustracyi „Svietozor". W odpowiedziach od redakcyi otrzymał odprawę ze zdawkowym komplimentem „wiersze pańskie znamionują rzeczywisty talent" i t. d. W „Kvietach", drugiej ilustracyi owoczesnej, poeta Halek odepchnął młodocianego adepta nawet bez tego taniego balsamu na ranę. Zuchwałe roszczenia poety spotkało na razie sromotne niepowodzenie. A jednak też same wiersze wyszły potem w pierwszym zbiorku Vrchlickiego p. t. „Z głębin" i okazały się nietylko godnymi druku po czesku, ale jeszcze zasłużyły sobie na przekład na obce języki.

Gdy w r. 1872 Vrchlický zdał egzamin dojrzałości w gimnazyum klatowskiem, wstąpił do seminaryum duchownego w Pradze, ulegając życzeniom wuja proboszcza i całej rodziny. Ponieważ nie czuł w sobie powołania do stanu kapłańskiego, przeto już w marcu r. 1873 opuścił seminaryum i przeszedł na wydział filozoficzny w uniwersytecie. Oddawał się tutaj z zapałem studyom języków, literatury, filozofii i historyi. Ogromne zdolności naukowe, nietylko poetyczne, ujawniły się w tem, że student Frida, umie-

jąc już w szkołach gruntownie języki starożytne, niemiecki, ponauczał się bardzo prędko rozmaitych języków zachodnio-europejskich. Obecnie umie on wybornie prawie wszystkie ważniejsze języki Europy, a obok tego niektóre drugorzędne, jak prowansalski, kataloński.

Już, jako student, wystąpił śmielej na arenę literacką. Pierwsze jego wiersze, które dostały się do druku, ukazały się w almanachu studentów południowo-czeskich p. t. „Anemonky". Erwin Szpindler, także poeta, zajmujący stanowisko w Roudnicy i tamże redagujący doskonale prowadzone czasopismo prowincyonalne, zwrócił uwagę publiczności na te próbki i ich nieznanego jeszcze autora, dodając przytem *proroctwo*, że czytelnicy „jeszcze bardzo często z nim spotykać się będą". Poeta ową zachętę zachował we wdzięcznej pamięci i jeszcze po 15 latach przypomniał Szpindlerowi recenzyę— i dziękował mu, że „poniekąd pierwszy wprowadził go do literatury".

Szpindler był przytem jednym z pierwszych, którzy zrozumieli poetę. W numerze jubileuszowym czasopisma „Zlatá Praha" (z r. 1893) pisze w liście otwartym do Vrchlickiego te charakterystyczne słowa: „W obronie zasad pana, jako artysty, stoczyłem niemało zaciętych potyczek, w których obroniłem je zaszczytnie nawet przed tymi, co w patryotycznym zresztą celu ciągle jeszcze wymagają od poety-artysty, aby był „czasowym", a nawet „miejscowym", aby artykuły wstępne o kwestyach dziennych przyodziewał w formę poetycką, i przed tymi, którzy muzę Poezyi chcieliby przebrać za markietankę, dodającą bojownikom, w tym lub owym obozie walczącym, odwagi do dalszego postępu, i przed tymi wogóle, którzy chcą ograniczać poetę w wyborze przedmiotów i faktów, grzesząc przeciwko podstawowej zasadzie wszelkiej sztuki, mianowicie przeciwko wolności ducha i fantazyi". — I takich to rzeczy prostych i naturalnych potrzeba bronić przed ludźmi z pseudopatryotycznym celem!

Obok uznania za utwory poetyczne student Frida cieszył się jeszcze poważaniem i miłością kolegów. W wspomnianym numerze jubileuszowym Aloizy Jirasek przypomina Vrchlickiemu, jak on wraz z Bohdanem Jelinkiem po przeczytaniu wierszy w „Anemonkach", starali się koniecznie poznać ich autora. Zawiązał się z tego serdeczny węzeł przyjaźni, który względem Jiraska trwa do dziś dnia, gdyż ogólnie ceniony powieściopisarz i dramaturg cieszy się życiem i zdrowiem. Bohdan Jelinek już oddawna spoczywa

w mogile, ale wspomnienie stosunku Vrchlickiego z nieboszczykiem stanowi jedną z tkliwych kart jego biografii.

Jeszcze w gimnazyum w Królowej Hradcu uczniowie wskazywali po cichu palcem na młodzieniaszka urodziwego, z pierścieniami wijących się włosów, szepcząc pomiędzy sobą: „Oto jest poeta Jelinek"! Młodzieniec przeszedł potem do uniwersytetu w Pradze i poezyami swemi obudził nadzwyczajne oczekiwania. Widziano w nim pierwszorzędnego poetę. Wolny od wszelkiej zawiści, nie uznający żadnego współzawodnictwa w państwie duchów Vrchlický był szczerym przyjacielem swego towarzysza. Bohdan Jelinek umarł—jak mi się zdaje—w 25 roku życia, i wszystkie nadzieje przyjaciół i rodaków zasypała ziemia mogilna. Vrchlický opłakał przyjaciela, z wzruszającym pietyzmem zajął się wydaniem spuścizny literackiej po nim i niejednokrotnie uczcił jego pamiątkę. W zbiorze „Co życie dało" znajdujemy następujący wiersz, zatytułowany „Bohdanowi Jelinkowi":

Czuwam na łożu—obrazy się mącą,
Twe ciało widzę w żałobnym pokoju.
Aniołów zastęp duszę twoją śpiącą
Do szczęścia unosi zdroju.

Nad wonią kwiatów mamiącą i ostrą
Gdy białe skrzydła do lotu rozpięły;
„Nam jego dusza jutro będzie siostrą!"
Fijołki, róże szepnęły.

A gdy się wzniosły nad góry i bory,
Lecąc ku jasnej niebios wysokości,
Gwiazdy radosne rozpoczęły spory:
„Któraż z nas siostrę ugości"?

Czuwam na łożu; noc, niby strapienie,
Jak wieczność, długa—w koło istna puszcza.
Czuję, jak ciężka boleść swe korzenie
W me serce zwolna zapuszcza,....

Zaiste, drobny ten wiersz nastrojowy o wiele głębiej wzrusza, niż wszystko, co np. Mallarmé był pozostawił!

W r. 1875 wyszedł pierwszy zbiorek poezy Vrchlickiego p. t. „Z głębin", wobec którego urzędowa krytyka stanęła, jak „wół pod górą", że użyjemy tutaj przysłowia niemieckiego. W tymże roku poeta wystąpił z uniwersytetu i zamierzał składać egzamin państwowy na nauczyciela szkół średnich. Pragnieniem jego było opuścić

na czas jakiś Pragę, odetchnąć innem powietrzem, rozejrzeć się po świecie. Szczęśliwym trafem życzenie to spełnionem zostało. Generał austryacki, hr. Montecuccoli-Laderchi został dziedzicem majoratu pod Livorno we Włoszech po wygaśnięciu linii włoskiej rodu, z którego pochodził. Wyjeżdżając do Włoch, szukał nauczyciela, któryby dwu jego synków kształcił w języku niemieckim. Ponieważ czas jakiś spędził na wysokiem stanowisku wojskowem w Pradze, wiedział, jak wybornymi wychowawcami bywają młodzi Czesi; przeto szukał nauczyciela domowego w stolicy Czech. Zarekomendowano mu młodego Fridę, jako umiejącego wybornie poniemiecku i dobrze obeznanego z włoskim językiem, i poeta wyjechał z generałem do Włoch. Czas z wychowańcami swymi spędzał to w Maranie nad rzeką Panarem, to w samem Livorno. Wrażenia z pobytu na klasycznej ziemi sztuki odbiły się w zbiorku poezyi p. t. „Rok na południu", oraz w kilku nader subtelnych, niekiedy pełnych humoru nowelach.

Po dziewięciu miesiącach pobytu w domu arystokraty austryackiego, przesadzonego na grunt klasyczny Italii, w domu, w którym niemieckość dziwnie mieszała się z miejscową włoszczyzną, Vrchlický, zatęskniwszy do ziemi ojczystej, powrócił do Pragi. Wydane świeżo jego „Poezye epickie" zrobiły silne wrażenie. Właśnie w owym czasie poznałem się z poetą i słyszałem wszędzie okrzyk: „mamy wreszcie poetę z Bożej łaski". Wszelako odgłosy sławy nie mogły zagłuszyć wołania o chleb powszedni, o stanowisko na przyszłość, Vrchlický więc został suplentem w szkole nauczycielskiej.

Aczkolwiek w świecie pedagogicznym czeskim panują o wiele lepsze stosunki, niż gdzieindziej, a szczególniej tam, gdzie dobry preferansista lub, jeszcze lepiej, wincista cieszy się u kolegów większym mirem, niż człowiek talentu i nauki, mimo to Vrchlickiemu było niezbyt przyjemnie na katedrze nauczycielskiej. Jego marzycielskiej, wybuchowej naturze ciążyło mocno pedantyczne brzemię szkolarstwa. Nic więc dziwnego, że po roku poeta suplenturę porzucił, rozstał się z myślą składania egzaminu państwowego i przyjął skromną posadę sekretarza politechniki czeskiej. Dawała mu ona niezbyt dostatni kęs chleba, ale przynajmniej nie obciążała nadmiarem pracy, przytem zwierzchnicy zazwyczaj nie zapominali, że mąż taki do czegoś lepszego jest stworzony, aniżeli pilnowanie papierów kancelaryjnych. Zapominało tylko o tem społeczeństwo, i dopiero w rok jubileuszu poety (1893) spostrzeżono się, że jednak jest to skandaliczną kompromitacyą dla Czechów, aby mąż, będący

najświetniejszą ozdobą ich literatury, bogacącej się z jego łaski tak nadmiernie, trzymanym był na tak podrzędnem stanowisku.

On sam nigdy na to nie sarkał i nie utyskiwał i, dobiwszy się jakich 2,000 reńskich z pensyi sekretarza i honoraryów literackich, ożenił się z panną Ludmiłą Podlipską, córką powieściopisarki Zofii, a siostrzenicą Karoliny Swietli. Dobrobyt materyalny był dla niego rzeczą, której jak najmniej poświęcał troski. Bardzo był szczęśliwy, jeśli mu powiodło się oszczędzić tyle, że mógł zrobić małą wycieczkę wakacyjną, zazwyczaj jednak przebywał z rodziną swoją gdzieś na letniem mieszkaniu. Podróżował jednakże po Niemczech, Francyi, Belgii, Hollandyi i Danii.

Zwłaszcza pamiętnym zostanie pobyt jego z małżonką w Paryżu r. 1882 i przyjęcie, które mu zgotowali tameczni Polacy. Wprawdzie Francuzi — jak wiadomo, okropni ignoranci we wszystkiem, co się tycze obczyzny, prawie nie słyszeli nic o nim — ale za to znali go Polacy paryscy. Już w r. 1880 w „Bulletin de l'Association des Anciens Élèves de l'École Polonaise" prof. Wacław Gasztowtt, tłómacz poezyi Vrchlickiego, pomieścił artykuł p. t. „La Poésie Tschèque contemporaine". Co więcej, w końcu tegoż roku miał on na posiedzeniu Towarzystwa historyczno-literackiego (w pałacu ks. Czartoryskich) prelekcyę o Vrchlickim. Nie poprzestając na tem, prof. Gasztowtt napisał bardzo piękny artykuł do „Przeglądu polskiego", wychodzącego w Krakowie, gdzie podał wybór jego poezyi w swoim przekładzie.

Vrchlický, przyjmujący wdzięcznie wszelkie objawy sympatyi, zawiązał z prof. Gasztowttem korespondencyę, która stała się podstawą ich późniejszej przyjaźni. Tymczasem poeta gorąco zapragnął zobaczyć obczyznę, ale brakowało mu środków materyalnych. Wprawdzie stowarzyszenie Svatobor, dające literatom, uczonym i artystom zapomogi na podróże, wyznaczyło mu 300 złr., ale z tą sumą Vrchlický puszczać się w daleką podróż nie miał odwagi. Zyskawszy jeszcze trochę honoraryów i poruszywszy oszczędności, skromnie przedtem uskładane, ruszył w drogę w połowie sierpnia 1882 roku.

Na wieść o zamiarze wyjazdu poety Czesi i Polacy, jedni i drudzy na swoją rękę, zrobili formalny spisek, ażeby go uczcić należycie. Z Czechów zajął się tą sprawą znakomity pejzażysta, przedwcześnie zgasły Antoni Chitussi (pochodzenia włoskiego), z Polaków prof. Gasztowtt. Państwo Fridowie przyjechali do Paryża 20 sierpnia i nazajutrz złożyli wizytę prof. Gasztowttowi. Chitussi i Gasztowtt zajęli się gośćmi, ułatwiając im obejrzenie miasta i jego

osobliwości. W niedzielę 27 sierpnia zrobiono wycieczkę do parku w St. Cloud, gdzie w licznem gronie Polaków i Czechów spędzono czas na śpiewach i deklamacyach. Vrchlický odwiedził słynnego okulistę Gałęzowskiego, złożył hołd sędziwemu Bohdanowi Zaleskiemu, obejrzał bibliotekę polską w pałacu Czartoryskich, złożył wieniec na grobie Słowackiego na cmentarzu w Montmartre. Uroczę te dni zakończyła uczta w restauracyi Weples; do niej zasiadło 60 osób pod przewodnictwem T. T. Jeża. Wśród gorąco przyjmowanych toastów zmarły już malarz Szmoranc (Czech) odczytał po czesku wiersz Vrchlickiego „Polakom w Paryżu”, prof. Gasztowtt zaś poparł to przeczytaniem swego przekładu. Dziwnie przejęła obecnych wzniosła skromność i karność poety, który głosił:

Kwam, nieśmiertelnym Prometeja męką.
Moja pieśń leci w lot trwożny i tkliwy,
Puka do bramy serc skrzydłem, jak ręką,
Z pociechy rosą, z gałązką oliwy.

Idzie nieśmiele—czyż wam pieśni trzeba?
Wam chóry sławy dziedziców śpiewały,
Którzy z poezyi wiecznej kęsem chleba,
Jak Jezus, mogli tłum nasycić cały.

Nazajutrz Vrchlický odjechał, unosząc z sobą wspomnienie jednej z najbardziej świetlanych chwil swego żywota. W liście swym do Franciszka Kvapila z uniesieniem wyraża się o Polakach paryskich. Za to echo stosunków literackich francuskich doszło do niego w karykaturalnie zmąconej postaci. O tem pisał Kvapilowi w sposób nader charakterystyczny: „Co się tycze świata literackiego, nie było nikogo w Paryżu — mówiłem tylko z p. B. Wogóle w poglądach panuje tutaj niesłychany zamęt i nieustaloność — prawdziwy Babel... Z początku robiło to na mnie przykre wrażenie, potem stało się śmiesznem, a w końcu zrozumiałem. Poeta, który publikuje 5—6 książek (Anatol France) nawet z nazwiska nie jest znanym koledze, dziennikarzowi; W. Hugo jest „stary waryat”, Sully Prudhomme „lichy poeta”, Coppée jeszcze „ujdzie”—ma ta młodzież francuska dziwne poglądy ... nieprawdaż? Taine jest wprawdzie autorem—ale zresztą, jest to „jednak tylko profesor” i t. d i t. d. Podobny los spotykał mię w księgarniach; na rzeczy znane wytrzeszczano oczy i patrzono na mnie, jak gdybym spadł z księżyca. Tak nic nie przywiozłem z sobą,· chyba nieco rozmaitego doświadczenia i naukę, jak marną jest sława literacka...”

Jeszcze raz poeta objawił oburzenie swoje na taką arrogancyę młodych Francuzów względem starszych swych towarzyszy broni— tym razem już w wierszu. Gdy po śmierci Aleksandra Dumasa syna czasopismo „Mercure de France" ogłosiło kwestyonaryusz na sąd o nieboszczyku, 60 młodszych autorów na przegony starało się ogołocić zmarłego ze wszelkiej zasługi i zalety. Oburzony tem Vrchlický w wierszu p. t. „Sąd nad zmarłym" (w zbiorze „Napadało rosy" 1896) tak między innemi powiada:

Lecz, gdy umiera geniusz, ten, którego sława
Od ust do ust leciała, niby złota pszczoła,
Którego stratę czuje cały świat dokoła,
Nie na sąd Ozyrysa lub Chrystusa stawa
Lecz wyrok nań wydają szpaczki, marne żaki.,.

Wspomnienia z Paryża podyktowały poecie kilkanaście pięknych wierszy, znajdujących się w zbiorze „Co życie dało". Między nimi jest tam sonet, poświęcony „Bohdanowi Zaleskiemu", którego część tutaj przytaczamy:

Jak stare drzewo, masz skroń posrebrzaną,
A hojny owoc gałęzie okrywa,
Z nich pieśni manna w świat słowiański spływa,
Z nich prądy światła w naszych sercach płoną.

. . . .

Dwa wieki zeszły się na twoje czoło,
Świt przyszłej doby i blask doby mrącej,
Serce twe pała w nich, jak dyament czysty,

A takie światło z niego tryska wkoło,
Że owym, których twój błysk tknął gorący,
Ideał w duszy nie zniknie ognisty.

Rozpęd talentu Vrchlickiego był już wtedy tak wielki, że w końcu tego pamiętnego 1882 roku wydał on 13 tomów poezyi lirycznych i epicznych, 9 tomów przekładów — między nimi Wiktora Hugo, Leopardiego, Leconte de Lisle, Hafiza—i drobnostka! — Dantego całą „Boską komedyę". — Prozą pisywał także rozmaite artykuły po gazetach i wydał osobno (r. 1880) tomowe studyum o Leopardim. Czas jakiś był recenzentem teatralnym w „Hlasie Národa". Bywanie w teatrze skusiło go do próbowania sił w dramacie. W latach 1881 i 1882 wydrukował i wystawił cztery sztuki: „Drahomirę" (przekład polski Miriama), „W beczce Dyogenesa", „Śmierć Odysseusza" i „Noc na Karlsztajnie".

Ta ostatnia sztuka jest wyborną komedyą historyczną, w której występuje Karol IV i żona jego Elżbieta pomorska (zaślubiny ich w Krakowie pamiętnemi są w naszej historyi); ze wszystkich utworów dramatycznych Vrchlickiego utrzymuje się ciągle na repertuarze. Już po premierze J. L. Turnovský, sam wyborny i doświadczony znawca teatru, wyraził się o tym utworze jak najchlubniej i dodał proroczo: „Jest to sztuka, która zapuściła mocno i trwale swoje korzenie, te każdej wiosny w roku teatralnym wypuszczą latorośle i kwiaty".

W r. 1897 d. 18 maja „Noc na Karlsztajnie" była wystawioną po raz pięćdziesiąty, a do tego czasu miała cztery wydania książkowe. W sprawozdaniu w „Hlasie Národa" recenzent R. Kronbauer opowiedział publiczności charakterystyczne zdarzenie. W 1891 r. na ówczesnej wystawie jubileuszowej było grono Polaków, którzy zrobili wycieczkę na zamek Karlsztajn i oglądali zachowane tam pamiątki z doby Karola IV. Przewodnik między innemi ukazywał im miejsce, gdzie przy naprawianiu zamku znaleziono wielkie zapasy zboża, które jeden z burgrabiów ukrył na ciężką chwilę długotrwałego oblężenia. Ziarno to, zasiane potem, wydało nader obfite żniwo. Na podłodze leżało trochę rozsypanego ziarna, które jeden z gości podjął i schował do pugilaresu. Przy wspólnym obiedzie w gospodzie pod zamkiem Polacy i Czesi rozmawiali o widzianej przedtem komedyi historycznej Vrchlickiego, która gościom pobratymcom bardzo się podobała, i ów gość, zbieracz ziarna, wzniósł toast: „Niech żyje Jarosław Vrchlický, niech żyje jego komedya i niech zachowa trwałość ziarna karlsztajnskiego!" W referacie swym sprawozdawca wyraża nadzieję, że Vrchlický, ujrzy setne przedstawienie wcześniej, niż pięćdziesiąty rok życia. „Noc na Karlsztajnie" została przełożoną na polski przez Zenona Przesmyckiego, ale nie doczekała dotąd ani druku, ani też wystawienia na scenach polskich, i to nie z winy niedbalstwa tłómacza.

Naonczas z krytyką Vrchlický zostawał jeszcze w dobrych stosunkach. Każdą książkę jego przyjmowano z uznaniem dla jego talentu, cieszono się z nadzwyczajnej jego płodności, przypominającej Lopeza de Vega, chwalono piękność języka i wiersza, obfitość pomysłów, bogactwo i wzniosłość myśli, a lubo w tym raju i gady syczeć poczynały, ale za to o młodym poecie pisali pochlebnie tacy krytycy, jak Jan Neruda. Działalność poety rosła nadmiernie—rok jeden nie minął, żeby trzech, czterech tomów rzeczy oryginalnych i tłómaczeń w świat nie puścił. Były to zbiorki poezyi lirycznych, cykle epiczne („Mity", „Stare podania", „Ułomki epopei" i inne),

większe poematy jak „Vittoria Colonna" (1877 r., przekład polski Zenona Przesmyckiego wyszedł 1885 r.), „Hilaryon" i „Twardowski". Ten ostatni jest wspaniałą fantazyą dramatyczną w rodzaju II części Fausta; autor, wprawdzie, nie bardzo trzyma się samego podania i popełnia wiele anachronizmów, ale na tem tle, zygzakowato naszkicowanem, narzucił mnóstwo głębokich myśli filozoficznych.

Na polu dramatycznem Vrchlický także pracował obficie i szybko. Fantazya jego za przedmiotami upędzała się po rozmaitych dziedzinach: to zaglądał do wieków średnich („Sąd miłości" z epoki trubadurów w Avignonie), to poruszał momenty z dziejów czeskich („Drahomira", „Noc na Karlsztajnie", „Mądrość rabińska", „Exulanti" i t. d.), to sięgał do romantycznej i namiętnej Hiszpanii („Miłość i śmierć"). Ale najpodatniejszymi wydawały mu się do opracowania dramatycznego tematy antyczne. W jednoaktówce „W beczce Dyogenesa" (przełożonej dwukrotnie na język polski przez Miriama i Włodzimierza Stebelskiego) jeszcze w r. 1881 popróbował przedstawić Aleksandra W. nie w nimbusie biografii Plutarchowej, ale na gruncie realno-ludzkiej erotyczności. To postawienie słynnego monarchy i zdobywcy w świetle krotochwilnej awanturki miłosnej ma coś w sobie figlarnego, a przytem zostało wykonane z niesłychaną subtelnością w misternie wytwornym dyalogu. Zatem poszły: „Śmierć Odysseusza", wysnuta z fragmentu epopei cyklicznej, „Julian Apostata", znany u nas w przekładzie Maryi Konopnickiej (podobno jest inny jeszcze przekład), „Zemsta Katulla", bluetka, figlarnością przypominająca „Beczkę Dyogenesa", „Uszy Midasowe" (przekład Miriama), nader dowcipnie tłómaczące znaczenie owego zagadkowego mitu, oraz wspaniała trylogia „Hippodamia".

„Hippodamia" zrodziła się w głowie poety wraz z innym zuchwałym pomysłem stworzenia nowego rodzaju melodramatu. Do spółki z kompozytorem Zdeňkiem Fibichem poeta stworzył dzieło, w którym akompaniament muzyczny wtóruje bez przerwy dykcyi scenicznej. Jest to wprawdzie połączone z wielkiemi trudnościami ze względów na grę aktorską, skrępowaną silnemi więzami akompaniamentu, ale podobno na scenie robi potężne wrażenie. Dziwne losy chciały, że „Hippodamia" zawędrowała tam, gdzieby się najmniej tego spodziewać należało, mianowicie do teatru flamandzkiego, gdzie w tymże języku trylogię wraz z muzyką Fibicha odegrano [1]).

---

[1]) O „Hippodamii" pomieściliśmy obszerniejszy artykuł w „Ateneum" z roku 1892.

Jak wiadomo, w r. 1890 na wystawie teatralno-muzykalnej w Wiedniu pewien okres czasu poświęcono na produkcye sztuk węgierskich, czeskich i polskich. Naonczas Węgrzy dzięki ofiarności hrabiego Esterhazego na scenę wystawową wyprowadzili „Tragedyę człowieka" Emeryka Madacha (Madacz), i ta, zyskawszy tamże poklask, obiegła potem całą Europę. Po Węgrach przyszła kolej na Czechów — ci również nie szczędzili wydatków na należyte wystawienie swoich sztuk, czego rezultatem było zwrócenie uwagi na „Sprzedaną narzeczoną" Smetany, która również sławiła tryumfy na scenach obcych prawie po całej Europie.

W tej pamiętnej dla Czechów dobie sławy wprowadzono na deski pierwszą część trylogii, noszącą tytuł „Zaloty Pelopsa", i ta zwróciła uwagę Wiedeńczyków. Sława poety rosła z roku na rok, niemal z dnia na dzień. Gdy w roku 1890 w skutek wspaniałomyślnej ofiary radcy budowniczego Józefa Hlavki założono akademię czeską nauk i sztuk, między pierwszymi członkami zwyczajnymi, przedstawionymi cesarzowi do zatwierdzenia, obrano i Jarosława Vrchlickiego, dając mu tym sposobem pierwszeństwo przed innymi przedstawicielami poezyi czeskiej. Przy uorganizowaniu się akademi Vrchlický został wybrany na sekretarza oddziału IV literatury i sztuk pięknych.

Rosnąca sława poety wpłynęła na dyrekcyę teatrów warszawskich, tak, że ulegając zabiegom Zenona Przesmyckiego (Miriama), postanowiła sztuki Vrchlickiego wprowadzić na scenę. Na początek wybrano wspomnioną już jednoaktówkę „W beczce Dyogenesa". Ci, co znali ten wysoce poetyczny i subtelny obrazek ze sceny praskiej, z góry przepowiadali mu powodzenie w oczach pobratymczej publiczności. Tymczasem stała się rzecz całkiem niespodziana i nieprzewidywana nawet. „W beczce Dyogenesa", utwór, który pozyskał sobie aż dwa tłomaczenia polskie, który tylu Polaków wprawił w zachwyt, gdy go widzieli w Pradze, na scenie warszawskiej nie miał powodzenia. Kogo o to winić, dziś już powiedzieć nie umiemy, może poczęści przyczyną niepowodzenia było nieodpowiednie obsadzenie ról i niezrozumienie tego rodzaju utworu przez samych aktorów, przywykłych do poziomego realizmu francuskiego, może winną była i publiczność, zbyt długo tresowana w tatersalu tak zwanej „roboty" scenicznej Francuzów i naszej *turbae imitatorum.* Ale najbardziej dziwną — co najmniej—rolę odegrała tutaj krytyka teatralna. Co naonczas wypisywano, dziś się wierzyć nie chce, czytając krytyki owoczesne. Śmieszna rzecz, wszystkich sprawozdawców niesłychanie bolał *crimen laesae majestatis* wielkiego zdoby-

wcy, przedstawionego w zwyczajnej awanturce miłosnej, lubo, ktokolwiek szczegółowiej znał ze źródeł historyę Aleksandra W., powinien wiedzieć, że był to młodzieniec krewki, pochopny do rozrywek erotycznych nie mniej od Aluybiadesa, a w podobnych rzeczach największy bohater bywa takim samym, jak i najlichszy chłystek. Ton sprawozdań warszawskich o jednoaktówce Vrchlickiego był tak ostry, iż pobłażliwy dla nas zazwyczaj Edward Jelinek, który niesłychanie bolał nad obrotem sprawy, pisał, że jednakże autor „Twardowskiego" i wielu wierszy, poświęconych rzeczom polskim, zasługiwał na trochę delikatniejsze traktowanie.

W rok potem niezrażony poprzednim wypadkiem reżyser Józef Kotarbiński wystawił trzyaktowy dramat Vrchlickiego p.t. „Do życia!", który miał już dwa wydania po czesku (po polsku w przekładzie Zenona Przesmyckiego wyszedł roku 1888). Przypuszczając bardzo słusznie, że na antyce wielkiego poety krytyka i publiczność się nie bardzo pozna, Józef Kotarbiński wybrał umyślnie sztukę ze współczesnego żywota, będącą protestem przeciwko nowoczesnemu pesymizmowi. Ale krytyka nasza i o tej sztuce wydała wyrok nieprzychylny. Biorąc z tego pochop, poczęto zastanawiać się nad stanowiskiem Vrchlickiego w literaturach słowiańskich, i między innemi korespondent do „Kraju", piszący pod pseudonimem *Cześnika*, łaskawie wyznaczył mu w literaturze czeskiej takie miejsce, jak w naszej ... Kniaźninowi. Taki sposób traktowania wielkiego poety, którego już przed dziesięciu laty Polacy w Paryżu uznaniem i czcią otoczyli, pobudziło autora niniejszego artykułu do ujęcia się za pokrzywdzonym w tymże „Kraju". *Cześnik*, niepomny na bajkę Morawskiego „Zdarzenie z nosem", odpowiedział niebawem, na co Edward Jelinek dał mu zwycięską odprawę. Redakcya zamknęła polemikę krótkim epilogiem, przyznającym apodyktycznie słuszność Cześnikowi, i na tem skończyło się wszystko. Scena polska i krytyka teatralna zostały dotąd dłużniczkami autora „Twardowskiego". Zapewne pomyślą o naprawieniu krzywdy wtedy, kiedy już Jarosława Vrchlickiego na tej ziemi nie będzie!

Zachowanie się Vrchlickiego względem nas po tym dwukrotnym, tyle niezasłużonym ciosie dało nam miarę wspaniałej szlachetności jego charakteru osobistego. Sympatye jego nie zachwiały się ani na chwilę, przeciwnikom swoim zapomniał wkrótce niesłusznej urazy, trwale tylko zachował we wdzięcznej pamięci swoich obrońców.

Recenzye warszawskie były bardzo na rękę licznym przeciwnikom wielkiego poety w samych Czechach. Jego dobre stosunki

z krytyką w kraju ojczystym psuły się tem więcej, im więcej rozwijał się jego talent i wzmagała się potężna, wulkaniczna działalność. Najbardziej niełaskawymi na niego okazywali się krytycy morawscy, którzy w poczuciu jakiegoś niedorzecznego partykularyzmu lubią działaczom w Królestwie Czeskiem łatki przypinać. I w samej Pradze od czasu do czasu wybuchały sporadycznie paroksyzmy niechęci względem poety. Z czasem doszło do gwałtownych napaści, do organizowania zbiorowych obław na poetę, który miał tę nie do darowania wadę, iż na stojących poza sobą gruby cień rzucał. Zarzucano mu nadmierną płodność, uganianie się za tematami po wszystkich strefach geograficznych i epokach dziejowych, wprowadzanie do poezyi czeskiej nowych form wierszowych.

W istocie rzeczy Vrchlický stawał się z każdym dniem coraz niedogodniejszym dla miernot wszelkiego rodzaju. Nie uganiając się za uznaniem, nie zyskując sobie poklasku kuglarstwem pseudoartystycznem, brząkaniem w struny, cieszące się popularnością, nie schlebiając stronnictwom politycznym, ani też koteryom literackim, rósł w sławę i cześć u swoich i u obcych. Obniżano jego zasługi, znaczenie w piśmiennictwie, a szczególniej starano się spędzić go z areny dramatycznej.

— Teatr nie jest dla Vrchlickiego; on na tem polu nigdy się nie wybije, — słyszałem to niejednokrotnie.

Istotnie, dzisiaj w dobie zachwaszczenia repertuarów teatralnych i skażenia gustu widzów, a w dodatku wobec złej krytyki, i publiczność, i zarządy teatralne stanęły na stanowisku niezapomnianego dyrektora ogródkowego, który, odrzucając utwór talentu, pełen poezyi i szlachetnej tendencyi, usprawiedliwiał się, że „jest on za piękny dla teatru". Autor „Hippodamii" należy do tych nielicznych dzisiaj dramaturgów, którzy w dramacie widzą przedewszystkiem rodzaj poezyi. Nie hołduje on bynajmniej modnym kierunkom, nie puszcza się na efekciarstwo, które tak podbija serca naiwnych widzów, nie wysila się na fortele sceniczne — w dramacie jest on tak samo poetą, jak w swojej niezrównanej liryce i epice. Dziwna rzecz, iż krytyka tego zrozumieć nie potrafiła i to, co w dwu tych rodzajach uznaniem nawet otacza, to w dramacie za wadę, a nawet winę poczytuje.

Vrchlický z podziwu godnym stoicyzmem znosił napaści i przygryzki; w jego poezyach bardzo mało znajdujemy żywiołu polemicznego. Zato pojedyńcze wiersze tego rodzaju są istnymi piorunami Zeusowymi, druzgocącymi zuchwałych wdzierców. W zbiorku

„Moja Sonata" jest nader charakterystyczny i wiele mówiący wierszyk w formie staro-prowansalskiej p. t. „Ballata z ostatnich dni lutego 1891 roku".

Krytyk (łaskawie)

Jakiż instrument, chłopcze, masz u siebie?
To nie są skrzypki, dudy, ni fujara.
Gdy pragniesz, zagraj, jako moda stara.
Tylko niedługo — dość już, jak Bóg w niebie!

(później ostrzejszym tonem)

Gdzieś ty wynalazł taką pieśń cudaczną?
Nam dość prostego a krótkiego syku.
To, co ty robisz, męczy mię i krztusi.
Za dawnych czasów szli drogą opatrzną,
W kilka lat było dosyć po tomiku.
Dla natrętników myśmy zawsze głusi!

(później z wściekłością)

Ten człek nam przyszłą generacyę dusi!
Jegoż jednego będziemy słuchali?
U czarta! Cicho! — Waryat! — Gra wciąż dalej.
Daremnie krzyczę.

Poeta (z największym spokojem)

Czyliż gram dla ciebie?

Nie wiemy, na jaką to krytykę była odpowiedź, ale łatwo domyślić się możemy. Krytyk niewątpliwie zarzucał poecie, że pisze zbyt wiele, że wprowadza nieznane formy wierszowe, a na dnie tego leżało to, w czem tkwiła obawa całego młodszego pokolenia, że po Vrchlickim nie byle kto z młodszych ozwać się może. A jednak odzywali się śmiało, częstokroć zuchwale, a niemal każdy rozpoczynał od tego, że kamieniem rzucał na wielkiego poetę.

Po założeniu uniwersytetu czeskiego przybył na katedrę filozofii Tomasz Garrik Masaryk, rodem Słowak morawski, niewątpliwie uczony i zdolny, ale przeniknięty pretensyami nadczłowieka Nietscheańskiego. Około niego skupiła się gromadka ludzi i utworzyło się stronnictwo ni staro-, ni młodo-czeskie, stronnictwo, które

w braku lepszej nazwy, przybrało imię „realistycznego". Sam mistrz wydawał uczono-krytyczny miesięcznik „Athenaeum" — organem zaś młodszych jego poplecznikow był tygodnik „Czas", okropnie zaczepny i bojowniczy. Zwyczajem wszelkich nowych stronnictw realiści rozpoczęli od napaści na starszych, a „Czas" popisywał się z przedstawicielstwem nowych zasad krytycznych. Te, niby nowe, zasady polegały na bezwzględnej rąbaninie, która przedewszystkiem zwróciła się przeciwko Vrchlickiemu.

Nie uwłaczając bynajmniej wiedzy filozoficznej prof. Masaryka, musimy jednak i to mieć na uwadze, że jego książeczka „O studyum dzieł poetyckich" okazuje w nim bardzo płytkiego estetyka, co— rozumie się — nie daje praw do krytyki literackiej. Przytem prof. Masaryk należy do ludzi, szukających chluby z marmurowej obojętności na wrażenia poetyczne, co jeszcze mniej do krytyki uzdalnia. Brak wrażliwości na piękno poezyi jest rodzajem wady duchowej— czemś na podobieństwo kataru; ani zakatarzony o zapachach, ani niewrażliwy o sztuce sądzić nie powinni. Z tą wadą łączy się jeszcze nałóg patrzenia na wiele rzeczy przez lewe ramię, co znowu dokładnej obserwacyi bynajmniej nie ułatwia.

Na te wady prof. Masaryka zapatrują się jego poplecznicy, a mimo to bardzo surowo sądzą poetów czeskich szczególniej... Vrchlickiego. Realiści uchodzą właściwie za stronnictwo polityczne; jakie ich jest wyznanie wiary literackie, zgadnąć trudno, to tylko wiadomo, że wchodzą w przymierze z odłamami krańcowymi, zwłaszcza, jeśli przytem da się wytuzować kogoś starszego.

Jeden z tych krańcowych odłamów reprezentuje organ „Rozhledy", przegląd literacki, polityczny i socyalny, który redaguje i wydaje Józef Pelcl. Główną rolę w nim gra zaczepny i cięty w piórze Szalda. Jest to organ tak zwanej „Moderny Czeskiej". W artykule pod tym tytułem w roczniku V (1895 r.) takie ten odłam wyznanie wiary składa: „Chcemy w krytyce tego, o cośmy walczyli i wywalczyli sobie, mianowicie, byśmy mieli swoje przekonania, wolność słowa, bezwzględność. Czynność krytyczna jest pracą twórczą(?), artystyczno-naukową, samodzielnym rodzajem literackim, równocennym z wszystkimi pozostałymi (?). Chcemy indywidualności. Chcemy jej w krytyce, w sztuce. Artysty chcemy, nie echa cudzych tonów, nie elektyków, nie dyletantów. Nie cenimy pstrobarwnego łatania przejętych myśli i form, zrymowanych programów politycznych, imitacyi pieśni ludowych, wierszowanych fraszek folklorysty-

cznych... płaskiej objektywności realistycznej... Nie akcentujemy bynajmniej czeskości; bądź sobą, a będziesz czeskim... Nie znamy map narodowościowych. Chcemy sztuki, która nie jest przedmiotem zbytku i nie podlega zmiennym kaprysom mody literackiej" i t. d.

Zdawałoby się, że taki szumny, lubo okropnie mętny program, Bóg wie, co zapowiada, tymczasem w czynie okazuje się, że jest to łatanina frazesów ludzi wielce liberalnych..... dla siebie samych, ale niesłychanie dokuczliwych innym tą swoją indywidualną krytycznością. Po tych dw czasopismach „Czas" i „Rozhledy" z jednego pasma owej „indywidualności krytycznej" czy „krytyczności indywidualnej" powstały inne spokrewnione organa, jak na Morawie „Literarní listy", „Niva", „Vesna", „Czeska Straż", „Nový Život" (moderna katolicka?) oraz krańcowa dekadencya „Moderní Revue", organ zdecydowanych na wszystko „wyznawców upadku", wydawany przez Ernesta Prochazkę, a czytywany z naiwnym pietyzmem przez garstkę gimnazistów i studentów niższych kursów.

Gdyby hasło modernizmu, które dziś w Czechach łączy ze sobą takie kontrasty, jak uczony profesor filozofii (Masaryk) i żakowscy histryonowie marnych świstków, było brane poważnie i szczerze, wszyscy ci panowie powinniby oddawać należny hołd Vrchlickiemu, którego podniosły umysł i wrażliwa dusza doskonale odczuwa wszelkie prądy czasowe, staje z głębokiemi pytaniami wobec przyszłości, a na swej arfie ma także nawiązane struny „liryki nastrojowej". Z nich potrafi on wydobywać takie dźwięki, o jakich się wszystkim tym panom „nastrojowcom" ani śniło. Modernizmowi, rozumnie pojętemu, jest on o wiele bliższy, aniżeli ostatni romantyk europejski, Juliusz Zeyer, z którym panowie „secesyoniści" prowadzą flirt i którego potrafili nawet wciągnąć do swego „Almanacha secesyi". Wszelako olbrzym talentu nauki, wiedzy, płodności literackiej, rosnący ciągle w dobrze zasłużoną sławę, zyskujący z każdym dniem coraz większe uznanie i u obcych, mąż, o którym dobrze wiedzą i piszą nietylko w pierwszorzędnych literaturach, ale nawet u Flamandów, Prowansalów i Katalończyków, wydał im się — i to poniekąd słusznie — najbardziej niedogodną w literaturze czeskiej osobistością. Jego olbrzymia postać rzuca po za siebie gruby cień, a w nim toną wszystkie te mdłe figurki — a więc... „hejże na Soplicę!"

Co o nim wypisywano i jeszcze dziś się wypisuje, temu uwierzyć niepodobna!

— „Paru Niemców i tuzin Polaków czyta poezye pana Vrchlickiego. My co z tego mamy? Nic!” Tak pisał o wielkim poecie Jerzy Karasek, najzuchwalszy z apostołów dekadentyzmu w Czechach. Gdyby to nawet było prawdą, nie przemawiałoby na niekorzyść „pana Vrchlickiego”. Piosnka „Auf der grünen Wiese” była czas jakiś, a może jeszcze jest i teraz popularniejszą w całej Austryi, a nawet w samych Czechach, aniżeli najznakomitszy poemat.

Dok. nast. *Bronisław Grabowski.*



HERMAN SCHULZE Z DELITZSCH

i pomniki jego działalności.

(w 50 rocznicę).

Są ludzie, których imiona przechodzą do historyi i żyją długo w pamięci potomnych bez pomników spiżowych lub kamiennych. Pomnikami ich są dzieła geniuszu własnego lub własnej pracy. Do takich ludzi należał Herman Schulze z Delitzsch. Pomniki jego pracy istnieją nietylko w całych Niemczech, lecz w całej Europie, we wszystkich niemal jej zakątkach. Duch jego żyje dotąd w tysiącach, w dziesiątkach tysięcy towarzystw kredytowych i zaliczkowych. Pamięć o nim przechowuje się wszędzie, gdzie drobny kapitał, praca i przezorność ujęte zostały w formę organizacyi zbiorowej w znak solidarności. Pomniki jego sławy istnieją wszędzie, gdzie myśli i plany jego znalazły podatny grunt i zapuściły głęboko korzenie.

Nie wystarczało to jednak licznym jego wielbicielom. Oddawna już myśleli oni wystawić mu pomnik w Berlinie. Ale brutalna reakcya pruska nie mogła dotychczas zapomnieć Schulzemu, że był przewódcą partyi postępowej, i, ukrywszy się za plecami policyi berlińskiej, stawiała przeszkody, dopóki mogła. Nareszcie, po długich zatargach z przedstawicielami władzy pomnik Schulzego został uroczyście odsłonięty w Berlinie, w dniu 4-go sierpnia b. r., w pięć-

dziesiątą rocznicę założenia pierwszego stowarzyszenia systemu Schulze-Delitzsch.

Pomnik stanął na jednym z najskromniejszych i najbardziej ukrytych placów stolicy, jako znak widomy skromności i bezsilności tej klasy społeczeństwa, którą Schulze reprezentował, jako sztandar drobno-mieszczaństwa, dla którego apostoł z Delitzsch był prorokiem, a oszczędność i praca — ewangelią socyalną.

Zapewne, Herman Schulze nie był geniuszem myśli; nie stworzył nawet żadnej oryginalnej filozofii socyalnej. Najwulgarniejsza ekonomia polityczna stanowiła dlań skarbiec wiedzy, Bastiat był mu mistrzem. Ale ze źródła nauki mancherstérskiej można było zaczerpnąć skromny system praktyczny, czczy i praktyczny, jak owa klasa drobno-mieszczańska, dla której system ten przeznaczony został. Ta właśnie praktyczność głoszonych haseł, a bardziej jeszcze owa germańska umiejętność stosowania haseł do życia, owo nieugięte dążenie do wcielenia ich w praktyce — stworzyły sławę działacza w Delitzsch i wyrobiły mu miano „Króla państwa socyalnego” (König im socialen Reiche); w pierwszych latach swej działalności publicznej, kiedy pociągał za sobą nietylko przedstawicieli drobnego przemysłu, lecz olśniewał nawet inteligentniejszych robotników, okrzyczany został „apostołem klasy robotniczej”. Gdy ukazał się w druku „Herr Bastiat-Schulze von Delitzsch”, nicość systemu mancherstérskiego odsłoniętą została w całej swej nagości, i Schulze mógł być uważany w teoryi za „martwego” jak mówił Lassalle; ale czczość życia praktyczno-drobno-mieszczańskiego nie da się usunąć ze świata codziennego za pomocą polemiki, i Herman Schulze nietylko nie padł „martwy” w walce, lecz dotychczas żyć nie przestał!

Przenieśmy się na chwilę w lata 1863—64. Reakcya pruska zgłuszyła szczęk oręża 48 r. i tryumfowała: wszystko szło jej, jak z płatka. Walka przeniosła się z ulicy i pola powstań w sferę idei i organizacyi społecznej, na tle nowych warunków, wywołanych rokiem 1848. Partya postępowa, za którą stało mieszczaństwo liberalne i robotnicy, miała przeciw sobie reakcyę pruską i młodego Bismarcka, którego rogi brutalne wychylały się coraz śmielej, gotowe zadać cios ostateczny. Była to stara hydra feodalna, może jeszcze szczątki średniowiecznego świata, z którymi partya postępowa nie umiała sobie poradzić. Teraz przybył tej ostatniej nowy wróg, Fryderyk Lassalle. Wróg ten nie miał jeszcze za sobą żadnej warstwy społecznej, żadnej wielkiej organizacyi, na pozór więc był bezsilny. Ale był to nieustraszony polemista, który sam jeden wystę-

pował przeciw wszystkim, który darem słowa trzymał w rezerwie olśnionego Bismarcka. Budził on obawę wśród postępowego mieszczaństwa niemieckiego, niezdolnego już do gorącej walki na idee, kiwającego palcem w bucie na zamachy reakcyi, do szpiku kości przesiąkniętego już wyłącznie żądzą zysków materyalnych. Mieszczaństwo to oklaskiwało plany i działalność Schulzego, bo w nich widziało środek u spokojenia nietylko drobnego mieszczaństwa, zaniepokojonego rywalizacyą wielkiego kapitału, lecz i warstwy robotniczej, prącej się gwałtownie na arenę wielkiej polityki, warstwy najbardziej niespokojnej, którą „apostoł robotników" miał uśpić hasłem kapitalizacyi oszczędności. W tych warunkach Schulze i Lassalle stali się, jakby przedstawicielami dwu odmiennych biegunów. W sferze polityki socyalnej całe Niemcy zdawały się być podzielone na dwa obozy — jeden, reprezentowany przez „króla państwa socyalnego", drugi przez Lassalle'a. Obok nich Bismarck, usiłujący być „tertius gaudens". Jeden obóz i drugi miał plany, zmierzające do uszczęśliwienia ludzkości. Lassalle wystąpił z projektem, aby państwo przeznaczyło 100 tysięcy talarów na założenie pierwszej assocyacyi produkcyjnej, pewny, że ona pomyślnie się rozwinie i pociągnie całe społeczeństwo do komunizmu. Gdyby Bismarck nie dał tej sumy, miało ją dać powszechne głosowanie, bo robotnicy, stanowiąc „95% społeczeństwa", mogą z łatwością zdobyć większość parlamentarną i urzeczywistnić jego plany. Środek i rachunek prosty! Ale kapitalizm niemiecki nie był bynajmniej zwiędłą gałęzią historyi, którąby się łatwo spalić dała w ogniu planów lassallowskich. Rozkwit tego kapitalizmu przeszedł nad projektami reformatora do porządku dziennego, nie pozostawiwszy śladu w umysłach.

Przeciwnik jego był szczęśliwszym na polu życia praktycznego. I plany Hermana Schulzego z Delitzsch były proste, chociaż oparte nie na własnych, lecz zapożyczonych teoryach. Nie dosyć na tem: były nietylko proste, lecz bardzo poziome, tak poziome, że cały duch filisterski Niemiec zdawał się w nich być skrystalizowany. Nawet same te plany, mające uszczęśliwić ludzkość, nie były własnością oryginalną Schulzego, bo i one były zapożyczone. Ale zasługą Schulzego było, że umiał te plany zogniskować w jedno hasło socyalne, zastosować je do warunków praktycznych i wcielić je w życie — bez pomocy Bismarcka i powszechnego głosowania. Wprawdzie Lassalle wydarł mu miano „apostoła robotników", lecz nie zdołał wyrwać z pod nóg Schulzego owych warunków socyalnych, wśród których żyją drobni producenci i do których plany delitz-

schowskie tak doskonale pasowały. Plany Lassalle'a szybko się rozwiały, plany Schulzego stały się ciałem, które do ostatniej chwili nie przestało rozwijać się i rosnąć. „Der König im socialen Reiche" nie uszczęśliwił wprawdzie ludzkości całej, lecz niezmordowaną swą pracą i agitacyą dał dziesiątkom, setkom tysięcy drobnych producentów punkt oparcia i pomoc.

Na czemże polegały plany Schulzego i jakie rezultaty dała jego praca?

Odpowiedź na to znajdujemy przedewszystkiem w jego książce p. n. „Vorschuss- und Kredit-Vereine, als Volksbanken", w której myśli swe najściślej sformułował.

Plany Schulzego nie sięgały wysoko; dlatego właśnie urzeczywistniły się szybko. Jako przedstawiciel socyalnego liberalizmu, odrzucał pomoc państwową w dziedzinie ekonomiki i do ideału praktycznego podniósł manchersterskie hasło samopomocy. W suchym wykładzie podręczników teoretyczno-ekonomicznych hasło to robi wrażenie rozpaczliwego okrzyku: *sauve qui peut.* Liberalna bowiem filozofia indywidualizmu ekonomicznego nie każe spodziewać się żadnej pomocy od społeczeństwa — pomagaj sobie sam, ratuj się, jeżeli potrafisz, lub zgiń. Schulze umiał połączyć w praktyce ideę swobody i niezależności indywidualnej z ideą organizacyi i pomocy zbiorowej. Do biednych klas społeczeństwa wołał: nie oglądajcie się na pomoc obcą, ratujcie się sami, ale wspólnemi siłami! Samopomoc indywidualną, egoistyczną rozszerzył do samopomocy zbiorowej i solidarnej i w ten sposób nadał brutalnemu hasłu manchersterskiemu pierwiastek wysoce etyczny. Ważny również czynnik etyczno-społeczny widział Schulze w drugiem, gorąco przez się zalecanem haśle: oszczędności. Zapewne, oszczędność — to cnota dość mierna, jakkolwiek niezbędna. Nie figuruje ona w wielkim kodeksie altruizmu i cnoty chrześcijańskiej, ale za to jest głęboko zakorzeniona w filisterstwie niemieckiem. Jeżeli nie o każdym, to prawie o każdym Niemcu powiedzieć można, że posiada w swym domu trzy szkatułki, w które składa swój zarobek: w jedną kładzie pieniądze, przeznaczone na wydatki codzienne, w drugą — na wydatki peryodyczne, jak komorne, raty etc., w trzecią — pieniądze, przeznaczone na wszelki wypadek, które pozwala sobie naruszać tylko w wypadkach nadzwyczajnych: jest to oszczędność, narodowa cnota niemiecka, zamknięta na klucz w trzeciej szkatułce. Jak Bismarck zogniskował w sobie brutalność pruską, tak Schulze skupił w swych planach ową narodową cnotę oszczędności; jak Bismarck był geniuszem narodowej brutalności pruskiej, tak Schulze był ge-

niuszem narodowej oszczędności niemieckiej,—jeżeli może być mowa o geniuszu średniej cnoty.

Herman Schulze wychodził z założenia, że bez kapitału produkować dziś nie można. Kapitału zaś brak rzemieślnikom, i dlatego w konkurencyi ulegają oni prędko przemożnym siłom kapitalistycznym wielkiego przemysłu. Kapitału brak włościanom, i dlatego wpadają w szpony lichwy i chciwych przekupniów. Kapitału brak oficyalistom i urzędnikom niższych stopni, robotnikom i czeladnikom, i dlatego w razie choroby lub braku zajęcia giną z nędzy. Kapitał własny producent zastąpić może kapitałem pożyczonym, kredytem. Stąd powszechne wołanie warstw niższych o dostępny i wygodny kredyt. Wielkie zaś banki i instytucye kredytowe, z samej natury swych zadań, zamknięte są dla tych warstw.

Już w 1848 r. odzywały się w Niemczech głosy o potrzebie uprzystępnienia kredytu warstwom średnim i niezamożnym, i wtenczas już powstało sporo towarzystw kredytowo-zaliczkowych. Większość ich jednak wkrótce upadła, reszta prowadziła żywot suchotniczy, nie odpowiedziawszy pod żadnym względem swemu zadaniu.

Był to nieuchronny skutek zasady, na której towarzystwa te oparte zostały: zasady dobrowolnej ofiarności sfer bogatych. Kapitały zgromadzone zostały drogą darowizn i pożyczek bezprocentowych; funduszami tymi gospodarowano, jak zwykle w podobnych razach, bez oględności ekonomicznej, jak pieniędzmi, zebranymi na nędzę wyjątkową. Jakkolwiek pożyczkobiorcy zobowiązywali się zwracać wzięte sumy nawet z procentem, to jednak na całej sprawie ciążył duch darowizn i jałmużny. W takich warunkach pożyczki wyglądają raczej na zapomogi i, jako takie, są przyjmowane. Wierzyciel nie interesuje się siłą płatniczą dłużnika, dłużnik nie śpieszy się ze zwrotem. W ten sposób straty są większe, niż dochody, i sprawa upaść musi.

Historya podobnych instytucyi uczy, że one wtedy tylko zdolne są sprostać swemu zadaniu, jeżeli oparte są na własnej sile interesowanych i nie oglądają się na pomoc osoby trzeciej. Schulze był przeciwnym nietylko pomocy warstw bogatych, lecz odrzucał również pomoc państwa. „Dokąd ma to nas zaprowadzić, jeżeli już nawet odzywają się żądania, aby państwo obdarzyć obowiązkiem zaspakajania potrzeb kredytowych rozmaitych warstw producentów? jeżeli państwo ma zostać bankierem tych wszystkich, którzy dziś w zwykłych warunkach gospodarczych nie są zdolni otrzymać kredytu? Sięga to dalej jeszcze, niż uznanie prawa do pracy, bo nad wypełnieniem powierzonej roboty możliwą jest kontrola, nie zaś nad użyciem

kredytu, udzielonego na zaspokojenie potrzeb kredytowych. Niemożliwość zaspokojenia słusznej potrzeby kredytu w odpowiednich warunkach gospodarczych pcha potrzebujących w ręce lichwiarzy, — zadaleko idące i zbyt łatwe otrzymywanie kredytu prowadzi do lekkomyślnego nad-obdłużenia... Mieszanie się państwa do życia gospodarczego jest zawsze niebezpiecznem, szczególniej jednak niebezpiecznem staje się wtedy, gdy chodzi o zaspokojenie potrzeb kredytowych pod warunkami pomyślniejszymi, niż przy zwykłem prawidłowem prowadzeniu interesów. Kredyt opiera się na zaufaniu, zaufanie zaś musi być zdobyte". Tak pisał Schulze w wyżej wzmiankowanem dziełku, które stało się katechizmem drobnych producentów.

W jaki jednak sposób rzemieślnik, dla którego banki są zamknięte, może nabyć zdolności kredytowej? Odpowiedź na to dają stowarzyszenia Schulze-Delitzschowskie. „W organizacyi, opartej na zasadzie solidarności, na gruncie odpowiedzialności jednego za wszystkich i wszystkich za jednego, zdobywamy niezbędny środek ciężkości, do którego spływają nietylko drobne oszczędności wszystkich członków, lecz i pieniądze obce. Kredytu, odmawianego jednostce pojedyńczej, udziela się bez namysłu jednostce zbiorowej, w której każdy odpowiedzialny jest za wszystkich, i po niewielu latach stan i uznanie takich związków przy odpowiednim zarządzie są po większej części takie, że nie zawsze korzystać mogą z ofiarowanych im na kredyt pieniędzy". W ten sposób rośnie z roku na rok liczba członków, obrót i kredyt towarzystw kredytowo-zaliczkowych; dzięki tej zasadzie organizacye ich uznane zostały za wzorowe w całej Europie i wszędzie są zalecane.

Charakterystyczną cechą towarzystw systemu Schulze-Delitzsch, prócz wyżej wskazanej solidarności, jest jeszcze sposób tworzenia kapitału towarzystwa: kapitał ten tworzy się wyłącznie z własnych wkładów członków, bez obcej darowizny i pomocy. Wynika to z zasady samopomocy i solidarności interesowanych, które są podstawą główną systemu Schulzego.

Środek łatwego zdobywania kredytu nie tylko może być korzystnym dla rozwoju drobnego przemysłu: w rękach niezamożnych producentów może on łatwo stać się narzędziem obosiecznem, którego ostrze zwróci się przeciw nim samym, jeżeli pokrycie długów zgóry zapewnionem nie będzie. Z tego to powodu należało pomyśleć o stworzeniu kapitału dla każdego członka zosobna, który to kapitał służyłby jako środek pokrycia w razie niewypłacalności pożyczkobiorcy. Kapitał każdego członka tworzy się w formie udzia-

łu w towarzystwie. Daje to gwarancyę nietylko dla kredytu, udzielanego przez towarzystwo jego członkom, lecz i dla kredytu, udzielanego towarzystwu przez publiczność. Ponieważ jednak członkami towarzystwa mają być ludzie niezamożni, nie będący w stanie pokryć odrazu swych udziałów, przeto wkłady członkowskie rozdzielone zostały na regularne raty miesięczne, obliczone tak nizko, że i najbiedniejszy członek może je wnosić. W ten sposób oszczędność niemiecka wędruje z trzeciej szkatułki do kasy towarzystwa. System Schulzego znalazł jeszcze sposób naciągnięcia do *maximum* sprężyny oszczędności, a to w ten sposób, że zyski towarzystwa dzielą się według wielkości wkładu każdego członka. A tak po kilku latach zbiera się duży kapitał obrotowy, zabezpieczający w zupełności byt towarzystwa. Temu przypisać należy niezwykły rozkwit systemu Schulze-Delitzschowskiego.

Moralne znaczenie zebranego w ten sposób kapitału jest rzeczywiście znaczne. Wprawdzie udziały członków są dość drobne (przeciętnie 300 marek), ale każdy uczy się w ten sposób przezorności; zamiast żyć z dnia na dzień, zaczyna coraz bardziej myśleć o zwiększeniu swego kapitału; dalej, każdy czuje się związanym węzłem solidarności z całem stowarzyszeniem, pilnie śledzi interesy ogólne podobnych towarzystw i interesy całej warstwy społecznej, której jest członkiem; wreszcie przez sam swój udział w towarzystwie, przez sam fakt organizacyi uczy się samorządu na większą skalę.

Zasady, któremi kierują się towarzystwa Schulze-Delitzsch, są następujące:

1) Osoby, potrzebujące kredytu, łączą się w towarzystwo, którego same są kierownikami, dzieląc wspólnie ryzyko i zyski przedsiębiorstwa;

2) Towarzystwo pośredniczy w obiegu pieniężnym na zasadach zwykłej działalności bankowej, t. j. zarówno wierzyciele towarzystwa, jak i samo towarzystwo, od członków swoich pobiera za udzielony kredyt procent i prowizyę, zgodnie ze stanem rynku pieniężnego;

3) Część czystego dochodu przeznacza się na fundusz rezerwowy dla pokrycia ewentualnych strat i celem zwiększenia majątku towarzystwa;

4) Udziały członków tworzą się bądź przez natychmiastowe wpłacenie całej sumy, bądź przez raty miesięczne. Udziały stanowią miarę podziału dywidendy, która nie jest wypłacaną członkowi, lecz dołącza się do jego udziału. W ten sposób zarówno kapitał towarzystwa, jak i kapitał każdego członka, wciąż rośnie;

5) Reszta pieniędzy, potrzebnych do prowadzenia przedsiębiorstwa, otrzymuje się drogą pożyczek na wspólny kredyt wszystkich członków;

6) Do towarzystwa należeć mogą osoby ze wszystkich zawodów pracy: rzemieślnicy, robotnicy, rolnicy i urzędnicy. W ten tylko sposób da się wyrównać stosunek zapotrzebowania i zaofiarowania pieniędzy, nietylko między miastem a wsią, lecz i między rozmaitemi gałęziami pracy (w rozmaitych gałęziach wytwórczości kredyt nie jest potrzebny w jednym i tym samym czasie lub sezonie);

7) Towarzystwo jest związkiem osób (nie produkcyi) i służy tylko potrzebom kredytu osobowego;

8) Stosownie do tego kredyt w zasadzie jest krótkoterminowym. W miarę jednak możności, zwrot pożyczek rozłożony być może na raty zależnie od majątku towarzystwa;

9) W miarę rozwoju, towarzystwo staje się bankierem swych członków we wszystkich ich sprawach pieniężnych.

W tak prosty sposób, przez połączenie wielu drobnych sił, towarzystwo kredytowo-zaliczkowe podejmuje się jednego z najważniejszych zadań gospodarstwa narodowego, rozpowszechnienia dogodnego, taniego i drobnego kredytu. Krótki rys rozwoju tych towarzystw przekona nas, że system Schulzego z Delitzsch rzeczywiście dopiął swego celu: wszystkim drobnym producentom, zasługującym na kredyt, dał możność otrzymania kredytu.

W latach 1848 i 49, jak już wspomnieliśmy, powstało w Berlinie wiele towarzystw drobnego kredytu, obrachowanych na pomoc warstw bogatych. Towarzystwo zaliczkowe, założone przez Schulzego w Delitzsch 1850 r., różniło się od towarzystw berlińskich tem tylko, że pobierało skromny procent (do 10% rocznie) i wymagało od pożyczkobiorców, aby wstępowali na członków i płacili stałe wkładki miesięczne pół kopiejki. Wkładki te gromadziły się w kasie na dobro każdego członka. W tem tkwił już zarodek późniejszego urządzenia, według którego osoby, potrzebujące kredytu, stanowią samo towarzystwo i wnoszą kapitał obrotowy. Działalność jednak pierwszego tego towarzystwa była nadzwyczaj słaba, gdyż we wskazany wyżej sposób można było zebrać zaledwie 180 — 200 talarów. Większem daleko powodzeniem cieszyły się inne dwa towarzystwa: szewców i stolarzy, założone przez Schulzego 1849 r. w Delitzsch i Eilenburg w celu hurtowego zakupu materyałów surowych z pierwszej ręki. Przyczyną ich powodzenia była solidarna poręka wszystkich członków, wskutek czego towarzystwa te cieszyły się zna-

·cznym kredytem. Postanowiono tedy zastosować zasadę solidarnej poręki i do towarzystw zaliczkowych; w ten sposób udało się podnieść ich kapitały obrotowe do odpowiedniej wysokości, odpowiadającej potrzebom członków; zatrzymano przytem stałe wkładki miesięczne — *minimum* 1 grosz. Tak zorganizowane towarzystwo kredytowo-zaliczkowe w Eilenburgu (1851 roku) zaraz pierwszego roku mogło udzielić swym członkom kredytu w sumie 8,801 talarów, w roku następnym 13,336 talarów. 1852 roku Schulze zreorganizował towarzystwo delitzschowskie, wprowadzając zasadę tworzenia kapitału drogą własnych wkładów członków. Zamiast stałych wkładek i równego podziału zysków według liczby głów wprowadzono dowolną wysokość wkładek, począwszy od 2 groszy miesięcznie, dywidendę dzielono według wysokości włożonego przez każdego członka kapitału i w ten sposób stworzono nieustanną pobudkę do zwiększania wkładów i gromadzenia oszczędności.

Trzecie towarzystwo kredytowe zaliczkowe powstało 1853 r. w Zörbig (blizko Delitzsch) i pod kierownictwem kilku inteligentnych rzemieślników rozwinęło się nadzwyczaj pomyślnie. W r. 1854 powstały podobne towarzystwa w Eiselben i Celle, 1855 r. w Meissen i Bitterfeldzie. Wszystkie te towarzystwa przyjęły system Schulze-Delitzschowski, tak samo jak i inne, które od 1856 r. szerzyć się zaczęły szybko po całych Niemczech—a stąd po całej Europie.

Schulze starał się budzić zaufanie publiczności do towarzystw swego systemu i w tym celu zasilać rozmaite organy prasy odpowiednimi artykułami. W krótkim czasie pozyskaną została uwaga i sympatya społeczeństwa. Na pierwszym kongresie ekonomistów niemieckich, zwołanym z inicyatywy i za staraniem Schulzego w Gotha 1858 r., zasady jego znalazły uznanie w formie odpowiedniej rezolucyi. Wszystko to sprzyjało rozwojowi towarzystw zaliczkowo-wkładowych. Poczucie własnej siły, świadomość swego znaczenia wzrastały w ich łonie. Schulze otrzymywał liczne propozycye zwołania zjazdu, na którym przedstawiciele pojedyńczych towarzystw obradować mieli nad wspólnymi interesami, podzielić się doświadczeniami i przedsięwziąć wspólne kroki dla przeprowadzenia wspólnych celów. Pierwszy zjazd odbył się w czerwcu 1858 r. w Weimarze. Rezultatem tego zjazdu, między innemi, było stworzenie centralnego biura korespondencyjnego, jako punktu centralnego dla całego ruchu. Z biura tego rozwinął się w następnych latach „Ogólny związek niemieckich towarzystw zarobkowo-gospodarczych" (*Allgemeiner Verband der deutschen Erwerbs-und Wirtschaftsgenossenschaften*), rządzony „statutem organicznym", przyjętym na zjeździe w Mainz 1864 r.,

zrewidowanym później na zjeździe w Gera 1891 r. i będącym dotychczas w sile [1]).

Oprócz tych towarzystw kredytowo-zaliczkowych, obejmujących prawie wszystkie zawody pracy, powstały w siódmem dziesięcioleciu kasy pożyczkowe, przeznaczone wyłącznie dla rolników, które różnią się od kas Schulzego w najważniejszych kwestyach organizacyi. Twórcą tych kas rolniczych był burmistrz Raiffeissen (zmarły 1888 r.), który w piątem i szóstem dziesięcioleciu b. w. zakładał związki dobroczynności we wszystkich gminach, których był burmistrzem. 1864 r. Raiffeisen zreorganizował „Heddersdorfski związek dobroczynności" w pierwsze towarzystwo kasy pożyczkowej rolnej, 1877 roku zaś połączył kasy pożyczkowe swego imienia w jeden związek ogólny (*Anwaltschaftsverband*), zwany od 1888 r. „General-Anwaltschafts-Verband ländlicher Genossenschaften für Deutschland". Kasy te, przeznaczone wyłącznie dla

---

[1]) Siedzibą „ogólnego związku" jest Berlin. Przedstawicielem „związku" od 1859 do 1883 r. był Schulze-Delitzch, od 1883 do 1896 r. Schenck. Na zjeździe ogólnym w Wiesbadenie (1896 r.) wybrany został obecny przedstawiciel związku, Dr. Hans Crüger. Przedstawiciel prowadzi interesy całego związku, którego cele stanowią: a) popieranie tow. kred. zal. wogóle; b) ulepszenie ustroju i urządzeń związanych towarzystw; c) obrona ogólnych interesów środkami i siłami połączonemi; d) zawiązywanie i podtrzymywanie stosunków wzajemnych. Każdego roku odbywa się zjazd towarzystw; zjazd ten stanowi najwyższą instancyę Związku, nie miesza się jednak wcale do specyalnych spraw wewnętrznych oddzielnych towarzystw i w niczem nie krępuje ich samodzielności. Ogniwami, łączącemi organ centralny z towarzystwami pojedyńczemi całych Niemiec, są „związki prowincyonalne", zwane jeszcze „pod-związkami" lub „ściślejszymi związkami krajowymi", składające się z towarzystw oddzielnych krajów i prowincyi niemieckich. Celem „związków prowincyonalnych" jest obrona interesów towarzystw w oddzielnych państwach i krajach Rzeszy niemieckiej, zawiązanie między nimi ścisłych stosunków i pośrednictwo z punktem centralnym. „Związki prowincyonalne" odbywają swoje zjazdy, na których przygotowuje się praca dla zjazdów związku ogólnego i na których przedstawiciel tego ostatniego zapoznać się może ze stanem sprawy w oddzielnych krajach niemieckich. Obecnie istnieje przeszło trzydzieści podobnych „pod-związków": obrane przez nie zarządy stanowią „wspólny komitet", którego atrybucye skreślone są w statucie; prócz tego, obok przedstawiciela istnieje „komitet ściślejszy", składający się z siedmiu członków, wybieranych na zjeździe ogólnym z pośród dyrektorów pod-związków (lub ich zastępców). Organem związku ogólnego są „Blätter für Genossenschaftswesen" (przedtem p. n. „Innung der Zukunft"); prócz tego przedstawiciel wydaje „sprawozdania roczne" (*Jahresberichte*) i „wiadomości" (*Mitteilungen*) o rezultatach zjazdów ogólnych. 1865 r. związki założyły „Deutsche Genossenschaftsbank von Sörgel, Parrisius & Co", w Berlinie (od 1871 r. ze spółką komandytową we Frankfurcie n/M.), posiadający dziś w akcyach przeszło 21 milionów marek). Zadaniem Banku tego jest udzielanie związkom kredytu bankowego.

rolników, rozpowszechniły się głównie na zachodzie Niemiec. Wkrótce jednak w Hessen i Baden kasy rolne przyjęły system organizacyi, zbliżony bardzo do systemu Schulze-Delitzsch. Między kierownikami tych kas a Raiffeisenem powstały ważne różnice poglądów, wskutek czego kasy te, przy pomocy Schulzego utworzyły 1883 r. związek, niezależny od Raiffeisena („Vereinigung der deutchen landwirtschaftlichen Genossenschaften") zwany od 1890 r. „Allgemeiner Verband der deutschen landwirtschaftlichen Genossenschaften". Związek ten zorganizowany jest w ten sam sposób, co związek ogólny towarzystw systemu Schulze-Delitzsch.

Tymczasem okazało się, że nie wszystkie towarzystwa systemu Schulzego korzystać umieją z doświadczenia innych, że objaśnienia listowne nie zawsze osiągają należyty skutek, gdyż z miejsca centralnego (Berlina) trudno znać dokładnie szczegółowe stosunki miejscowe i wszystko uwzględnić. Z tego powodu w oddziałach ogólnego związku Schulze-Delitzschowskiego powstały t. zw. rewizye związkowe, polegające na tem, że związek wybiera osoby, które od czasu do czasu dokonywają rewizyi oddzielnych towarzystw i starają się w porozumieniu z ich zarządami usuwać niedokładności i ulepszać ich administracyę. Urządzenie to okazało się tak dobrem, że prawo o towarzystwach spółdzielczych, kredytowo-zaliczkowych, z dnia 1 maja 1899 roku uznało je za obowiązkowe.

Roku 1867 udało się agitacyi i staraniom Schulzego z Delitsch zdobyć w Prusach pierwsze prawo państwowe, regulujące towarzystwa kredytowo-zaliczkowe i spółdzielcze. Za Prusami poszły wkrótce inne państwa niemieckie. Obecnie obowiązuje w całych zjednoczonych Niemczech ogólne prawo o tych towarzystwach.

Prawo z dnia 1 maja 1889 r., prócz towarzystw z poręką nieograniczoną, pozwoliło tworzyć towarzystwa kredytowe z poręką ograniczoną. Ostatni rodzaj poręki ma o tyle tylko znaczenie, że przyjmują go towarzystwa, posiadające znaczniejsze majątki. W ostatnich czasach pozakładano wiele nowych towarzystw z poręką ograniczoną, lecz dotychczasowe doświadczenia przemawiają raczej przeciw temu systemowi odpowiedzialności, zwłaszcza, gdy fundusze są słabe. — Prócz tego, prawo powyższe pozwoliło tworzyć związki ogólne, składające się z pojedyńczych towarzystw, co w znacznym stopniu sprzyjało tworzeniu się kas centralnych.

W ostatnim dziesiątku lat ruch towarzystw kredytowo-zaliczkowych wszedł w nową fazę rozwoju, a to dzięki temu, że zasada

samopomocy przestała być jedynie rozstrzygającą w ich działalności; górę zdobył nowy kierunek, mający za hasło samopomoc, uzupełnioną przez pomoc państwową. Kierunek ten, cieszący się poparciem rządów niemieckich, znalazł swój punkt centralny w państwie pruskiem, mianowicie w pruskiej centralnej kasie towarzystw spółdzielczo-kredytowo-zaliczkowych („Preussische Central-Genossenschafts-Kasse"), stworzonej przez rząd prawem z dnia 31-go lipca 1895 r. Celem tej kasy jest popieranie kredytu osobowego towarzystw kredytowo-zaliczkowych. Kapitał zakładowy tej kasy wynosił naprzód 5 milionów marek, lecz prawem z dnia 8 czerwca 1896 roku podniesiony został do wysokości 20 milionów marek. W ten sam sposób popierany jest ruch towarzystw kredytowo-zaliczkowych i w innych państwach niemieckich. Temu poparciu rządowemu przypisać należy powstanie tysięcy drobnych kas pożyczkowych rolnych, a w ostatnich czasach i kas pożyczkowych rzemieślniczych. Z drugiej jednak strony ruch stracił z tego powodu poważny silny grunt ekonomiczny: powstają kasy bez względu na potrzeby i brak odpowiednich kierowników. Bardzo wiele kas powstaje tylko na papierze.

W liczbie towarzystw kredytowo-zaliczkowych przeważają w znacznym stopniu kasy pożyczkowe rolne. Z ogólnej liczby 8,000 kas w 1896 r. było 5,200 kas rolnych. Reszta (2,800 towarzystw obejmowała) osoby ze wszystkich zawodów pracy. Ale i wiejskie kasy pożyczkowe straciły w wielu miejscach charakter czysto rolny: należą do nich, prócz rolników drobnych, kupcy i rzemieślnicy. Przewaga wiejskich kas tłómaczy się głównie agitacyą władz rządowych, dążących do jaknajwiększego ich rozpowszechnienia.

Nie możemy przedstawić czytelnikom rezultatów działalności wszystkich towarzystw drobnego kredytu, gdyż drobna tylko część wiejskich kas pożyczkowych ogłasza swe dane, i to niezupełne. Jedynie tylko ogólny związek Schulze-Delitzschowski podaje szczegółowe sprawozdania z działalności i obrotów swych towarzystw. W tablicy poniższej czytelnik znajdzie ogólny obraz rozwoju towarzystw, opartych na systemie Schulzego z Delitzsch, począwszy od roku 1859, to jest od czasu wydawania „sprawozdań rocznych" [1]):

---

[1]) Do 1895 r. (włącznie) p. „Vorschuss-und Kredit-Vereine, als Volksbanken", wyd. 6-te, 1897. Dane lat następnych — p. „Soziale Praxis" roczniki: VI, № 52, str. 1274, VII, № 48, str. 1266, VIII, № 43, str. 1153.

Lata	Liczba Schulze-Delitzchowskich towarzystw.	Liczba towarzystw, które ogłosiły sprawozdania	Liczba członków	Suma udzielonego kredytu i prolongacyi (w markach)	Majątek własny w markach: Udziały członków	Majątek własny w markach: Rezerwy	Suma przyjętych obcych pieniędzy w markach
1859	ok. 200	80	18.676	12,394,308	738,003	92,535	3,042,435
1865	839	498	169,595	202,709,709	13,328,637	1,229,037	52,970,328
1870	1272	740	314,656	622,854,861	40,347,456	3,642,525	137,997,486
1875	1726	815	418,251	1,495,648,437	83,542,008	8,427,981	330,161,901
1880	1895	906	460,656	1,447,526,317	102,029,366	16,398,062	364,449,945
1885	2118	896	458,080	1,533,840,929	107,841,112	21,581,595	401,801,383
1890	ok. 2600	1072	518,003	1,641,574,191	117,079,868	28,475,381	453,826,256
1895	ok. 2800	1068	525,748	1,659,305,785	125,791,326	37,693,574	467,123,041
1896	—	1055	527,765	1,673,687,936	129,774,777	39,732,504	515,771,204
1897	—	872	490,924	$1^3/_4$ miliard.	$694^1/_2$ miliona marek [1])		
1898	—	862	497,111	1,907,000,000	$121^2/_3$ miliona	$39^1/_2$ miliona	$528^3/_4$ miliona

[1]) Suma całego kapitału obrotowgo. P. „Soziale Praxis“ № 48, str. 1266, VII rocznik.

W sprawozdaniach ogólnego związku znajdują się również dane, tyczące się składu osób, zorganizowanych według systemu Schulzego. W statystyce sprawozdania rocznego 1895 wzięło udział 1,021 towarzystw kredytowo-zaliczkowych, liczących razem 505,331 osób. Według rodzaju zajęć osoby te dzieliły się, jak następuje:

I.	Właściciele rolni, ogrodnicy, leśnicy, rybacy . .	161,609
II.	Pomocnicy i robotnicy powyższych zawodów .	14,152
III.	Fabrykanci, właściciele kopalń i przedsiębiorcy budowlani.	15,718
IV.	Samodzielni rzemieślnicy	128,527
V.	Robotnicy fabryczni, górnicy, czeladnicy . . .	27,834
VI.	Samodzielni kupcy i handlarze.	43,980
VII.	Agenci handlowi i inni pomocnicy handlowi . .	4,209
VIII.	Właściciele furmanek, łodzi i statków, hoteli i szynków.	24,001
IX.	Listonosze, niższi urzędnicy kolejowi, telegrafu i poczty, robotnicy kolejowi, majtkowie, kelnerzy	11,195
X.	Służący	4,455
XI.	Lekarze, aptekarze, nauczyciele, artyści, dziennikarze, urzędnicy kościelni, państwowi i gminni	31,146
XII.	Rentyerzy, emeryci i inne osoby bez zawodów .	38,505

Rolnicy i rzemieślnicy stanowią zatem najgłówniejszą część członków [1]).

Spójrzmy na te miliardy pożyczek, a odrazu uprzytomnimy sobie, jak ważną pomoc okazał Schulze z Delitzsch drobnym producentom, zagrożonym współzawodnictwem wielkiego przemysłu, ile drobnych warsztatów uchronił od zagłady, ile gałęzi drobnego przemysłu podniósł do rozkwitu, ile osób uratował od lichwy i bankructwa. Spójrzcie na miliony zebranego kapitału, miliony, powstałe z drobnych sum, a przekonacie się o tem naocznie.

O pomyślnym rozwoju towarzystw Schulze-Delitzsch świadczy zresztą najlepiej wysokość stopy procentowej pożyczek, udzielanych

[1]) 1896 r. w liczbie członków towarzystw, które złożyły sprawozdania, było 31% rolników, 25,3% rzemieślników; 1897 r. członkowie towarzystw sprawozdawczych dzielili się, jak następuje: 30% drobnych właścicieli rolnych, 26% samodzielnie pracujących rzemieślników, 10,5% robotników; 1898 roku: 31,6% rzemieślników, 32,4% rolników, 36% innych zawodów; p. „Soziale Praxis“, l. c.

członkom; jest to bowiem najważniejszy miernik dogodności i taniości kredytu. W r. 1875 Schulze z Delitzsch, jako normalną stopę procentową, ustanowił 6—7%. Dane 1893 roku wykazały, że towarzystwa jego systemu pobierały od członków już tylko 5—6%, w roku zaś 1897 stopa procentowa zniżoną została do 4 — 5% włącznie z prowizyą [1]). Ten spadek stopy procentowej dowodzi najlepiej, że towarzysswa systemu Schulze-Delitzsch wywiązały się znakomicie ze swego zadania — udzielania taniego kredytu.

Niezawodnie, Schulze z Delitzsch był najgłówniejszym promotorem nietylko ruchu, znanego pod jego nazwą, lecz wogóle owego olbrzymiego rozwoju wszelakiego rodzaju towarzystw spółdzielnych, jak charakteryzuje rozwój gospodarstwa narodowego Niemiec. To też, opisując rozwój i stan towarzystw systemu Schulze-Delitzch, trudno zamilczeć o stanie innych towarzystw spółdzielczych, posiadających niemniej ważne znaczenie. Mamy przed sobą sprawozdania z dwu kongresów: 39-go kongresu niemieckich towarzystw zarobkowo-gospodarczych („Erwerbs-und Wirtschaftsgenossenschaften"), odbytego w sierpniu 1898 r. w Neustadt (w Palatynacie) oraz 14-go zjazdu związku niemieckich towarzystw spółdzielczych rolnych („Verband der deutschen landwirtschaftlichen Genossenschaften"), odbytego również w sierpniu r. z. w Karlsruhe. Ze sprawozdania pierwszego zjazdu wyjmujemy następujące charakterystyczne dane: liczba towarzystw spółdzielnych wszelkiego rodzaju wynosiła w dniu 1 sierpnia 1898 r. w Niemczech 16,049 (w 1897 r. — 14,842). W tem liczono: 10,259 towarzystw kredytowo-zaliczkowych, 73 towarzystw rzemieślniczych zakupu materyałów surowych, 1,167 takichże towarzystw rolnych, 30 rzemieślniczych warsztatów rzemieślniczych [1]) współdzielczych, 455 takichże warsztatów rolnych, 70 rzemieślniczych towarzystw magazynowych (bazarów rzemieślniczych), 83 takichże bazarów rolnych, 179 towarzystw produkcyjnych rzemieślniczych, 1932 towarzystw produkcyjnych rolnych, 233 towarzystw spółdzielczych rozmaitego rodzaju, 1396 towarzystw spożywczych, 192 towarzystw budowlanych.

Związek, reprezentowany na drugim z wyżej wspomnianych kongresów, liczył: 11,854 towarzystw rolnych (w r. 1897 — 10,669). Między niemi samych kas pożyczkowych i oszczędności było 8,451, dalej 1,040 towarzystw rolnych zakupu i sprzedaży, 1716 towarzystw produktów mlecznych, oraz 647 innych towarzystw, obejmujących

---

[1]) P. „Soziale Praxis", VI roczn. Nr. 52, str. 1273.

38 rozmaitych gałęzi produkcyi rolnej. Do tego dodać należy 800 niezależnych towarzystw spółdzielczych, z których przeważna część ma na celu zakupy hurtowe. Kasy centralne „ogólnego związku" rolnego miały 1897 r. 405 milionów marek obrotu, kasy związków prowincyonalnych — 140 mil. m., kasa związku w Neuwiede miała 270 mil. m. obrotu. Obrót ogólny wynosił: 1894 r. 265 mil., 1896 r. — 451 mil. i 1897 r. —818 milionów marek. Centralne towarzystwa zakupów, należące do „związku ogólnego", kupiły towarów na sumę 17 milionów marek i sprzedały towarów w sumie za 300,000 marek w r. 1897 — 8. Towarzystwa sprzedaży masła sprzedały 1897 r. za 5 milionów marek tego towaru.

Sprawozdanie kongresu w Neustadt daje również poznać, jakie szerokie masy ludności rzemieślniczej i rolnej ogarnął ruch spółdzielczy i kredytowy, jaka część ludności wogóle przyjmuje udział w tym ruchu. W sprawozdaniu tem czytamy: „Bardzo trudno było zebrać odpowiedni materyał, gdyż jeden tylko związek ogólny Schulze-Delitzschowski wydaje kompletną statystykę; z 8000 towarzystw kredytowych 1895 r. tylko 1068 przyjęło udział w tej statystyce. Statystyka rolnych związków spółdzielczych na ważne te kwestye nie daje żadnej odpowiedzi. Według obliczeń, dokonanych przez osobę kompetentną [1]), przyjąć należy, że owe 8,000 towarzystw kredytowych (dane tyczą się 1895 roku) liczyły razem około 1,430,000 członków, podczas gdy 1882 r. było tylko 2,500 towarzystw kredytowych, liczących zaledwie 700,000 członków. Jest to wielki postęp. W ten sposób, przy porównaniu ze spisem państwowym ludności zarobkującej (Berufszählung) 1895 roku, na 1000 osób zarobkujących były 62 osoby, należące do towarzystw kredytowych, podczas gdy 1882 r. tylko 37. Owe 1,430,000 członków razem ze swemi rodzinami przedstawiają liczbę 3,150,000 mieszkańców.

„Z liczby 1,430,000 członków 951,000 wypada na towarzystwa kredytowe systemu Schulze-Delitzsch, w liczbie zaś tych ostatnich było 304,000 drobnych właścicieli rolnych.

„Liczba rolników, należących do wszystkich towarzystw kredytowych, wynosi około 780,000, tak, że, przy porównaniu z niemieckim spisem ludności zarobkującej, na 1000 drobnych właścicieli rolnych wypadało 300 członków towarzystw kredytowych; 1882 r. udział drobnych rolników w towarzystwach kredytu rachowano na 350,000,

---

[1]) Dr. Hirschberg zebrał starannie odpowiednie materyały, posiłkując się spisem ludności zarobkującej 1882 i 1895 roku.

z 1,000 zatem drobnych właścicieli rolnych tylko 154 należało do towarzystw kredytowych. Taki sam rachunek wykazuje w warstwie drobnych fabrykantów i samodzielnie pracujących rzemieślników 271,000 członków czyli 131‰ ludności zarobkującej tych warstw, podczas gdy trzynaście lat przedtem stanowili tylko 74‰, tak, że i tu znaczny postęp jest dokonany. Drobni kupcy samodzielni dali 83,000 członków czyli 141‰ (1882: 90‰); lekarze, nauczyciele, artyści, pisarze i wyżsi urzędnicy — 59,000 czyli 41‰, podczas gdy 1882 r. stanowili 31‰.

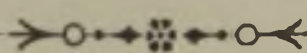
„Liczbę członków 1,400 towarzystw spożywczych 1895 roku liczyć można na 500,000, tak, że, dodając 1,2% członków rodzin, otrzymamy liczbę 1,100,000 mieszkańców, którzy przyjmowali udział w towarzystwach spożywczych. Na 1,000 osób zarobkujących wypadało 22 członków towarzystw spożywczych, 1882 r. tylko 11.... W towarzystwach spożywczych fabrykanci i rzemieślnicy stanowią 30‰ osób, należących do tego stanu (w 1882 r. tylko 21‰); robotnicy fabryczni, górnicy, czeladnicy i t. p. (razem 140,000 członków) 22‰ (1882 r. 14‰); kupcy 12,500 członków czyli 21‰ (1882 r. 15‰), kupcy niesamodzielni (subjekci i t. p.) — 14,500 członków czyli 22‰ (1882 r. 14‰); profesye liberalne i wyżsi urzędnicy — 31,000 członków czyli 22‰ (1882 r. 19‰)".

Nakoniec — kilka szczegółów biograficznych. Herman Schulze urodził się w Delitzsch, w prowincyi Saskiej, 29 sierpnia 1808 roku. Od 1826 do 1829 studyował nauki prawne w Lipsku i Halli, poczem wstąpił na służbę do sądu prowincyonalnego w Turgau. 1833 r., po złożeniu drugiego egzaminu, został assesorem przy sądzie skarbowym w Berlinie. W Delitzsch, jako zastępca sędziego, zetknął się bliżej z warstwą drobnomieszczańską i poznał naocznie potrzeby i interesy tej klasy. 1838 r., po złożeniu trzeciego egzaminu i otrzymaniu nominacyi na sędziego, Schulze przedsięwziął szereg długich podróży, z których rezultatów zdaje sprawę w swym dzienniku, gdzie prócz próbek wycieczek w dziedzinę poezyi, spotykamy już poważne interesowanie się sprawami ekonomicznemi. Wybrany 1848 r. do pruskiego zgromadzenia narodowego, Schulze przyłączył się do lewego centrum i przewodniczył w komisyi, mającej na celu zbadanie stanu i potrzeb klasy robotniczej i rzemieślniczej, 1849 r. należał do liczby posłów, oskarżonych z powodu odmówienia podatków rządowi. Wypowiedziana przezeń z tego powodu mowa na sądzie zrobiła silne wrażenie, i dzięki wspaniałej swej obronie został uwolniony razem ze współoskarżonymi, prócz jednego. W na-

stępnym roku otrzymał posadę sędziego powiatowego w mieście Września, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, ale już 1851 r. wskutek konfliktu z ministrem sprawiedliwości złożył swój urząd i wrócił do Delitzsch. Tu już latem 1849 r. założył był kasę chorych i pogrzebową oraz stowarzyszenie szewców, mające na celu zakupy materyałów surowych z pierwszej ręki i po cenach hurtowych. 1850 r. założył pierwsze towarzystwo zaliczkowe na zasadzie solidarnej poręki. Od tego czasu poświęcił się z zapałem sprawie towarzystw kredytowo-zaliczkowych i ich rozwoju. Jako poseł do Izby pruskiej (od 1861 do 1875 r.), i później, jako poseł do parlamentu Rzeszy niemieckiej, Schulze był niestrudzonym rzecznikiem prawodawstwa na rzecz towarzystw kredytowo-zaliczkowych, domagając się praw, regulujących i popierającyeh ruch, przezeń stworzony. W tym czasie założył „związek niemieckich towarzystw kredytowych" i został wybranym jego pełnomocnikiem, kierował własnym organem, przeznaczonym dla celów ruchu towarzystw kredytowych p. n. „Innung der Zukunft" (Bractwo przyszłości, później p. n. „Blätter für Genossenschaftswesen"), pomagał przy zakładaniu (1865 r.) niemieckiego banku towarzystw kredytowych („Deutsche Genossenschaftsbank"), który miał na celu pośrednictwo w stosunkach bankowych oddzielnych towarzystw kredytowo-zaliczkowych. Na polu działalności politycznej Schulze był jednym z głównych kierowników partyi postępowej. Prócz tego organizował i kierował „zjazdem oświaty ludowej", „związkiem nacyonalnym" i „Towarzystwem szerzenia oświaty ludowej".

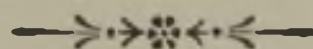
Herman Schulze jeszcze za życia swego mógł się cieszyć rozpowszechnieniem swych idei i oglądać pokaźne rezultaty swej działalności. Jego „sprawozdanie roczne" za 1881 rok wykazywało istnienie i pomyślny rozwój 3,481 towarzystw kredytowych w Niemczech, nie licząc innych krajów. Umarł 29 kwietnia 1883 roku.

Z pośród licznych składanych mu hołdów wspomnijmy dar honorowy, ofiarowany mu przez przyjaciół—150,000 marek. Z sumy tej Schulze przyjął tylko nieznaczną część na kupno małego domku, w którym sam zamieszkał, resztę przeznaczył na poparcie sprawy rozwoju towarzystw kredytowo-zaliczkowych. *W.*



POWRÓT DO GNIAZDA.

OPOWIADANIE.



Ciemno już było, kiedy pociąg zatrzymał się przed małą stacyjką, stojącą w szczerem polu. Piatyhorski szybkim, nerwowym ruchem wychylił się z okna i niecierpliwie szukał zawieszonej na ścianie tablicy z nazwą stacyi. Czynił to już od paru godzin, podczas każdego przystanku, wybiegając wciąż naprzód myślą, spragnioną miłego widoku. Gwałtowna radość zalała jego serce, gdy ujrzał napis „Antonówka", czerniący się na białem tle tablicy. Chciał zawołać posługacza, ale nie mógł dojrzeć go na peronie, na którym stało nieruchomo paru znudzonych urzędników w czerwonych czapkach i snuła się szczupła garstka chłopów i żydów, ciekawie zaglądających do okien pociągu. Sam przeto wziął walizkę do ręki i przeszedł do małej salki stacyjnej, gdzie znowu zastał kilku włościan, mierzących go badawczem spojrzeniem. Znalazł się wreszcie i posługacz, wesoły chłopak o szerokiej, bezmyślnej twarzy, przyglądający się podróżnemu z niemniejszą, jak inni, ciekawością. Dopiero na zapytanie: czy są konie z Wesołego Kąta? — uchylił zlekka czapki i poszedł załatwić polecenie.

Piatyhorski rozejrzał się dokoła ze szczególną badawczością, jakby pragnąc utrwalić w sobie wrażenia, doznawane przy pierw-

szem zetknięciu się z rodzinną, nawpół zatartą w pamięci jego okolicą. Zauważył przedewszystkiem, że salka była ciemna i brudna. Od sufitu zwieszała się anemiczna lampka, roniąca liche światło na całą tę nędzę i zaniedbanie. Pod wpływem przygnębiającego smutku, jaki go opanował, Piatyhorski siadł na ławce, oddając się rozmyślaniom na temat historyi cywilizacyi. Nie zauważył nawet, jak chłopi opuścili salkę, zostawiając go sam na sam z własnemi myślami, które w miarę poddawania się napływającym szybko wspomnieniom z lat dziecinnych stawały się coraz milszemi. Przed oczyma jego zamigotały bujne łany zbóż różnofarbnych na szerokich bezgranicznych przestrzeniach i białe ściany chat, kryjących się twożliwie w głębokim jarze, przeciętym wąziuchną wstęgą rzeczułki, a dalej, na skraju wsi, ujrzał obszerny dwór szlachecki, okolony wieńcem drzew, ochraniających go od spieku. Zerwał się nagle, jakby przejęty ogromnem pożądaniem. Usta jego szeptały bezwiednie:

— Do domu... prędzej... do domu...

Błogie ciepło objęło mu serce: smutek i niechęć znikały, jak mgła poranna. Zapragnął skrzydeł, lotu orlego, aby prędzej ujrzeć ściany domostwa i ucałować prochy ziemi swojej, rodzinnej...

Zniecierpliwiony długiem oczekiwaniem na posługacza wyszedł wreszcie z poczekalni, aby przyspieszyć odjazd. Dwie latarnie naftowe oświetlały zabrukowany dziedziniec, na którym stała teraz tuż koło schodów mała grupa włościan, zamieniających od czasu do czasu urywane zdania w formie uwag.

Właśnie zaturkotał hałaśliwie czterokonny powóz, zbliżający się powoli do podjazdu. Ujrzawszy stojących na drodze ludzi, woźnica krzyknął: z drogi! — lecz ci obejrzeli się tylko niedbale, nie zmieniając wcale pozycyi. Dopiero, gdy łby końskie były już nad nimi, odwrócił się nagle jeden z gromadki, chłop młody i barczysty, i, chwyciwszy pierwszego z brzegu konia za lejce, począł krzyczeć grzmiącym głosem i kląć woźnicę za najeżdżanie ludzi.

Na ten widok Piatyhorski zbladł nagle, w oczach jego zamigotały płomyki, a ręka zacisnęła się w pięść bezwiednym odruchem. Chciał rzucić się zaraz na zuchwalca i połamać na nim trzymaną w ręku laskę, lecz powstrzymała go rodząca się gdzieś w głębi ducha refleksya, że takie pierwsze wystąpienie w rodzinnej okolicy nie uprzyjemniłoby mu dalszego w niej pobytu, nie licowałoby zresztą z jego zasadami. Powstrzymał się więc na chwilę, a tymczasem dojrzał go stojący o kilka kroków dalej posługacz, przyglądający się dotychczas dość obojętnie całemu zajściu, i zawołał pojednawczym tonem:

— No, dość krzyku!.. Idźcie nabok...

Chłopi, odwróciwszy się, patrzali przez chwilę na Piatyhorskiego, poczem w milczeniu usunęli się nieco z drogi.

. . . .

Gdy powóz wyjechał na szeroki, cichy gościniec, Piatyhorski spokojnym już głosem spytał woźnicę:

— Któż to tak krzyczał na ciebie?

— To Hnat Chwedorenko, paniczu.

— Skąd on?

— Z Wesołego Kąta.

Gorzki uśmiech osiadł na ustach młodego dziedzica. Nie tak witano przed laty jego ojca, gdy wracał ze studyów uniwersyteckich do rodzinnego majątku... o, nie tak! Całą gromadą wyszli włościanie naprzeciw młodego pana, niosąc „chlib ta sil", jako zadatek rozkoszy, czekających nań w tej cichej wiosce. Rozradowane były wszystkie serca, starosta gromadzki wystąpił z mową dziękczynną, w której pod niebiesa wynosił „panicza" za jego pamięć o swoich i za powrót w progi ojczyste; jakiś nastrój serdeczny ogarnął wszystkich bez wyjątku, aż łzy zaszkliły się w wielu oczach... I długo, długo potem jeszcze rozjaśniało się wielką pogodą oblicze starego pana, gdy opowiadał małemu Zygmusiowi o tym dniu miłym i pięknym.

Ale było to już dawno. Między jednem a drugiem powitaniem upłynęło lat niemal czterdzieści, i Zygmunt Piatyhorski rozumiał to doskonale, że byłoby wprost śmiesznością wymagać dziś jeszcze podobnego nastroju. Nie ci ludzie, nie te czasy! Ludzkość zrobiła olbrzymi krok naprzód na drodze rozwoju demokracyi, nierówności społeczne wygładziły się niemal zupełnie, wszyscy są teraz wolni i sobie równi, i chyba tylko jaki starej daty szlachcic „moszterdzieju" cieszy swe serce widokiem czapkowania oraz innych zabytków sielankowej epoki poddaństwa. Nie po to przecież spędził on, Piatyhorski, tyle czasu na wszechnicach warszawskiej i wrocławskiej, aby teraz, ledwie poczuwszy zapach ojczystej roli, brać kańczug do ręki i przeklinać przy każdej sposobności pamięć matek tego „bydła" roboczego, które zawsze z czarną, prawdziwie szatańską niewdzięcznością gryzie rękę, chleb mu niosącą. Aż zmarszczył się na myśl, że zapewne już wkrótce w rzeczywistości, nie, jak dotychczas, w artykułach pism postępowych, spotykać się zacznie z podobnymi

poglądami. Lud, chłopi, dopiero wykluwający się z powijaków barbarzyństwa, w których tak długo usiłowali przytrzymać ich panowie, powinni być traktowani z wyrozumiałością, nawet z życzliwością jak największą, gdyż jest to siła, która może świat cały pchnąć na nowe, lepsze tory. Nie tylko może pchnąć, ale z pewnością popchnie...

Na twarzy uczuł nagle świeży powiew nocy, i myśli jego rozpierzchły się, jak stado ptactwa. Lekki, łagodny wietrzyk przeleciał szybko zcicha i zginął w tajemnych głębiach zmroku. Muśnięty jego skrzydłami Piatyhorski odczuł rozkoszne drżenie, jak pod dotknięciem kochanej dłoni, niosącej pieszczotę i upojenia miłości. Serce jego zabiło znowu wielkiem pożądaniem: ten stary dom, gdzieś w jarze, na skraju wsi stojący, ciągnął go ku sobie jakąś mocą nieprzepartą, dziwnym urokiem znajomych kątów, wspomnieniem lat szczęśliwych. Ogarnęła go upajająca melancholia rzeczy, bardzo kochanych i zawsze miłych, cicha i senna słodycz dawnego bytu, niezamącona odgłosami życia.

Długo tak jechał po równej, gładkiej drodze, wśród nocy, ocieniającej wszystko granatową, nabijaną złotem gwiazd oponą. Rozległe, bezgraniczne, zda się, przestrzenie, które przebywał, budziły w nim wrażenia dziwne i silne, jakich nigdy dotychczas nie doświadczał. Był tu bowiem ostatni raz przed dziesięciu z górą laty, jako piętnastoletni wyrostek na wakacyach, nieświadomie korzystający z uciech młodości. Świat był dla niego wówczas zbyt piękny, a otrzymane wrażenia zbyt pierwotne i potężne, ażeby chciał i mógł je analizować. Później lato spędzał już zawsze zagranicą, przy boku matki, która zamieszkała nad błękitnym Lemanem, szukając w spokoju i łagodnem powietrzu ulgi dla cierpień długotrwałych. Ukończywszy gimnazyum, zapisał się na uniwersytet warszawski, ale na święta i wakacye jeździł do Szwajcaryi. Dalsze studya odbywał we Wrocławiu, a po uzyskaniu doktoratu nie opuszczał już matki, której zdrowie pogorszało się stale.

Gdy zmarła i ciało jej złożono na zielonym cmentarzu, Zygmunt odzyskał swobodę ruchów. Zwiedził Włochy, ciągnące go oddawna ku sobie czarem sztuki, poczem wyjechał do Francyi, zamierzając osiedlić się tam na dłużej. Aż nagle w Paryżu otrzymał list od swego stryja, opiekuna pozostałego po ojcu majątku, który w powodzi pięknych ogólników zawiadomił go o niemożności wyciągania w przyszłości jakichkolwiek dochodów z Wesołego Kąta, wobec znacznego obdłużenia tego majątku oraz z powodu różnych klęsk ekonomicznych, które w ostatnich czasach spadły na rolnictwo.

— Przyjedź sam — pisał na końcu — a przekonasz się o prawdzie słów moich. Rola nasza tutaj wydaje mi się skończoną. Trzeba zupełnego zaparcia się i wyzbycia najskromniejszych wymagań, aby módz wegetować jeszcze przez czas jakiś. Ale i to nie zda się na wiele. Mojem zdaniem, pozostaje Ci jedynie natychmiastowa sprzedaż majątku. Dziś otrzymasz jeszcze dla siebie 20 do 30 tysięcy rubli, za rok połowę tego, a za dwa lub trzy lata nic, gdyż cena ziemi spada ciągle, i nie zanosi się na żadną zmianę na lepsze.

Była to więc ruina, i to tak widoczna, że Zygmunt zamierzał natychmiast odpisać stryjowi z podziękowaniem za troskliwą opiekę nad powierzonym mu majątkiem, dzięki której krociowa fortuna zmalała w ciągu lat kilkunastu do jakiejś śmiesznie małej cyfry, grożącej blizką i nieodwołalną nędzą. Nawet sprzedaż majątku nie mogła zapewnić mu na przyszłość utrzymania; zresztą był to środek, na który Zygmunt nie byłby nigdy przystał dobrowolnie. Wstrzymała go od tego jakaś tlejąca w głębi ducha iskra przywiązania do rodzinnych kątów, które kochał niegdyś tak gorąco. I nagle tam, w Paryżu, uczuł Zygmunt dziwną tęsknotę do tych stron dalekich i do jaśniejącego na tle wspomnień sielskiego, anielskiego dzieciństwa kąta ziemi, usuwającego mu się teraz z pod stóp dzięki, może, własnemu niedbalstwu. Odpisał stryjowi, że przyjedzie osobiście rozpatrzyć się w interesach, i rzeczywiście po kilku dniach był już w drodze. W miarę zbliżania się do stron rodzinnych zaczął coraz głębiej i szczerzej odczuwać urok tego kraju, mającego tak odrębną od innych, a tak piękną i poetyczną fizyognomię, i dziwił się teraz własnemu zaślepieniu, że mógł o tem zapomnieć wśród dziwów ziemi obcej.

A gdy znalazł się wreszcie w znajomych niegdyś okolicach, uczucia dziwnej słodyczy i cichego szczęścia rozsadzały mu piersi. Wiosenne powietrze miało w sobie jakieś tchnienia rozkoszne, upajające, jak nektar, a podnoszące się niekiedy lekkie podmuchy wietrzyka muskały łagodnie twarz jego i szyję, aż drżał i mienił się wśród tej pieszczoty.

Noc była majowa, cicha i cudna, jak nieziemskie widzenie. Olbrzymia granatowa kopuła niebios, usiana potopem gwiazd błyszczących wgłębiała się u szczytu w nieskończoność, przechodząc w ton błękitno-perłowy w srebrzystym pyle niezliczonych ciał niebieskich. Orgia barw i światów, mieniących się tęczowo, jak drogie kamienie, na tle szafirowej opony, rozpiętej po nad ziemią!

Gdy konie zwolniły nieco biegu i zawiał nagle chłód przenikliwy, Piatyhorski przypomniał sobie, a raczej domyślił się tylko, że

w tym jarze znajduje się wieś. Pamiętał, że po drodze ze stacyi do Wesołego Kąta omijał zawsze jakąś wioskę, snuła mu się nawet po głowie jej nazwa, ale nie mógł sobie jej uprzytomnić.

— Co to za wieś teraz będzie? — zapytał drzemiącego na koźle woźnicę.

— Ksawerówka, paniczu.

Wkrótce ukazały się z obu stron drogi białe chaty, napół ukryte w gąszczu nizkich drzew. Przejechawszy most nad rzeczką, szumiącą z cicha w głębokim wądole, Zygmunt dojrzał znowu dwa rzędy chat, gęsto obok siebie stojących. W niektórych oknach widać było światło. Gdzieniegdzie stały lub przechodziły drogą gromadki dziewcząt, chichocących wesoło i zamieniających krótkie zdania z włóczącymi się za niemi parobkami. Na końcu wsi stało kilka większych budynków, a dalej — biały dworek szlachecki, z wspartym na dwu słupkach gankiem, oddzielony od drogi małem podwórkiem. Za domem ciągnął się obszerny ogród, wspinający się na wzgórze. Wszystko to robiło wrażenie takiego spokoju i odosobnienia od wszelkich trosk świata, że mimowoli nasuwała się myśl o nędzy i nicości istnienia w takim zakątku, o smutnej konieczności, znaglającej jego mieszkańców do pozbycia się szerokich ideałów na rzecz codziennej pracy.

Zygmunt na tę myśl wstrząsnął się odruchowo: i przed nim zamajaczyła perspektywa takiego życia. Czemże bowiem różnił się Wesoły Kąt od tego pustkowia, zwanego Ksawerówką? Chyba tem, że jeszcze dalej od kolei, a więc i szerszego świata był położony...

W tej chwili jednak w ogrodzie, tuż nad drogą, rozległa się urywana, łkająca nuta słowiczej piosenki. Zapanowała wielka cisza, przerywana tylko odgłosem powolnego stąpania koni, a tam, w górze, nad głowami jadących lały się cudne, przeczyste tony, sącząc w serca dziwny i słodki balsam niewypowiedzianej tęsknoty.

Tymczasem wyjechali znowu na płaskowzgórze; konie poczęły biedz raźniej, jakby czując zbliżanie się do domu. Było wciąż niezmiernie ciemno, nawet gwiazdy przygasły nieco na niebie, natomiast nizko, na tajemniczych płaszczyznach pól migotały teraz drżące, rudawe promyki, nabierając stopniowo mocy i blasku. Gdzieś na uboczu, w oddali, zamajaczył ciemny kontur kurhanu, zaczerwieniony zlekka u szczytu krwawą poświatą. Step, dotychczas pusty i niemy, ożywiał się, zapełniał ruchem i światłem.

Zygmunt, zdziwiony, obejrzał się dookoła.

Na północnym wschodzie skraj nieba rozpłomienił się silnym krwawym blaskiem. Co to? Pożar? Nie, to czerwony księżyc

wychylał się z oparów. Pełna, okrągła, jakby krwią nalana twarz jego miała w sobie wyraz powagi, zmieszanej ze smętną zadumą. Rozlewało się pomału na pola, na nizkie trawy zbóż, na równiny bezbrzeżne to zimne i martwe światło, nadając okolicy pozór pustoszy, oddawna już wystygłej i wymarłej. A jednocześnie, po krótkiej chwili budzenia się światła, kiedy stepem wstrząsał dreszcz nowych wrażeń, wszystko wracało znowu do dawnej ciszy, graniczącej prawie z niebytem.

Równa i gładka droga rozwijała się tymczasem jednostajnie, jak nieskończona wstęga. Nie było widać ani wsi, ani drzew, ani nawet karczem przydrożnych, tylko niezmierzone okiem obszary pól, zalanych srebrem księżycowego światła. Zygmunt odczuwał w całej pełni poezyę tego widoku. Rozbudzona jego wyobraźnia zaczęła roić mary niezwykłych postaci, nierozdzielnie związanych z widokiem stepu. Uwagę jego przykuła leżąca w oddali ciemna linia jakiegoś wądołu: w tym jarze ukrywać się mogła wioska. I oto ujrzał nagle z nadzwyczajną dokładnością czambulik tatarski, skradający się ku niej z kocią ostrożnością. Na małych, suchych konikach siedzieli jeźdźcy o skośnych oczach i płaskich twarzach, trzymając w rękach szable, noże lub arkany. Drobne ich postacie, przyklejone do grzbietów końskich, zdawały się trwać w miejscu, i tylko miarowe kołysanie się spiczastych czapek świadczyło o wykonywaniu przezornych ruchów. Linia jeźdźców wydłużała się ciągle, zataczając ogromny krąg dokoła jaru, lecz po pewnym czasie pierścień ten zaczął się zwężać. Nagle na skraju wsi ukazał się płomyk, i wrzask okropny buchnął ku niebu: krzyki najeźdźców zmieszały się z lamentem kobiet i piskiem dzieci...

Zygmunt drgnął i otworzył oczy. Widzenie znikło bez śladu, jednak rozkołysana wyobraźnia zaczęła po chwili nasuwać znowu niezwykłe obrazy. Daleko, na drodze, zamajaczył gęsty tłum konnych, otaczających wielką chorągiew ze świętym Michałem Archaniołem. Miny butne, w rękach spisy i szable. Słychać śpiewy i śmiechy donośne, czasem doleci rżenie koni...

Teraz Zygmunt roześmiał się pocichu. Stanowczo powinien wziąć się do pióra, mając taką imaginacyę. Buraki i pszenica, pszenica i buraki, a wśród tego kozacy i tatarzy... Śmiech bierze...

Tymczasem księżyc podnosił się coraz wyżej, aż widniej robiło się na polach. Konie biegły miarowym truchtem, powóz kołysał się łagodnie, usposobiając do marzeń przedsennych. Zygmuntowi przyszła nagle do głowy myśl, jakby to ładnie w takiej ciszy rozbrzmiewała pierwsza lepsza dumka ukraińska. Sam śpiewać nie umiał,

chciał zresztą słuchać tylko, zwrócił się więc do woźnicy z zapytaniem:

— Słuchaj-no... Jak ci na imię?

— Semen, paniczu.

— Zaśpiewaj mi co... Umiesz chyba śpiewać?

Semen wzdragał się długo i wykręcał wszelkimi sposobami. Gdy wreszcie uległ namowom panicza, nie mógł się jeszcze zdecydować na wybór piosenki. Zygmunt pragnął usłyszeć jaką starodawną dumkę kozacką, lecz te zatarły się już prawie zupełnie wśród ludu, więc dopiero po pewnym czasie Semen odnalazł w pamięci coś odpowiedniego.

Głos miał silny i świeży. Pieśń tęskna płynęła potężną falą, ożywiając przeciągłą nutą cichą zadumę nocy:

— Oj, tam na hori
Tam żeńci żnut',
A popid horoju,
Popid zełenoju
Kozaki idut'...

Zatrzymał się na chwilę, nasłuchując. Echo biegło po polach i cichło stopniowo, jak nieuchwytna melodya. Wydawało się, że tam za górą naprawdę jedzie wataha kozacka, oddalając się razem z milknącą piosenką.

— A na peredu
Doroszeńko
Wede swoje wijsko,
Wijsko zaporożśke
Choroszeńko.

Zygmunt rozmyślał znowu o dziwnej odrębności tego kraju, któremu podobnych niema w całej Europie. Wszędzie na równinach życie pierwotne zostało sprowadzone do tak szczupłych granic, i proza ludzkiego istnienia tak w oczy bije, że silniejszych wrażeń lub natchnień poetyckich natura już tam nie daje, i trzeba samemu być poetą, ażeby odnaleźć w niej pewne uroki. Tu zupełnie co innego... Ale za to jaka głusz, jakie wyosobnienie od szerszego świata! Niemało zapewne czasu będzie potrzebował na oswojenie się ze szczególnymi warunkami tutejszego życia...

Nagle Semen zaciął konie i obejrzał się na Zygmunta, mówiąc krótko:

— Wesoły Kąt.

Zygmunt wychylił się z powozu, ze wzruszeniem spoglądając przed siebie. Jechali teraz po nieznanej pochyłości ku obszernej dolinie, pośród której srebrzyło się zwierciadło dużego stawu. Cała dolina, wydłużona z biegiem rzeczki, zapchana była mnóstwem chat, bielących się w świetle księżyca. Na lewo, w małej kotlinie, widać było pierścień wyniosłych drzew, otaczających wielkie zabudowania. Był to dwór pana marszałka, stryja Zygmunta i współwłaściciela Wesołego Kąta. Wkrótce wyjechali na szeroką, długą ulicę, okoloną podwójnym rzędem chat. Minęli jeszcze jeden dwór, znacznie mniejszy od poprzedniego, a należący do jakiegoś szlachetki, i oto Zygmunt z bijącem sercem ujrzał czuby trzech lip, rosnących na podwórzu jego domu. Myśli pierzchnęły. Drżące z zachwytu serce ścisnęło uczucie prawie nieziemskiej rozkoszy. Nie mógł tylko w żaden sposób zrozumieć, dlaczego Semen tyle czasu czekał przed zamkniętemi wrotami, wołając przeciągłe:

— Otwie-e-e-raj!

Lecz potem, gdy powóz zatrzymał się przed gankiem, umysł jego nabrał nagle przedziwnej jasności. Ten dom ojczysty, chociaż wyniosły i poważny, wydał mu się dziwnie skromnym i jakby zestarzałym: słupy, podpierające ganek, były nadgniłe i w części wykruszone, podłoga paczyła się do reszty. Wpadało mu to w oczy, tak wyraźnie, że aż raziło wzrok, oczekujący innego widoku. Lecz mrok nocy zakrył znowu wszystko, skoro tylko stojący z zapaloną lampą młody chłopak o płaskiej twarzy i chytrych oczach wszedł do sieni, wskazując drogę do przygotowanego pokoju. W sieni uderzył Zygmunta przykry zaduch i woń stęchlizny, — to samo powtarzało się we wszystkich pokojach. W milczeniu szedł za służącym, usiłując w niepewnem świetle lampy przypomnieć sobie te kąty, tak znane i blizkie sercu. Chwilami przenikała go wielka boleść, niby nóż ostry, wpychany w ciało, na widok licznych spustoszeń i zaniedbania, widocznego na każdym kroku. W pokoju niegdyś matczynym poodzierane ze ścian obicia wisiały długimi strzępami, brakło nawet obrazów i fotografii, a w kącie leżały zwłoki staroświeckiego fotelu, na którym zawsze widywał czcigodną postać swej matki. To samo spustoszenie widać było i w innych pokojach, tak że Zygmunt odczuwał wprost fizyczną mękę na widok zupełnej ruiny wymarzonego gmachu złudzeń. Smutek coraz to głębszy ogarniał go splotami polipa.

Dopiero w przygotowanym umyślnie pokoju narożnym można było odetchnąć swobodnie. Powietrze było tu świeższe, obicia na ścianach całe, meble miały wszystkie nogi i porządne pokrycia.

Wyprawiwszy służącego po herbatę, Zygmunt otworzył okno i wsparty na łokciu spoglądał w głąb ogrodu. Ogarnęła go wielka cisza nocy. Poblizkie drzewa stały zwartą masą, nieruchome i czarne, jak mary śmierci. Gdzieniegdzie przez delikatną koronkę splątanych gałązek i liści przedzierało się srebrne światło księżyca, kładąc wydłużone białe smugi na trawnikach i alejach ogrodu. Zygmunt stał bez myśli, całą duszą wyczuwajac poniesiony zawód. Ból tępy, szarpiący wnętrzności, wzmagał się co chwila.

Gdy chłopak przyniósł herbatę, Zygmunt zaspokoił szybko apetyt i rozpoczął wędrówkę po pokoju. Po pierwszej chwili bolesnego przygnębienia podnosiły się teraz roje myśli, domagające się uporządkowania w szereg logicznych przesłanek. Pchany siłą instynktu, rozbudzonego nagle z niezwykłą mocą, przyjechał oto do rodzinnego gniazda, które wyobraźnia malowała mu w barwach tak pięknych. Patrząc przez pryzmat wspomnień z lat dziecinnych, spodziewał się znaleźć w Wesołym Kącie ciche i słoneczne ustronie, pełne uroku i poezyi.

Ale rzeczywistość okazała się srogą. Tęczowe pałace złudzeń waliły się w przepaść bezdenną tak szybko, jak za dotknięciem pałeczki maga. Nie zostawało po nich nic, nic zupełnie. Gniazdo rodzinne okazało się starą ruderą, dyszącą pustką i zaniedbaniem.

Zatrzymał się na środku pokoju, uderzony myślą, która zabłysła niespodziewanie, jak ostateczny i jedyny wniosek, wynikający ze wszelkich rozumowań.

— Po com ja tu przyjechał?

Do świadomości jego coraz wyraźniej przenikała myśl, że oto w księdze jego żywota odwróconą została nowa karta, na której przyszłość dziwną powieść napisze.

Edward Maliszewski.



Nieznany Rymopis Polski

Z PIERWSZEJ POŁOWY PRZESZŁEGO WIEKU.

Wśród licznych, a nader cennych rękopisów, zdobiących bibliotekę p. Kościelskiego w Miłosławiu, znajduje się spory tom o kilkuset stronicach, drobnym, choć równym i wyrobionym charakterem kreślonych, noszący następującą kartę tytułową, później widocznie dodaną: „Wiersze Kaźmierza-Michała z Wodzinka Wodzińskiego, Stolnika Kowalskiego (1675—1754)".

Wydobywając go dzisiaj z pyłu, pod którym przeszło od półtora wieku spoczywał, sądzę, ze moja praca nie będzie bez pożytku, w mniemaniu, że każda, choćby najdrobniejsza cegiełka, służąca do odtworzenia zarysów gmachu przeszłości naszej, podniesioną być powinna. Kilka czerstwych kłosów wśród chwastu niechaj mi za cały plon starczy. Zapewne napróżno szukalibyśmy tu liryzmu lub natchnienia, ale znajdziemy za to język czysty, jasny, szczery, nie skażony makaronizmami; rymy naiwne,—nieraz trafne lub szczęśliwe. Znać tu podkład klasycyzmu; widocznie musiał się nasz autor na łacińskich kształcić wzorach; nadto odbija się w tych wierszach

dusza czysta, jak kryształ, jedna z tych dusz polskich, na które się tylko nasze społeczeństwo, nasz dawny ustrój zdobyć mogły. Głęboka a pokorna wiara, sąd roztropny, zrozumienie wad i błędów naszych, odczucie potrzeby naprawy, gorliwość w wypełnianiu obowiązków, zamiłowanie w dawnych obyczajach i cnotach, a przytem jowialność, pobłażliwość, miłosierdzie, — oto promienie, które nam z tych wyżółkłych i na pozór martwych kartek swem ciepłem przyświecać mogą.

Urodził się Kazimierz w 1675 r, we wsi Wierzbnie, w dawnem województwie podlaskiem, z ojca Mikołaja z Wodzinka Wodzińskiego, skarbnika podlaskiego, miecznika gostyńskiego, oraz pierwszej jego żony, Katarzyny Magnuskiej, wojszczanki gostyńskiej. Należał do rodu, który już na początku czternastego wieku, porzuciwszy pierwotne gniazdo Wodzin i Wodzinek w Sieradzkiem, przeniósł się był na Mazowsze, stąd zaś do ziemi Liwskiej i graniczącego z nią Podlasia. Liczył też w swej dobrej i bliższej prosapii mężów nauki i pióra. Wszak Mikołaj, dziekan płocki, archidyakon i oficyał warszawski, zasłużył się, jako kanclerz księcia Konrada Mazowieckiego. Wszak stryj naszego rymotwórcy, Krzysztof Wodziński, płocki, pułtuski, poznański kanonik, przeznaczony na wakującą stolicę płocką przez Jana III-go, słynął w przybocznej kancelaryi, jako sekretarz J. K. M. Wszak wreszcie brat jego, acz z drugiego spłodzony łoża, Mikołaj, prowincyał generalny Augustyanów polskich, głośnym był naówczas kaznodzieją oraz historykiem swego zakonu. W takich to tradycyach wychowywał się młody Kazimierz. Matka go we wczesnem jeszcze osierociła dzieciństwie. Zastąpiła mu atoli rodzicielkę druga małżonka p. miecznika, Anna Helena Colonna Oborska, wojewodzianka podlaska. Gwarnie życie schodziło w tym Wierzbińskim dworze. Pan Bóg jakoś miecznikowi błogosławił. Rok w rok pomnażało się potomstwo. Niebawem ujrzał się najstarszy syn p. Mikołaja mentorem dziesięciorga aż młodszego rodzeństwa. Ale że fortuny nie brakło, płynęło życie bez trosk, raźnie, ochoczo, przeplatane modlitwą, nauką lub zabawą. Posiadał bowiem p. Miecznik Gostyński kilkanaście majętności, rozrzuconych po rozległych ziemiach Rzeczypospolitej. Przezorny i zabiegły za życia jeszcze każdemu z synów wyznaczył dzielnicę. „Zważywszy (pisze on), jako *post sera fata* rodziców swoich, pozostałe dzieci, chcąc się fortuną ojcowską cieszyć, gdy do działów przystępują, w wielkie z sobą zachodzą *litigia*, *dissidentiae* i nieprzyjaźni, skąd to często bywa, iż miasto zażywania spokojnie fortuny ojcowskiej *ad ultimam per discordiam* przychodzą *ruinam*, którym, uchowaj Boże, zabiegając wypadkom,—

ponieważ Pan Bóg, znacznem mnie obdarzywszy mieniem, a *ex duplici connubio* licznem dał się cieszyć potomstwem,—tedy Kazimierzowi, synowi memu najstarszemu, dobra moje: Bogusławice, Goraj, Nasiegniewice oraz Mchowo, Mchówek, jako w sobie są określone w granicach, w województwie brzeskiem-kujawskiem, a w powiecie Grzedeckim, — ze wszystkiemi do tych dóbr przynależytościami, prawami, *attinentiami*, *pertinentiami* ustępuję, daję, daruję wiecznymi czasy".

Nim jednak „w Niepokalane Maryi Poczęcie, zbiegł młody dziedzic w Kujawy na rządów zaczęcie", podążył przed cudowny obraz Bogarodzicy. „Przez ośm tygodni, gorączką trawiony", składał teraz u stóp Maryi podziękę za odzyskanie sił i zdrowia, składał jej w hołdzie pierwiosnek poetyckiego kwiecia:

Tysiąc wierszyków tylko pracy mojej,
Według obligu, przyjmij z łaski swojej.

Z obligu wywiązał się wprawdzie rzetelnie. Niestety! „Hymn na cześć Matki Boskiej", choć całe „tysiąc wierszyków" zawiera, nie wiele wzbija się po nad poziom tak zwanych rymów częstochowskich. Dusza ludzka w pierwszej wiośnie życia bywa często, jako kadź, w której młode wino nie nabrało jeszcze ni treści, ni woni. Tak też jest i tutaj. Posłuchać nam więc z pobłażliwością należy pierwotnych tonów, nieudolnego jeszcze nastroju:

Tum się począł w żywocie, gdy świętym obchodem
Rodzice Niebo czcili, Matka zaszła płodem;
Tum znowu Matce Boskiej oddał nizkie dzięki,
W czwartym roku żem życie wziął z Jej świętej ręki,
Tu się trzeci raz stawiam przed Twoim obrazem,
Matko miła, więc zdrowie daj i rozum razem!

Po takim wstępie wygłasza nam pątnik sławę potentatów ziemskich, kornie przed Królową Niebios schylających czoła:

Stąd to przed Tobą górne animusze
Składają z głów swych rzymskie kapelusze,
Królestwa, korony, infuły i mitry,
Jakoby cyfry.

Senat—swe krzesła, hetmani—buławy,
Rycerskie stany też poselskie ławy
I komisye, ostre trybunały
Laski poddały.

Tu ostrosieczna broń, szabla rycerska
Forystyerów szabla oficerska,
Tu swe groty kornet, husarska kopija
Pod nogi zwija.
Wysokie cedry, szumiejące lasy
Tobie się rodzą w ustawiczne czasy,
Pachniące w sadach i polowe kwiecie
Zimie i lecie:
Bog wszystko stworzył na ozdoby Tobie.

. . . .

Będę szczęśliwym, gdy rzucisz Twe oko
Na mnie grzesznego, u nóg Twych głęboko...
Wspomnij, żeś grzesznych nazwana ucieczką:
Bądźże i steczką.
Mocno nadzieję mam ja w łasce Twojej,
Że na ratunek staniesz duszy mojej
W godzinę śmierci — oraz i przy sądzie
Gdy Bóg zasiądzie.

Dalej zaś, z naiwną, niemal dziecięcą prostotą opiewa cuda, którymi Marya nie tylko w Koronie, na Litwie i Rusi, ale het, szeroko, w całej Słowiańszczyźnie, jest sławna.

Po odbyciu pielgrzymki objął przeznaczone sobie przez ojca dziedzictwo. Zamieszkał w starym modrzewiowym dworcu. Był to gmach obszerny z „pawilonami", z wysokim o dwu kondygnacyach dachem, gontami krytym, „z kominami czteryma murowanymi". Mieściły się w nim i wielka sala do zabaw i druga mniejsza, narożnikiem zwana, i kaplica domowa, i nawet ,,namiot turecki aftowany", jak zaznacza ówczesny inwentarz. Okalał tę siedzibę ogród o cienistych lipowych i grabowych szpalerach, wśród których na sklepieniu murowanem wznosił się lamus. ,,W nim po lewej ręce drzwi do skarbca kratą żelazną zamknione". Za ogrodem i sadami rozciągały się obszerne lasy aż po nad brzegi Noteci. Zrazu gospodarstwo na własnych zagonach (a łany były to obszerne, gdyż część, wyznaczona miecznikowiczowi, 150 włók przenosiła) „widziało mu się rajem". Wcześnie jednak nastąpiło rozczarowanie, bądź to wskutek braku doświadczenia, bądź też spowodowane klęskami, wojną ościenną i domową, najazdem Szwedów, współzawodnictwem króla Sasa z nowowybranym Piastem, Stanisławem Leszczyńskim, którego nasz stolnik nie przestawał być najżarliwszym stronnikiem.

Rok gospodarstwa był tysiąc siedmsetny,
Zrazu ochotny, prędko zaś i mętny,
Skoro wyznaczon, widział mi się rajem.

. . . .

Lecz rozgoszczony, jakbym wszedł na męki,
Gdy sobie, sługom, poddanym nie miałem
Uczynić dobrze, — biedziłem swym działem,
Jak to początki zwykły takie bywać.
Więc wszedłszy w rolę, Bogam zaczął wzywać...
Bóg zaś, łaskawy w wszelkie swoje dary,
Dał chleb obfity według hojnej miary,
Kiedy Mars szwedzki dopomógł żyzności,
Łupiący Polskę z grosza, oszczędności,
Tak mój majątek srodze zasmucony;
Stratami został człowiek uciśniony.
Acz z tych Pan Bóg dał oswobodzenie
Przez dobre starych poddanych rządzenie.
Pomogli szczerze troski wszelkie znosić,
Winienem za nie Pana Boga prosić.
Nie trudno jednak o mistyfikacye,
Nastały w Polszcze znów rewolucye.

Lecz jeszcze przed nawałnicą wybrał był sobie towarzyszkę dozgonną w doli i niedoli, jak sam pisze, „przyjaciela do swojego boku". Była nią Wiktorya z Kutna Kucieńska, dziedziczka starożytnego Ogończyków rodu, (jednej dzielnicy z Kościeleckimi i Działyńskimi), z którego krwi,— tak przynajmniej Niesiecki dowodzi,— wyszli jeden papież i jeden cesarz świętego Państwa Rzymskiego (!).

W zgodnem pożyciu szczęśliwie lata mijały w błogosławieństwie Bożem, w obfitości, w bujnym rozkwicie szlacheckiego bytu, w pogodnem zaciszu domowem, w gronie miłych przyjaciół, w otoczeniu dorastającej dziatwy, w zadowoleniu z własnego losu, bez nadmiernych pragnień, żądz lub ambicyi. Bo nasz rymotwórca był to domator w pięknem, dodatniem znaczeniu tego wyrazu, miłujący nadewszystko kraj, ziemię rodzinną, starodawne zwyczaje i cnoty, zachowujący żywe przeświadczenie o godności szlacheckiej, dumny w razie potrzeby, nigdy próżny lub pyszny, hojny, a nie rozrzutny, czerpiący prawdziwą pobożność z nieprzebranego źródła serdecznej wiary, a nie z martwych liter przepisów zewnętrznych, nie żądny odznaczeń ni zaszczytów, ale nie uchylający się także od wypełniania powierzonych mu funkcyi, skoro go do nich powoływały zaufanie i wolny wybór współbraci. Gorący stronnik Stanisława Leszczyńskiego staje się jednym z żarliwszych popleczników konfederacyi, uchwalonej na sejmiku w Radziejowie [1]). Pragnąc atoli wi-

[1]) Pawiński, „Dzieje ziemi Kujawskiej", T. II.

dzieć na tronie Piasta, „godnego do królowania i do wojowania" czuł potrzebę silnej jednolitej władzy, rozumiał nadto konieczną potrzebę poświęcenia osobistych spraw dla dobra kraju, a przeto karcił prywatę, sprzedajność, niezgodę, przez co wzniósł się ponad poziom otaczającej go braci.

Te swoje poglądy wypowiada np. w wierszu „*Mutatio status*".

Odmienne czasy, odmienne statuta:
„Od królów Polska z wolności wyzuta";
Bo mówim często, że winni królowie;
Grzech przyznać trzeba winiącej tej mowie:
Wolność—zbytnia!... To obywatele...
Największą winą i onych forteli:
Dla zysku, prywat, pańskiego respektu
Boga-by zaprzał i Jego konspektu;
Kto się w swej żądzy zatopił po uszy,
Więcej o honor dba, jak o swej duszy;
By się dobrze mieć, honory przysobić,
Prawo i prawdę jest gotów przerobić.
Takim sposobem elekcye wszytkie
Przed Bogiem, światem wydają się brzydkie.
Czytaj chroniki, jak króla stawiają,
W czem kiedy grzeszą, poprawy dawają.
Co elekcya, to nowa poprawa,
Przewrotnych ludzi jest tylko zabawa,
Coraz w odmianach radzi się kochamy,
O dawne stare prawa nic nie dbamy.

. . . .

Doczesność teraz najwięcej popłaca,
Kto jej nie szuka, cały świat zatraca.
Wolno jest w Polsce nieład utrzymywać,
Wolno bezprawiem siebie podwyższywać,
Wolno prze wolność odstąpić od Boga...

. . . .

Żadna racya, żadna perswazya
Nie jest do gustu. Twoja fantazya
Opór ci radzi dla zysku prywaty,
Choćby z ojczyzny latały i płaty
I krew twych braci! Z kościołów—perzyna,
Swego dokonać—jedyna przyczyna.

Takie są przekonania polityczne Wodzińskiego. Z równą trzeźwością zapatruje się on na świat i ludzi. Posiada on jasny pogląd na rzeczy, a z trzeźwością szczęśliwie łączy się w nim wyrozumia-

łość. Stąd w jego myślach i radach tkwi zdrowe ziarno prawdy. Na próbę przytaczam kilka sentencyi czyli nauk moralnych:

Melancholikowi.

Nic nie wymyślisz, chociaż myślisz wiele,
Melancholiku! próżny duch w twem ciele;
Byś w lep nie zaszedł, daj pokój myśleniu,
Zacznij robić co, poruszaj się, leniu!

Pysznemu.

Kto dziadów własne za swe liczy sprawy,
Godzien jest śmiechu u ludzi, nie sławy,
Sukcesa różne, które masz od ręki,
Wierzaj, że są ci z Opatrznej opieki,
Nie sobie uznaj: boć sam wielkiem niczem
Jesteś w twych sprawach przed Boskiem obliczem.
Wszystko jest Boskie, tyś instrument Jego,
Doznasz, gdy staniesz kiedyś u Sędziego,
Herby, splendory ojców i pradziadów,
Uczą nas tylko podobnych ich śladów.

A oto np. parafrazy znanej ogólnie sentencyi łacińskiej:

Non plus, non minus.

Prosto, rzetelnie daj, co obiecujesz,
Wszytkich przyjemnie poobowiązujesz.
Nie łudź nadzieją: skutkiem się popisuj,
Na darmo palcem na piasku nie rysuj...
Bo zawiedziony chowa w sercu ranę,
Jawnie przed ludźmi może dać naganę.

W domu zaś pilnie przestrzega p. Stolnik tej obyczajności, zgody, poszanowania praw przyrodzonych, na których, jakoby na kamieniu węgielnym, opiera się i polega wielka trwałość budowy rodzinnej i społecznej.

Świadczy o tem np. wiersz „Moim synom", albo jeszcze „Memoryał synowi memu Jakóbowi", w którym, osadzając syna na własnych włościach, udziela mu praktycznych, acz przydługich nieco rad.

Z poetów rzymskich najmilszym był Wodzińskiemu Horacy. Ale bo też ze wszystkich rzymskich poetów ten ostatni najwięcej zbliżał się do typu ziemianina polskiego: jak każdy szlachcic, kochał swą zagrodę, winnice, pola; jak syn Piasta, zachowywał swą repu-

blikańską odrębność i fantazyę, a przy stole, gdy puhary, nie węgrzynem, lecz Falernem napełnione, krążyły dokoła, weselił się w licznem gronie przyjaciół; złotą mierność przekładał nad czcze honory lub zabiegi, stratą własnego okupywane spokoju. Mamy też wśród pism Wodzińskiego cały szereg wolnych przekładów, poprzedzonych następującym czterowierszem:

Zdania chwalebne tu Horacyusza
Polski wiersz szerzy i jaśniej wyrusza
Czytającemu w ukontentowanie,
Kto w tej zabawie ma upodobanie.

Oto jedno z tych naśladowań:

Agriculturae beatitudo.

O szczęśliwy to człowiek, który oddalony
Od spraw życia, od troski wszelkiej uwolniony,
Ojczystej roli pilen, ani lichwy bierze,
Ani się w regestr pisze pomiędzy żołnierze,
Ni po morzu żegluje, ale co powierzy
Roli, to mu zaś ona stokrotnie odmierzy.

Najulubieńszy jednak rodzaj twórczości naszego rymotwórcy to wiersze okolicznościowe. Sypią mu się one, jak z rękawa; miał takich zawsze cały zapas, czy to na śmierć, czy wesele, czy na promocyę do urzędu, czy na podróż, jednem słowem na wszelkie wielkie i małe wypadki życia, a zapas ten był przygotowany z góry — jeszcze przed wypadkami; nieraz nawet w przewidywaniu czyjejś śmierci z przedwczesnymi jeszcze wyrywa się trenami; tak było np. z trenami na cześć własnej siostry, Doroty Skarbkowej, wojewodziny łęczyckiej, oraz Imć Pana Głembockiego, kasztelana kruszwickiego.

Najciekawszymi jednak utworami p. stolnika są obrazki rodzajowe, malujące ówczesne obyczaje naszych ojców, ową staropolską gościnność, w obszernych zamożnych dworcach, „cną kompanię", na weselnych godach zebraną, której powaga wdzięcznie się łączy z serdecznością, dworskość i ogłada z zamaszystością. Takim jest np. obrazek, opisujący ślub w Zakrzewie (dziś na samym pograniczu Kujawskim); przesuwa się nam tutaj przed oczyma przeszłość nasza, tak odrębna, pełna swobody, tętniąca życiem. Nic to, że puhary, na odjezdnem wychylone, przebierają trochę miarę, tak iż „kła-

niając się za wroty", aż przepraszać przychodzi „za swe kołowroty"..,
Za doznaną gościnność wypada odwdzięczyć się we własnym domu—i otóż nowy obrazek „Ochota w domu":

Stawa gospodarz z miłą gospodynią,
Witając gości, honory swe czynią;
Ognia i światła wzniecają dostatek,
Hojny do kuchni obmyśliwszy datek.
Drzew po podwórzu właśnie, jako w lesie,
Domowa czeladź gęsto wody niesie.
Ryb, jak w jeziorze, na stołach jest suto,
Brzmią tasaki, jakby w kuźni Pluto.
Na jutro zwierzyn pełna jest spiżarnia,
Chlebów, pasztetów, wciąż pełna piekarnia.
Rąbią tu woły, cielęta i wieprze,
A do zaprawy tłuką słudzy pieprze.
Wszystkiego hukiem, wszystkiego sowito
Naprowadzono, drobiazgow nabito,
Ażeby szlachcie, prałatom i pany *(sic!)*,
Była wygoda wszelka bez nagany,
Torty i cukry z Torunia przywożą
Z konfiturami, przekładane różą.
Zjeżdżającym też na tryumf chwalebny
(Przyzna tę prawdę każdy niepochlebny)
Ochota wielka, prośba niezmarszczona
Lać, rozlać, pić, jeść miar nie przeznaczono:
Fruktów obfitość, jakby sad trzęsiono,
Różnych przysmaków zdala przywieziono.
Vivat! wołają, nieskończenie grają,
Inni do tańców poruszeni rają.
Wrzawa potężna, rozróżne języki, —
Wesołe każdy wydaje okrzyki,
Zaczym po lustrach świece zaświecono,
Całą noc do dnia ochoczo tańczono;
I tak noc ze dniem ożeniono ładnie,
Jak noc zniknęła, nie każdy to zgadnie.
Zatym gorące nastawiają wody,
Cukrem zaprawne, jak na nowe gody,
Co prędzej rychłe gotują śniadanie.
Niektórzy jadą już bez pożegnania,
Innym stangreci hurmem zajeżdżają —
Uciec nie dają, winem ich zgadzają,
Aby wyprzęgli na nowe biesiady,
Różnemi słowy czynią gościom rady.
Lecz bracia nasi wszyscy są panowie,
Swemu dobremu, jak prowizorowie,
Valety czynią... byli, jako w raju.

. . . .

Nadeszły wreszcie dla stolnika dni pogodnej starości. Z wiekiem ucichły dawne polityczne namiętności, zżył się z istniejącym porządkiem rzeczy, ze znienawidzoną niegdyś dynastyą Sasów, na co wpłynęła głównie pobożność Augusta III:

Kwitnie z wolnością katolicka wiara,
Toć to najmilsza jest Bogu ofiara.
Niechaj że za to Augustus nasz trzeci
Po setnym wieku do nieba uleci.

Mieści się w tem życzeniu szczypta ironii; bądź co bądź, monarcha ujął sobie starego malkontenta. Nie było bowiem obojętnem dworowi zjednanie wpływowego i powszechnie szanowanego ziemianina. Ofiarowywano mu to kasztelanię kowalską, to starostwo grodowe gostyńskie, jak o tem świadczą pozostałe dokumenta. Ale pan stolnik do zaszczytów się nie kwapił, pamiętny zdania ulubionego poety: *Beatus ille, qui procul negotiis*, wolał używać spokoju pod cieniem lip kwitnących, gwarząc o dawnych dziejach młodości, nic nie ukrywając z przeszłości, *honeste et publice*, jak mawiał, spędzonej, tak, iż przy schyłku dni swoich miał prawo napisać:

Takim bądź, jakim chcesz być ode wszytkich znany,
I jakoby cię żadne nie ukryły ściany.
Bo mąż dobry nic nie śmie myśleć albo czynić,
Czegoby nie śmiał głosić i skądby przyczynić
Nie miał sobie u ludzi mniemania dobrego;
Tak żyć trzeba, jakoby w oczach u każdego.

Był to szlachcic-domator w najserdeczniejszem, w pięknem znaczeniu tego dzisiaj przebrzmiałego staropolskiego wyrazu. Charakterystycznym jest w tym względzie „Dyskurs damy republikantki z domatorką”, z którego przytaczamy kilka wyjątków:

Republikantka. I czemu też to, moja moście Pani,
Ni na publikę do Warszawy, ani
Na maskarę nie pośpieszysz,
Tylko się w twoim domu cieszysz,
Gdzie tęsknie i szpetnie człeku
Siedzieć zwłaszcza w młodym wieku?

. . . .

Uważyć że to pięknej, zacnej damie,
Co wszelakiego jest rozumu zdanie,
Że największy gust człowieczy
Ciekawość mieć różnych rzeczy...
Widzieć intrygi i rady,
Którymi dwór idzie ślady.

Domatorka. O jakoż często przykłady dowodzą,
Że to tam rady białogłowskie szkodzą!
A ja też radzić nie umiem,
Intryg dworu nie rozumiem.
Więc spokojniej, bez sromu,
Wolę sobie siedzieć w domu.

Republikantka. Rzecz to być musi srodze uprzykrzona,
Gdy która dama, zacnie urodzona,
Sama rządzi dom z kłopotem,
Żyć troskliwie!... a cóż po tem?
Mnie w Warszawie z lepszym gustem,
Dzień jest każdy mięsopustem...

. . . .

Ej! niepodobna tego komparować,
Co żyć publicznie, a co zaś domować:
My uciech zużywamy.
My opery śliczne mamy,
Reduty w karnawale,
I w maskarach śmiechu tyle;
Nuż kolacye po pańskich ogrodach,
Gdzie się król w pięknych przegląda urodach,
Nuż muzyki najprzedniejsze,
Nuż na kiszkach jazdy miłe,
Monuety najśliczniejsze
I delicyi innych siłę!

Domatorka. Mamy też i my po wsiach swe kuligi,
Bez podejrzanej u mężów intrygi.
Maszkary zaś wyuzdane
I podobno zakazane,
Bo tam swywolne niebogi
Przyprawiają mężom rogi.
Zwłaszcza w ogrodach debosze[1]) wieczorne,
Kunsztom Wenery do uciech wyborne,
Kiedy same wzbudzą cienie,
Choć spokojne przyrodzenie...

---

[1]) Franc. débauche.

Nuż na kiszkach nocne jazdy...
Kupidyna to pojazdy.

. . . .

O! nie jedna tam przegraje w tym tańcu,
Że musi zostać metresą na końcu.

. . . .

Republikantka. A za cóż, przez Boga, taka o nas wiara,
Że żadna, chyba poczciwa z nas stara?...
Prawda, druga galantomo
Kocha jawnie, nie kryjomo,
Bo te teraz taka moda!
Lecz sądzić źle wszytkie szkoda.

Domatorka. A ja też tego nie wszytkim przyznaję,
Bo może druga mieć święte zwyczaje,
Ale takiej znaleźć trudnie,
Z świecąby szukać w południe.
Tak powszechne twierdzą usta
Zwłaszcza za czasów Augusta.
Ten sam na wybór zalecać się umie
I prosto idzie, do której rozumie,
Nań patrzą kawalerowie
Jak jacy Kupidynowie.

. . . .

Na słowa repubilkanki, że przecie w Warszawie mieszkają i „biskupi pobożni" i „święte panie", domatorka odpowiada:

Ej! niechajże tam mieszkają biskupi,
Tak może grzeszyć mądry, jakby głupi,
Niech, które chcą, jeżdżą panie,
W domu siedzieć moje zdanie.
Na maskarę, ni na radę,
Do Warszawy nie pojadę.

Pod koniec życia znów zaczął pisać Wodziński wiersze pobożne; jak niegdyś w wiośnie życia rozpoczał zawód poetycki, żebrząc pomocy pod cudownym obrazem Maryi, tak później, u progu wieczności, wyśpiewywał „Chwałę Jezusową".

Ale nietylko słowami głosi Zbawiciela chwałę: rozdaje szczodre jałmużny, kościoły i klasztory hojnie opatruje; konwentowi OO. Paulinów w Brdowie zapisuje dziesięć tysięcy złotych; uposaża świątynię w Lubotynie, parafii swojej i t. d.

Ten gołębiej wiary i prostoty szlachcic, dziwnem sprzeciwieństwem, trafiającem się tak często w rodach ówczesnych, był bratem, nieposkromionego panka, Antoniego Wodzińskiego, stolnika Liwskiego, smutnie znanego z najazdów i gwałtów, którego kasztelanowa Kamieńska (Potocka) w swych listach, „dzikim przezwała wilkiem", zaś starościna Rawska, Rostworowska, sama oskarżała przed *forum* w Piotrkowie!...

Zwarł Kazimierz powieki w 1754 w Bogusławicach.

Spoczął według życzenia obok wiernej małżonki, w podziemiach brdowskiego kościoła.

Antoni Wodziński.



BURZA

fantazya liryczna.

Pannie Maryi Sznage.



Cicho... na chmur skłębionych niebie
Nic — zda się jeno pustka głucha,
Jak obumarłych cichych pól milczenie —
Cmentarnych pól,
I, zda się, ciszy anioł się kolebie,
Ciszy — w krainie Ducha,
W oślepiającej bieli szat,
W mgieł srebrne owian cienie,
Gdzie kres na łkania i na ból —
I, zda się, ziemia wizyę ma
Złotego rana:
U skroni kwiat,
U oczu ros się perli łza,
A cała mgieł welonem zwiana...

Cyt... Wtem błysk gromu rozdarł pierś błękitu,
I grzmi tysiące złotych kół,
Turkocąc w pędzie po niebie śród zgrzytu,
Jakgdyby olbrzym ramion uściskiem
Otchłanie niebios splótł i pruł,
Błyskawicowym ócz strzelając błyskiem!...
I słychać w grzmotach deszczu szum
I dzwonów gdzieś dalekie granie,
Co płynie tu,
Jak duchów tłum —
W dal mroczną, tu —
W ten deszczu szum,
Płacz cichy, dzwonów łkanie...
Ach, dzwonów płacz, ach! gromu huk po gromie!
Gałęzi trzask,
Błyskawic blask,
Co chmur zapala łono — w płomię
Na nieb ogromie!...
Tam cicho — jeno tu,
Na ziemi deszczu plusk i szum
I wichru świsty — —
Wtem — jak z legendy coś, ze snu
Poczęte, w mgle przejrzystej,
Jak wizya, baśń — owiana dum
Girlandą z róż —
Coś idzie tu,
Jak wiosny czar po łanie
Zbóż —
Przez płacz, przez wichr, przez dzwonów łkanie!...

I cichość... od gromów już świat nie dygota,
Bo, widać, z błyskawic na ziemię
Spływa postać z mgieł, ze złota,
Przecicha, w łez dyademie...
I siejąc one łzy,
Łzy uczuć, ideału —
Nawiewa sny,
Co koją po dniach szału,

I ani jej błyskawic lot
Tu — nie poruszy,
Ani piorunu strzał, ni grzmot,
Bo moc ma w duszy!...

. . . .

Poezyo!
Ty, z błękitnego co przybywasz stropu
Tu — do mnie,
Śród świateł potopu:
Jesteś mi więcej, niż wyśnionym w duszy
Rajem — i więcej, niż snem, co ogromnie
Upajać może
Śród głuszy —
W tobie moc moja,
W tobie — błękitów przestworze,
Z twej duszy krysztalnego zdroja
Czerpię natchnień moce!...
Tyś mi nie jedną zagłuszyła burzę,
Tyś mi nie w jedne księżycowe noce
Do ust spieczonych niosła pełne kruże,
Nektaru pełne. Wilgotnemi mgłami
Nieraz rzeźwiłaś moich ust spiekotę,
Gdym gorącemi się zalewał łzami,
Kiedym za tobą wielką czuł tęsknotę!
Nieraz mi kładłaś i kładziesz biel dłoni
Na rozegrane mej duszy klawisze —
I gra i płynie pieśń niebiańskich błoni,
W sen i w wieczoru zasłuchana ciszę,
Że cudność chwil tych, omglonych srebrzyście
Wizyą, w koronie złocistych pierścieni
Tych chmur aniołów, co oplotły skronie,
Tych dni, czar z których i pieszczota wionie
Pękami słońca różanych promieni —
Jawi się, jawić będzie się wieczyście!...
Więc kocham! wielbię! — i czcząc, błogosławię
Te świętą chwilę nawiedzenia twego!
Błogosławioną chwilę wyzwolenia
Duszy z pęt ziemskich nie we śnie — na jawie!...

Ku której oczy w zachwyceniu biegą,
Za narodziny światła pośród cienia,
Kocham cię za to!
I pozostanę wiernym ci do trumny,
Tęczy, gwiazd twoich otulony szatą —
Cichy, nie dumny!...

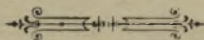
. . . .

Więc milknie gromu huk
I dzwonów łkanie,
Bo w gwiazd i w mlecznych dróg
Śnieżystej idziesz szacie,
Ty, ciche mojej duszy granie!
Na ziemi kał,
Gdzie dla cię
Wszystko — piorunu umilkł strzał
I dzwonów łkanie!...

Władysław Zalewski.



Mechanika społeczna



Teorya rodziny i własności.

Dotychczas energia męzka miała społeczną przewagę, ale u ludów, stojących na niższym stopniu rolnictwa, energia kobieca występuje na plan pierwszy. Kobieta odkryła prawdopodobnie rolnictwo, i ona bądźcobądź głównie się niem zajmowała. Jej użyteczność i wartość społeczna wzrosła. Ojciec nie oddaje jej już tak łatwo zamąż, jak to się działo za czasów myśliwstwa. Należy ją kupić lub wysługiwać się u ojca. W domu męża, wraz ze wzrostem jej wartości ekonomicznej, wzrosła powaga i szacunek, do których może rościć prawo. Z rozwojem rolnictwa systematyczna uprawa pól wymaga współistnienia większej ilości osób, niż to się działo za czasów myśliwstwa, powstają wspólnoty, zadrugi, w których pracą domową i rolną zajmują się głównie kobiety, gdy mężczyzni oddani są po dawnemu myśliwstwu. Pierwsze źródło utrzymania jest pewniejsze i obfitsze, niż drugie. Położenie kobiety wciąż się poprawia, tak, że często nie ona przechodzi do domu męża, lecz on musi się przenieść do jej rodzinnej zadrugi. Dopiero w tym stanie rzeczy władza kobiet zaczyna się przejawiać i na biegu spraw publicznych, dochodząc nieraz do gynekokracyi. Rody są macierzyńskie, obliczają pokrewieństwo w linii żeńskiej. Taki stan rzeczy znajdujemy u Malajów i czerwonoskórych Ameryki Północnej.

Przejdźmy wreszcie do ludów, znajdujących się w wyższem stadyum rozwoju rolnictwa, jak starożytni Rzymianie, Chińczycy, Japończycy: tu uprawa roli stanowi główne zajęcie mężczyzn, hodowla bydła zaczyna grać pierwszorzędną rolę. Mężczyzna jest żywicielem rodziny, która ma formę patryarchalnej zadrugi ojcowskiej.

Po tym wykładzie teoryi Grossego i Cunowa zauważmy najprzód, iż niema bynajmniej ciągłości rozwoju między 1) Buszmenami i Australczykami, wogóle szczepami myśliwskimi; 2) azyatyckimi koczownikami pasterstwa; 3) Czerwonoskórymi i Malajami z niższego stopnia rolnictwa i wreszcie 4) starożytnymi Rzymianami, Chińczykami i t. d. Wszystko to są rasy różne, które praktycznie można uważać ze wszystkiemi ich cechami fizycznemi i duchowemi za niezmienne, w określonych dla każdej granicach. Rasy wprawdzie się zmieniają, ale na to trzeba okresów geologicznych, w czasach zaś, które podlegają badaniu źródłowemu, pozostają, jakiemi są. Otóż nie każda rasa może, z własnego rozwoju, przechodzić przez wszystkie wyliczone fazy rozwoju źródeł utrzymania. By dojść do fazy wyższego rolnictwa, na to trzeba rasy dość wysokiej, by ona mogła zrobić odpowiednie odkrycia i wynalazki, a więc same „źródła utrzymania" czyli czynnik gospodarczy, do którego Grosse i Cunow chcą sprowadzić rozwój rodziny, zależy od natężenia energii biologicznej. Ta ostatnia właśnie wynajduje pewne narzędzia, za pomocą czego może zdobyć pewne ilości środków utrzymania, które

[1]) Istotnie, na zasadzie badań Weissmana, Laponge'a i in. można twierdzić, iż dla okresów, dla których posiadamy dane pewne, a więc dla ostatnich 20—30 tysięcy lat, rasy ludzkie, a może i zwierzęce pozostały niezmienne. Odbywały się śród nich mianowicie dobory—jedne były wytępiane, drugie zaś się rozpowszechniały — a nie transformacye. Wprawdzie rasy prawdopodobnie podlegały ogólnej ewolucyi, ale na ich powstanie trzeba mieć wiele milionów lat, tak, że dla okresów historycznych możemy uważać rasy istniejące za niezmienne i grające—o ile są czyste — mniej więcej rolę pierwiastków chemicznych. Otóż zasadnicze formy społeczne, jak rodzina, zależą od pokrewieństw biologicznych, od natężenia energii biologicznej, które dla okresów historycznych można uważać wraz z rasami za stałe, zupełnie tak samo, jak reakcye chemiczne zależą od pokrewieństw chemicznych, które dla określonych czynników mogą być uważane za stałe. Wprawdzie otoczenie, w jakiem reakcya się odbywa, natura przyrządów, temperatura i t. d., mają pewien wpływ, ale ograniczony i drugorzędny, wobec sił wewnętrznych pokrewieństw. Tak samo środki i źródła utrzymania w swych wpływach na zasadnicze formacye społeczne, jak rodzina i własność, mają wpływ nader ograniczony. Widzimy to stąd, iż formacye te za czasów historycznych uległy bardzo nieznacznym zmianom, a tymczasem źródła utrzymania i technika jakimże głębokim przekształceniom za te okresy uległy!

znowu służą do przyciągnięcia czyli zdobycia pewnej ilości kobiet. Wprawdzie i środki utrzymania, i ludzie organizują się w formy społeczne pod działaniem tej samej energii biologicznej, i dlatego dla każdego jej stanu (dla każdej rasy na danym stopniu jej rozwoju) istnieje pewna odpowiedniość między „źródłami utrzymania" a formami rodziny, ale to tylko dlatego, że jedne i drugie zależą od tej samej przyczyny, od energii biologicznej. Dlatego odpowiedniość, którą Grosse i Cunow odnajdują, nie może bynajmniej być ogólną—są to luźne zestawienia empiryczne, które do żadnych uogólnień racyonalnych upoważnić nie mogą, ani też za podstawę do klasyfikacyi form rodziny ani do historyi jej ewolucyi służyć nie mogą, jak to zresztą sam Grosse przyznaje.

Z drugiej strony, ponieważ człowiek, mężczyzna i kobieta, a także dzieci, jako kapitały osobowe, mają pewną rzadkość i cenę, na równi z środkami utrzymania czyli z dobrami materyalnemi, więc położenie każdego członka w społeczeństwie i rodzinie, jego prawa i władza zależą od jego wartości ekonomicznej, wprost od ceny pieniężnej. Grosse i Cunow bardzo dobrze pośrednio to uwydatnili, chociażby na historyi położenia kobiety w rodzinie. Tu czynnik ekonomiczny zdaje się grać rolę pierwszorzędną, ale to się tylko wydaje, gdyż pod ceną i rzadkością człowieka znajdnje się jego energia biologiczna, usługi, które on oddaje, i wysiłki społeczne, potrzebne na jego wytworzenie. Otóż ta energia może być najlepiej mierzona jakimś przedmiotem materyalnym, młotkiem, owcą lub kawałkiem kruszcu, na których wytworzenie użytą zostaje energia biologiczna i które wygodnie użyte być mogą dla jej wymiaru we wszystkich formach. Nie wolno jednak tego narzędzia wymiaru brać za istotę i źródło wszystkiego. I owszem, w samem tem narzędziu zawartą jest energia biologiczna: ona to samorzutnie dochodzi w zbiorze jednostek do pewnej równowagi społecznej, ona to wciela się w same środki i narzędzia utrzymania, które zresztą służą, jak i wszystkie inne w społeczeństwie, do jej reprodukcyi w rasie i tylko o tyle mają znaczenie. W ten sposób wszystko w społeczeństwie objaśnia się stanami energii biologicznej i jej natężeniem. Do tych stanów wewnętrznych materya w swej organizacyi i zmianach się zastosowuje, i dlatego zmiany materyalne mogą służyć do wymiaru samej energii. Ale wymiary te muszą się odbywać nie na ślepo, empirycznie, lecz wychodząc z ogólnej teoryi, obejmującej wszystkie możliwe stany energii biologicznej, i, rozglądając się w zmianach materyalnych, należy zobaczyć, do którego z typów racyonalnych one odniesione być mogą. Tak np. forma

rodziny ludów pasterskich i tych, co się znajdują na wyższym stopniu rolnictwa, jest uderzająco analogiczną, a jednak źródła utrzymania w obudwu razach są zupełnie różne. Objaśnia się to tem, iż ludy, znajdujące się w tych dwu fazach, odznaczają się różnym potencyałem biologicznym, który, pomimo iż się wciela w różne narzędzia i źródła utrzymania, może krystalizować jednocześnie materyę ożywioną w jednakowe formy rodziny. A zatem albo znalezionym będzie kiedyś środek bezpośredniego wymierzania energii biologicznej za pomocą środków objektywnych, chemicznych i cieplnych, i wówczas dopiero wszystko w rodzinie i społeczeństwie znajdzie racyonalne objaśnienie, albo też skazani będziemy wciąż na zaznaczanie zmian materyalnych, głównie ekonomicznych, — tylko dlatego, iż one są najoczywistsze — i na ich wymierzanie za pomocą pieniędzy, ale w takim razie musimy pamiętać, iż wszystkie te zestawienia różnych objawów, np. rodzinnych i ekonomicznych, mogą mieć miejsce tylko w granicach danej rasy, i to dlatego jedynie, iż taż sama energia biologiczna wywołuje w różnych swych stanach zmiany współrzędne w różnych instytucyach społecznych. Ale ze zmianą samej tej energii czyli potencyału rasowego, wszystkie warunki zadania się zmieniają, i zestawienia rzeczy niewspólniczych stają się niemożliwe. Dlatego należy tymczasowo brać pod uwagę przy wszelkich klasyfikacyach i zestawieniach—czysto empirycznie—nie tylko źródła utrzymania ale i rasę Zresztą, być może, będziemy potrafili kiedyś obliczać ekonomicznie i sam potencyał rasowy normalnymi kosztami wytwarzania, każdej rasy, wówczas zwykłe tablice cen będą wyrażały natężenia energii biologicznej w różnych jej stanach u ras najrozmaitszych, i będziemy zarazem mieli objaśnienie wszystkiego w rodzinie i społeczeństwie. Ale niestety, cen tych jeszcze nie mamy, i wiele czasu upłynie, zanim je mieć będziemy, zwłaszcza dla przeszłości.

Ale nawet wówczas, gdyby nam udało się wymierzać wszystkie zjawiska i formy rodziny i społeczeństwa za pomocą cen ekonomicznych, to ze wszystkiego, cośmy wyżej rzekli, widać, iż chodzi tu o energię biologiczną, której ceny te służyłyby do wymiaru. Tymczasem więc możliwą jest tylko mechanika społeczna racyonalna, operująca tą energią w sposób abstrakcyjny i przedstawiająca wszystkie możliwe formy społeczeństwa i rodziny — gdyż nie należy zapominać, iż nauka jest, właściwie mówiąc, badaniem wszystkich możliwości, których formy istniejące są tylko jednem z urzeczywistnień. Otóż, co do tych form, które istniały w przeszłości, możebne są względem nich tymczasem koniunktury, w ro-

dzaju tych, które nam dają Bachofen, Morgan, Engels, Kohler z jednej strony i tych, które nam dają Westermarck, Starcke, Grosse, Cunow i inni z drugiej. Nie należy tylko mniemać, że ta moda. która w chwili obecnej istnieje na teoryę tej ostatniej szkoły, i owa, co przed dziesięciu laty istniała na teorye tamtej, już była w każdym z tych razów „ostatniem słowem nauki". I właśnie teorya ogólna i racyonalna, rozbierająca abstrakcyjnie wszystkie możliwości, ochroni nas od tych modnych porywów i pozwoli trzeźwo i logicznie zapatrywać się na rzeczy.

A więc bynajmniej nie myślimy się zgadzać z tryumfującym wnioskiem Cunowa, iż „t. zw. prawo macierzyste bynajmniej nie stanowi prawa naturalnego, które rozwinęło się samo przez się z pierwotnego ukształtowania stosunków płciowych (bezładu) lub rzekomo naturalnego stosunku opiekuńczego matki do dziecka w początkach rozwoju społecznego". I owszem, ten stan rzeczy, jakkolwiek nie jedyny, mógł w pewnych rasach się spotykać. Pozostawiając jednak na uboczu formy rodziny możliwe i te, które istniały w czasach przedhistorycznych, musimy przyznać, iż śród ludów najniższych, obecnie istniejących, zasadniczą formą pożycia jest grupa ojcowska monogamiczna lub poligamiczna i że macierzyństwo pojawia się dopiero u ras wyższych, jako skutek innej równowagi społeczno-ekonomicznej, w której rzadkość i wartość kobiety wzrasta, ale to jest znowu skutkiem nie tylko zmienionych „źródeł utrzymania," lecz i innej rasy, która wynajduje inne „źródła utrzymania". Co się tycze twierdzenia Starckego i Westermarcka, jakoby ślady heteryzmu, spotykające się w obecnej ludzkości, były tylko wytworem okoliczności miejscowych, to, nawet zgadzając się z tem, bynajmniej nie myślimy przesądzać kwestyi bezładu pierwotnego. Wreszcie, pozostawiając na stronie całą historyę pochodzenia rodu (*gens*) z przypuszczalnej rodziny „punalua", należy, zdaje się, przyznać, iż nie on jest spoidłem plemienia, lecz wprost ugodą interesów rodzinnych, zawieranych przez ojców. Plemię jest pewną równowagą energii biologicznej wyższego porządku, do której można zastosować toż samo równanie kontraktu, co i do rodziny lub rynku ekonomicznego. Ale o tem pomówimy osobno. Tymczasem zauważymy, iż we wszystkich tych zjawiskach siłą decydującą jest energia biologiczna, od której zależą, jak widzieliśmy, same nawet „źródła utrzymania" Grossego i Cunowa. Ciekawą jest rzeczą, jak ci autorowie, starając się wszystko sprowadzić do warunków ekonomicznych, zaniechali objaśnić w tenże sposób kwestyę zakazów pierwotnych obcowania małżeńskiego między krewniakami. Istotnie,

gdyby warunki gospodarcze, a nie naturalne natężenie energii biologicznej, dążące automatycznie do dobra rasy, były decydujące w rozwoju rodziny, to czyż takie zakazy związków kazirodczych, nie mające nic wspólnego ze źródłami utrzymania, mogły się były pojawić i ostać?

Otóż ciekawą jest rzeczą, iż nikt prawie z pośród autorów, zajmujących się tą kwestyą, nie myślał tłómaczyć pochodzenia zakazów obcowań, uważanych za kazirodcze, z pobudek ekonomicznych; tymczasem ten „przesąd" charakteru biologicznego ma niewątpliwie przewagę nad czynnikami ekonomicznymi. Wszak te zakazy zwykle prowadzą do rozdrabniania majątków. A zatem chęć utrzymania tych majątków w rodzinie, instynkt własności rodzinnej nie mogły przemódz działania tego „przesądu". Jakie są jego początki? Czy świadome stosowanie doboru płciowego i obawa złych skutków fizycznych kazirodztwa dla potomstwa, jak tego chciał Morgan? Jest to możebne, bo człowiek pierwotny, stosując pewne zasady doboru do bydła, mógł je stosować i do siebie. Zresztą dobór ten mógł się odbywać nieświadomie lub pod pozorem najrozmaitszych przesądów, bo agregaty społeczne automatycznie dążą do *maximum* swego dobra, niezależnie od woli członków. Może też działał powód czysto psychologiczny, iż osoby, znające się z dzieciństwa i mieszkające razem, nie czują do siebie pociągu płciowego, wszystko jedno, czy chodzi o brata i siostrę, czy tylko o znajomych płci różnej. To tłómaczenie Westermarcka jest pod tym względem dogodne, iż zakazy pierwotne obejmowały istotnie nie krewniaków w naszem znaczeniu tego słowa, lecz klanowców, t. j. cały szereg osób, które przypuszczalnie pochodziły od wspólnego przodka, jakkolwiek w istocie mogło między nimi nie istnieć żadnego pokrewieństwa. Eksogamia, t. j. obowiązek szukania żony na zewnątrz, dotyczyła pierwotnie nie rodziny, lecz klanu. Tłómaczenie to opiera się jednak na pobudkach psychologicznych, być może nazbyt subtelnych, które bądźcobądź dla czasów pierwotnych nie dają się sprawdzić. Może najbliższem prawdy jest tłómaczenie Durkheima [1]), iż kobieta dzięki swym miesięcznym słabościom i mistycznej władzy, którą dziki przypisuje krwi, uważaną jest za istotę świętą, niedotykalną, *tabu*. Ta obawa kobiety sprawia, iż u ludów pierwotnych płcie żyją rozdzielnie i starają się nie mieć ze sobą żadnych stosun-

---

[1]) Durkheim. La prohibition de l'inceste et ses origines (Année sociologique. I).

ków nawet towarzyskich, a cóż dopiero płciowych. Ten właśnie powód, związany z obawą religijną uroków i z wybujałą fantazyą ludów pierwotnych, mógł istotnie grać rolę pierwszorzędną w historyi powstania zakazów małżeńskich. Mogła zresztą tu działać i ambicya ludzi walecznych, którzy chcieli posiadać branki z zewnątrz, jako dowód swej śmiałości, jak tego chce Spencer, a może i chęć posiadania własnej swej żony, którą można było tylko porwać u wrogów (tłómaczenie Lubbocka), gdy wewnątrz grupy wszystkie kobiety były wspólne, jeżeli przypuścić bezład płciowy, jako punkt wyjścia rodziny. We wszystkich tych tłómaczeniach działają powody biologiczne lub psychologiczne, jaknajbardziej oddalone od gospodarczych. W gruncie rzeczy tak się rzecz przedstawia: społeczeństwo jest dla nas zbiornikiem energii biologicznej, która gra rolę pary w parowozie. I, jak w tym ostatnim cała złożona maszynerya jest tylko mechanizmem, regulującym parę, która automatycznie dąży w drodze najmniejszego oporu, przyczem mechanizmy regulujące nie mają same żadnej właściwej sobie energii, lecz całą, jaką rozwijają, czerpią z ogólnego zbiornika pary: tak samo w społeczeństwie wszystkie mechanizmy regulujące, jak prawo, moralność, religia, polityka (ambicya wodzów) i t. d. samodzielnego znaczenia nie mają, lecz w swej działalności zastosowują się do ogólnej energii biologicznej społeczeństwa, z której czerpią własną swą energię i która automatycznie dąży w kierunku najmniejszego oporu i największej swej użyteczności. Otóż takie instytucye, jak zakazy kazirodztwa, istniejące wszędzie i zawsze, muszą mieć użyteczność objektywną dla rasy, wobec których wszelkie niedogodności ekonomiczne w rodzaju wyżej wskazanych ustępują na plan drugi. Jeżeli zaś użyteczność społeczna przedmiotowa, rasowa wymaga małżeństw nie krewniaczych, to energia biologiczna automatycznie dąży w tym kierunku, i aparaty kierujące, religia, moralność, polityka etc. przystosowują się tylko do tego celu całym szeregiem objawów, wyżej zaznaczonych: wyrachowania, przesądów, ambicyi i t. d. Bardzo więc być może, a nawet jest prawdopodobnem, iż wszystkie wyżej wskazane hypotezy względem powstania zakazów kazirodztwa, są jednocześnie słuszne, bo, gdy para w parowozie zaczyna działać, to wprawia w ruch nie jedną jakąś część mechanizmu kierującego, lecz wszystkie razem. Otóż polityka, prawo, moralność, religia, nawet ekonomia stanowią tylko aparaty transformujące i kierujące względem energii biologicznej; bo też mogły one działać razem dla wywołania zakazów związków kazi-

rodczych [1]), a to nie, jako ich przyczyny, lecz jako mechanizmy pośredniczące, za pomocą których energia biologiczna w różnych warunkach dopinała swego *maximum*. Obok wyżej wyliczonych mogła jeszcze działać i ta pobudka charakteru ekonomicznego po trosze, którą wystawił Mac-Lennan: dzięki ubóstwu hordy pierwotne musiały zabijać dziewczęta nowonarodzone, następnie musiały więc porywać kobiety u sąsiadów. Ta przyczyna mogła oczywiście działać wraz z innemi, bynajmniej im nie przeszkadzając. Bądźcobądź, żadna teorya, z osobna wzięta, w rodzaju chociażby Durkheimowskiego *tabu* nic nie wyjaśnia, albowiem religia jest tylko jedną z części mechanizmu regulującego w społeczeństwie, który samodzielnie żadnej energii nie posiada i we wszystkiem zastosowuje się na równi z innymi aparatami kierowniczymi do potrzeb ogólnej energii społecznej. Na tym przykładzie widzimy najlepiej braki owej słynnej metody opisowej, która uchodzi dotychczas za jedynie możliwą. Jest ona tylko polem do łatwych popisów, gdzie każdy autor dla wyodrębnienia się od innych chwyta się jednego jakiegoś sztyfcika maszyneryi społecznej, koło niego grupuje trochę faktów z przeszłości, i takich wyjaśnień „genetycznych”, „ewolucyjnych” jest co niemiara.

Natomiast mechanika społeczna zaleca postępowanie tego rodzaju: pozostawiając na stronie przeszłość, w której obliczania są niemożliwe, należy się zająć teoryą zakazów małżeńskich w społeczeństwach istniejących. Weźmy np. kraj, gdzie małżeństwa krewniaków są dozwolone, jak Japonia. Otóż dr. Mishima [2]), badając szkołę japońską, złożoną z 150 uczniów z „lepszego towarzystwa”, znalazł tylko 5 zupełnie zdrowych, 46 wątłych, zupełnie anemicznych i 99 całkiem chorych, a śród tych ostatnich 87 limfatycznych. To zwyrodnienie klas wyższych objaśnia się zdaniem d-ra japońskiego w znacznej części zwyczajem małżeństw pokrewnych. Odpowiednie badanie mogłoby pokazać, w jakim stopniu małżeństwa

---

[1]) Które muszą być pożyteczne, albowiem wszystko, co w społeczeństwie istnieje od długich wieków, a czego objaśnić sobie jeszcze racyonalnie nie możemy, jest pożyteczne dla rasy z punktu widzenia objektywnej energii biologicznej. Wprawdzie rasa, t. j. jej energia nie rozumuje świadomie — ona tylko dąży automatycznie w kierunku największego przyciągania i najmniejszego oporu i w tym dążeniu wprawia w ruch różne aparaty kierujące, które mogą już swoją drogą bądź rozumować racyonalnie, bądź „przesądzać“—co jest rzeczą drugorzędną.

[1]) Por. Naomi Tamara: Gedanken eines modernen Japaners über Ehe etc. Wiesbaden 1898.

pokrewne istotnie wywołują lub przyczyniają się do wywołania tego stanu opłakanego. Wiedząc ze statystyki, ile średnio kosztuje wytworzenie Japończyka zdrowego i ile średnio wart jest Japończyk zwyrodniały, wiedzielibyśmy, ile średnio kraj traci na instytucyi małżeństw pokrewnych. Obliczając to, co zyskuje dzięki niepodzielności majątków, znaleźlibyśmy np. rezultat, że Japonia znajduje się już w fazie powrotnej, regresywnej swego rozwoju, dzięki czemu nie walczy ze złem. Podobne obliczenia w Anglii np. pokazałyby, ile kraj zyskuje na istnieniu zakazów związków kazirodczych. A ponieważ każdy kraj postępujący dąży do powiększenia swej energii, więc nic dziwnego, iż ona daje impulsy odpowiednie swym mechanizmom regulującym, religii, prawu, polityce, ekonomii, które zastosowują się tylko do potrzeb energii rasowej w swem funkcyonowaniu. Tu mielibyśmy objaśnienie kompletne zjawiska, a w jakim porządku zakazy powstały, czy pochodzą z pobudek religijnych, politycznych, czy moralnych, czy nawet ekonomicznych, to jest rzeczą obojętną względnie, a przynajmniej drugorzędną.

W taki sam sposób powinny być badane wszelkie inne instytucye społeczne, a mianowicie należy szukać, jaki wpływ wywierają one na rasę, sam zaś ten wpływ może być obliczony faktyczną wartością pieniężną rasy w różnych momentach jej rozwoju. Pierwszorzędną więc kwestyą jest mieć statystykę cen kapitałów osobowych z jaknajdłuższych okresów, a także statystykę wydatków, czynionych na utrzymanie wszelkich form społecznych (ekonomicznych, prawnych, moralnych i t. d.).

Sprowadzając w ten sposób wszystko w mechanice społecznej do energii biologicznej, nie tylko wprowadzamy nową nomenklaturę, lecz dajemy nową metodę badania, metodę, tak realną i konkretną, iż zadawala się prawie wyłącznie badaniem cen osób, rzeczy i instytucyi i zestawieniem tych cen. Uważamy nawet za drugorzędne badanie wskaźników czaszkowych lub innych cech antropologicznych, albowiem energia społeczna rasy mierzy się nie tylko cechami zewnętrznemi, ale kosztami jej wytwarzania, zupełnie jak to się dzieje przy badaniu zwierząt gospodarskich. Pamiętając zaś, że człowiek jest zwierzęciem tresowanem i że instytucye społeczne służą jedynie za środki tej tresury, mamy możność na zasadzie zwykłej teoryi ekonomicznej, iż koszta wytwarzania danej rasy muszą być równe jej cenie, rozpatrywania wszystkich procesów społecznych z punktu widzenia rasy i energii biologicznej, która jest centralną siłą rozwoju społecznego i to rozpatrywać nie metaforycznie, lecz z cyframi w ręku. Socyologia opisowa zajmowała się głównie

różnemi częściami mechanizmu, kierującego społeczeństwem, historyą jego rozwoju i wzajemnymi wpływami tych części na siebie. Otóż, jak widzieliśmy, jest to najmniej ważna część badań socyologicznych. Powracając do przykładu powyższego, wprawdzie w parowozie nie tyle powinny nas interesować mechanizmy transmisyjne, co para sama, mierzenie jej energii i stóp jej transformacyi: tak samo w społeczeństwie wszystko zależy od natężenia energii biologicznej i stóp jej transformacyi, które należy mierzyć wartością pieniężną ras i kosztami ich i funkcyonowania. Sprowadzając w ten sposób wszystkie dobra materyalne i niemateryalne (ekonomię, prawo, moralność, religię i t. d.) do rasy i do ich wpływów na nią, ściśle wymierzalnych pieniężnie, docieramy do samego sedna mechanizmu społecznego. Rozpatrujemy w nim wszystko z punktu widzenia użyteczności objektywnej, energii biologicznej, która jest motorem centralnym, zbiornikiem pary, gdy socyologia opisowa rozpatruje wszystko z punktu widzenia użyteczności chwilowej i miejscowej, z punktu widzenia jednego z aparatów kierujących tą energią centralną, z punktu widzenia ekonomii (Marx), prawa, moralności (de Roberty) i t. d. Nareszcie od szkół antropologicznych w socyologii różnimy się tem, że bierzemy za oznakę wyższości rasowej nie tyle oznaki fizyczne (jak to czyni Ammon lub Lapouge), ile miarę społeczną, koszta wytwarzania danej rasy i ilości materyi, która koło niej w procesie społecznym się krystalizuje. Ale o tem pomówimy jeszcze osobno. Bynajmniej nie ukrywamy, iż statystyka cen, która ma być podstawą liczebną dla mechaniki społecznej, istnieje jeszcze dopiero w zawiązku, ale niektóre dane już istnieją, i z nich w swoim czasie zrobimy należyty użytek, zresztą kontentujemy się nawoływaniem do zbierania odpowiednich danych liczebnych, gdyż od nich wszystko zależy.

III.

Co się tycze własności pierwotnej, powtarzają się obecnie mniej więcej też same spory, co i względem rodziny pierwotnej. Zdaje się jednak, że i tu mamy do czynienia głównie ze sporami o słowa. Z jednej strony Maurer, Maine, Lavalley i inni dowodzili, iż własność wspólna była formą panującą w czasach pierwotnych i że dotychczas pozostawiła znaczne ślady. Z drugiej strony krytycy, jak Fustel de Coulanges, Seebohm, Hildebrand, zastanawiając się głównie na tych śladach, twierdzą, iż one bynajmniej nie dają

prawa wnioskować o tem, iż własność pierwotna była komunistyczną, że nie mamy dowodów tego, jaką ona właściwie była, gdyż te ślady, które pozostały — gdyby nawet były pierwotnego pochodzenia, co jest wątpliwe — wskazują raczej na *condominium*, niż na *res communis*. Nam jednak się wydaje, iż w tym ostatnim punkcie chodzi głównie o słowa. Trzeba bowiem pamiętać, iż indywidualizm i komunizm w świecie społecznym, równie jak siły przyciągania i odpychania w kosmicznym, nie są czemś absolutnie odrębnem i sprzecznem, iż obydwa te przejawy energii zawsze współistnieją, iż przechodzą jedne w drugie, iż komunizm zatem bynajmniej nie wyłącza indywidualizmu. A mianowicie, w społeczeństwie najbardziej komunistycznem jednostki zachowują pewne prawa, tak samo, jak w społeczeństwie najbardziej indywidualistycznem wspólnota zachowuje pewne. Jest więc tylko kwestya granicy, która z biegiem czasu, ze zmianą okoliczności, przesuwa się to w jedną, to w drugą stronę, tak, że mamy przewagę bądź sił zwartości, bądź sił rozbieżności. Z tego punktu widzenia własność towarzystw akcyjnych, gdzie majątek wszystkich uczestników jest wspólnie odpowiedzialny, przedstawia inne ugrupowanie sił zwartości i rozbieżności, niż własność indywidualna przedsiębiorstw prywatnych. Z tego punktu widzenia różnica pomiędzy *condominium* i *res communis* nie jest tak wielką, jak się przedstawicielom szkół powyższych wydaje. Oni zwykle stawiają kwestyę tak, jak gdyby własność wspólna oznaczała zupełny zanik praw jednostki, a własność indywidualna—zupełny zanik praw wspólnoty.

Zresztą przedstawmy w krótkich zarysach doktryny obu szkół.

Według Engelsa, który dobrze streszcza poglądy pierwszej, za czasów barbarzyństwa wszelka własność należała do rodu, jako wspólne dziedzictwo całej grupy krewniaków. Ale u progu historyi znajdujemy już wszędzie stada, jako własność prywatną głów rodzin, równie jak i wytwory przemysłu i sztuki, naczynia metalowe, oręż, przedmioty zbytku i niewolników. Ten wzrost niesłychany bogactw, który znajdujemy w początkach historyi autentycznej, miał podważyć dawną społeczność, opartą na rodzie macierzystym i na własności wspólnej. Mężczyzna zajmował się główn ie — w nowych warunkach — zdobywaniem pokarmu; stada, narzędzia pracy i niewolnicy, których zdobywał własnymi zabiegami, miały się naturalnie stawać dziedzictwem jego własnych dzieci. Ale według prawa macierzyńskiego wszystko to musiało pozostawać w rodzie i przechodzić do krewniaków ze strony matki. Otóż dzieci

zmarłego ojca nie należały do jego rodu, lecz do rodu swej matki, nie mogły więc po nim dziedziczyć. Dziedziczyli natomiast bracia i siostry zmarłego.

Oto czemu pokrewieństwo w linii żeńskiej musiało ustąpić w tem nowem społeczeństwie, gdzie mężczyzna miał faktyczną, ekonomiczną przewagę, przed prawem dziedziczenia w linii ojcowskiej. Dzieci zaczęły przechodzić do rodu ojca, nie zaś matki. Zmiana tego rodzaju odbyła się niedawno stosunkowo u wielu Indyan, ale należy dodać, iż odbyło się to nietylko pod wpływem wzrostu bogactw, ale także i pod wpływem misyonarzy chrześcijańskich; pośród 8 plemion z okolic Missuri 2 zachowało pokrewieństwo żeńskie, 6 zaś przeszło do męskiego. Podobna zmiana nastąpiła u Delawarów, Schawne'ów i t. d.

Tego rodzaju rewolucya miała wrzekomo być powszechną w ludzkości pierwotnej pod koniec barbarzyństwa (ale gdzie i jak, na to dowodów nie mamy), i w ten sposób miała powstać rodzina patryarchalna. Jest to organizacya pewnej liczby osób, wolnych lub nie, pod wspólną władzą głowy rodziny. Inkorporacya niewolników i władza ojcowska stanowią w niej punkty zasadnicze. Najlepszym przykładem tego rodzaju wspólnoty rodzinnej ma być *Zadruga*, obejmująca kilka pokoleń, pochodzących od wspólnego ojca, mieszkających razem, pod wspólnym dachem, uprawiających wspólnie ziemię, żywiących się i odziewających wspólnie. Wspólnota poddana jest zarządowi wybieralnego pana domu *(domacina)*, ale władza zwierzchnia należy do rady rodzinnej, do zebrania wszystkich dorosłych mężczyzn i kobiet. Zdaniem Kowalewskiego, tego rodzaju gospodarstwo patryarchalne (Zadrugi, Bratstwa) stanowiło powszechną fazę przejściową pomiędzy rodziną macierzyńską, pochodzącą z małżeństw grupowych, opartych na czystym komunizmie, a monogamią nowożytną, opartą na własności prywatnej. Istnienie tej wspólnoty rodzinnej pod nazwą „wierw" ma być dowiedzionem dla Rosyi (Prawda Jarosława). (Nie należy jednak mieszać tej wspólnoty rodzinnej z późniejszą gminą rolną — „obszczina"). U Niemców, według Heusslera, jednostką gospodarczą była ongi nie rodzina odrębna nowożytna, lecz podobna wspólnota rodzinna, zawierająca często niewolników. Rodzina rzymska należeć ma do tegoż typu. Wspólnoty te miały także istnieć u Celtów w Irlandyi, we Francyi (ślady ich istnieją w Nivernais), w Indyach, w starożytnym Meksyku i Peru, na Kaukazie, u Kabylów i t. d. We wszystkich tych wypadkach uprawa i władanie ziemią miały się odbywać na zasadach komunistycznych. Wspólnoty rodzinne miały brać pod uprawę wspólną

przestrzeń ziemi, odpowiadającą liczbie ich członków, i używały wraz z sąsiadami tytułem „marki” wspólnej z ziemi otaczającej, pozostałej nieuprawną. Ze względu na małą gęstość zaludnienia pozostawało zawsze dość ziemi wolnej naokoło, by żadne spory o posiadanie ziemi były niemożebnymi. Dopiero z biegiem wieków, ze wzrostem zaludnienia i postępami techniki praca i sposób władania wspólnot rodzinnych stały się niepraktycznymi, miały się one rozdzielić na rodziny składowe, przyczem pola orne i łąki, uprawiane dawniej wspólnemi siłami, miały być podzielone pomiędzy rodzinami indywidualnemi, z początku czasowo, a potem i ostatecznie, gdy tymczasem lasy, pastwiska, wody pozostawały i nadal własnością wspólną. Tak ze wspólnot rodzinnych miały powstać gminy rolne z peryodycznym podziałem ziemi (*obszczina*) i „Marki” niemieckie, a później i własność prywatna ziemi.

Cezar opisuje niby u Swewów wspólnotę rodzinną, gdzie uprawa ziemi odbywała się na wspólny koszt, a Tacyt w 150 lat później uprawę już indywidualną, ale z podziałem corocznym ziemi; mielibyśmy więc tu do czynienia już z gminą rolną. Taki miał być pochód rozwoju w Rosyi, Niemczech, Anglii i Skandynawii — powiada Engels z pewnemi zastrzeżeniami. „Wszystkie te formy były odkryte u wszystkich prawie ludów” czytamy u tego autora. Przeciw tym teoryom, które upatrywały w resztkach własności gminnej, spotykanej dotychczas, jak obszczyna ruska, almenda szwajcarska i t. d., pozostałości powszechnego wrzekomo komunizmu czasów przedhistorycznych, rozpoczęła się reakcya. Jak rzekliśmy, Fustel de Coulanges wystąpił przeciw wywodom Maurera, który u starożytnych Celtów i Germanów upatrywał własność gminną plemienia, jako korporacyi świadomej. Uczony francuski natomiast dowodził, iż plemię składało się z oddzielnych rodzin, niczem niezwiązanych, że ziemia należała do nich, jako własność prywatna, i że gmina powstała dopiero w wiekach średnich, jako instytucya prawno-podatkowa, ustanowiona przez feodałów.

Wywody te w dalszym ciągu rozwija R. Hildebrand [1]), opierając się głównie na pracach Curra nad Australczykami, które zadają kłam poglądom Morgana i Howitta. Autor widzi w pierwocinach ludzkości nie komunistyczne rody z własnością gminną, lecz zwykłe rodziny ojcowskie z własnością prywatną.

---

[1]) Dr. R. Hildebrand: *Recht und Sitte auf den verschiedenen Kulturstufen, I Th.*, Jena 1897.

Plemię ani ród nie są świadomemi organizacyami, lecz zbiorem rodzin i ich grup, a ponieważ świadomości wspólnej niema, więc i obszar, na którym koczują lub który uprawiają, nie jest uważany za własność wspólną, lecz za własność niczyją. Żadnego ogólnego prawa całości niema, lecz tylko prawa oddzielnych jedostek, oparte na sile, na zamożności i znaczeniu. Tylko dzięki takim powodom osobistym *„principes"* mieli większy wpływ u Germanów. Wszyscy mieli prawo użytkowania z ziemi wedle swych sił, gdyż nie posiadała ona przy rzadkiem zaludnieniu żadnej wartości. Niekiedy mogło wprawdzie się zdarzać, iż grupa rodzin pokrewnych trzymała grunta w spółce, ale jestto spółka właścicieli indywidualnych, nie zaś wspólnota gminna. Zresztą niema tu ani własności indywidualnej, ani gminnej, lecz prawo używania bez przeszkód z owoców swej pracy i siły. Rzecz się zmienia, gdy ze wzrostem zaludnienia ziemia nabiera wartości. Tu dopiero staje się ona własnością prywatną, którą zagarniają głównie możni. Włościanie nie mają dość siły, by na własną rękę zagarnąć ziemię i dlatego ulegają pod tym względem możnym, którzy—za odpowiednie daniny—pozwalają całym wsiom włościan wyganiać bydło na ich łąki albo też korzystać z ich ziemi uprawnej. Tu mamy jednak do czynienia z prawem korzystania z cudzej własności — z serwitutami—, nie zaś z własnością gminną. Wreszcie możni dla łatwiejszego zbierania danin i podatków sami łączą swych chłopów w gminy, solidarnie odpowiedzialne. Jestto jednak instytucya czysto fiskalna, nie mająca nic wspólnego z komunizmem pierwotnym, który nigdy zresztą nie istniał. Nieporozumienie pod tym względem wyszło, zdaniem Hildebranda, stąd, iż uważano za własność gminną to, co nie było własnością niczyją, albo też to, co było współwładaniem właścicieli indywidualnych—*condominium*, a nie *res communis* — albo też serwituty, t. j. prawo użytkowania za odpowiedni haracz z gruntów, należących do pana, albo też wreszcie to, co było instytucyą fiskalno-administracyjną.

Walka obu szkół nie jest blizka końca, albowiem opierają się na dokumentach spornych, które każdy może tłómaczyć według swego widzimisię. Dlatego też, pozostawiając przeszłość w spokoju, wolimy zastanowić się nad teoryą prof. Pareto, opartą na faktach wiarogodnych (*Cours d'éc. pol., vol. II*). Podział bogactw może zależeć od natury ludzi, z których społeczeństwo się składa, od organizacyi społecznej i wreszcie od przypadku, t. j. od splotu pewnych przyczyn, jeszcze niezbadanych. Doświadczenie powinno nam pokazać, jakim jest udział tych różnych czynników w podziale bogactw. Jeżeli znajdziemy, iż zmienia się on znacznie i w sposób nieprawidło-

wy, ze zmianą miejsca i czasu, będzie należało przypuścić, iż „przypadek“ jest tu sprężyną główną. Jeżeli zmiany te towarzyszą regularnie zmianom urządzeń ekonomicznych, wywnioskujemy, iż te ostatnie grają rolę przyczyny. Jeżeli wreszcie znajdziemy, iż podział bogactw nie wiele się zmienia ze zmianą miejsca, czasu i organizacyi społecznej, trzeba będzie wnosić, iż natura ludzka jest główną przyczyną badanego zjawiska. Najpewniejszych danych w tej kwestyi podziału bogactw dostarcza dotychczas podatek dochodowy. Otóż, porównywając ten ostatni dla Anglii i Irlandyi i przedstawiając rzecz geometrycznie [1]), znajdujemy, iż krzywe, zaznaczające

---

[1]) Nazwijmy w tem, co następuje, X pewien dochód i N liczbę osób, mających dochód wyższy nad X. Otóż weźmy Anglię i Irlandyę z lat 1893—1894; dla handlu i przemysłu mamy dane następujące:

X	N	
f. st.	Anglia	Irlandya
150	400,648	17,717
200	234,185	9.365
300	121,995	4.592
400	74,041	2.684
500	54,419	1.898
600	42,072	1.428
700	34,269	1.104
800	29.311	940
900	25,033	771
1000	22,896	684
2000	9.800	271
3000	6,069	142
4000	4.161	88
5000	3,081	68
10000	1.104	22

Nakreślmy 2 osie AB i AC. Na AB przenieśmy logarytmy X, na AC logarytmy N.

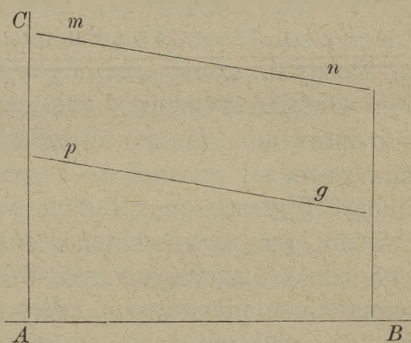


fig. I.

Odrazu tu zwraca na siebie uwagę fakt, iż punkty, tak określone, mają jasną dążność rozkładu według linii prostych (mn dla Anglii i pg dla Irlandyi) i równoległych. Powiedzmy odrazu, iż taż sama dążność wyraźnie się zaznaczać będzie we wszystkich przykładach, które poniżej następują.

Nachylenia (α) linii mn, pg, otrzymane dla różnych krajów, różnią się bardzo niewiele.

Krzywa rzeczywista jest tu interpolowaną przez prostą, której równanie jest: $log\ N = log\ A - \alpha\ log\ x$ (gdzie A jest ogólna suma osób płacących podatki)

$$N = \frac{A}{X^{\alpha}} \qquad (I).$$

Liczba dochodów zawartych pomiędzy x i $x + \partial x$ jest

$$y\partial x = - \frac{\partial N}{\partial x} \partial x \qquad \text{czyli } y = \frac{\alpha A}{X^{\alpha+1}}$$

Stałe formuły (I) określa się za pomocą metody interpolacyi Cauchy'ego.

Jeżeli od logarytmów powrócimy do liczb, otrzymamy krzywą podziału bogactw (zob. figurę II. w dalszym ciągu).

podział bogactw w dwu tych krajach są zupełnie równoległe. Ten sam rezultat otrzymany został dla Prus [1], Saksonii [2]), miast włoskich [3]), a także porównywając dane o dochodach Bazylei [4]) z r. 1450 i z r. 1887, Augsburga z lat 1471, 1498, 1512, a nawet Peru z 18 stulecia.

„Rezultaty do których doszliśmy są godne uwagi — powiada Pareto (str. 312 t. II). „Jest rzeczą absolutnie niemożebną, by one były tylko skutkiem przypadku. Istnieje napewno przyczyna, wywołująca dążność dochodów do rozkładu według pewnej krzywej. Forma tej krzywej wydaje się zależeć tylko bardzo słabo od różnicy warunków ekonomicznych krajów rozpatrywanych, gdyż skutki są prawie też same dla krajów, tak różnych pod względem organizacyi ekonomicznej, jak Anglia, Irlandya, Niemcy, miasta włoskie i Peru“.

---

[1]) Dla Prus mamy podatki klasowe aż do r. 1891 i następnie podatki z dochodu:

X	*N*		
Marki	**1876**	**1881**	**1886**
420	5,155.324	5,224,654	5.557.107
1650	450,567	472,910	522,321
4800	66,319	75,720	88,639
16800	8.033	8,785	10,860
84000	532	543	737

X	*N*	
Marek	**1893—4**	**1894—5**
900	2,479.778	2,519,008
3000	319,317	321,296
6000	110,749	111.594
8000	71,905	72,038

[2]) Dla Saksonii mamy:

X	*N*	
Marek	**1880**	**1886**
500	540.435	691,183
800	260,924	336,594
1,600	93.747	115,337
3.300	30,379	39,127
4,800	16.584	22.384
9.600	5,503	8.111
100,000	119	222

[3]) Miasta włoskie.

X Frank.	*N*
1000	59,486
2000	26.968
4000	9.766
7000	4.264
10000	2.397
15000	1.310
25000	645

[4]) Bazylea.

X	*N*		*X*
Floren.	**1454**	**1887**	Franków
10	1403	17,324	800
50	788	6,664	1.500
100	560	4,514	2,200
150	502	2,039	4,000
300	309	658	10,200
1000	144	314	20,000
5000	28	128	40,000
		36	100,000

Jeżeli nakreślimy krzywe logarytmów z lat 1454 i 1887 dla Bazylei, znajdziemy, iż wcale prawie nie różnią się jedna od drugiej. Bazylea bardzo się zbogaciła w ciągu tego czasu, ale podział bogactw został prawie niezmienny.

Z drugiej strony rachunek pokazuje, iż nachylenie linii logarytmów (α) (w rodzaju mn lub pg i t. d.) względem AB (t. j. osi x) niewiele się różni w rozmaitych miejscach i czasach. A mianowicie równa się ono:

w Anglii 1843 . 1,50	w Saksonii. . . 1,58	w Augsburgu 1471 . 1,43
„ 1880 . 1.35	w miast. włoskich 1.45	w Peru (XVIII st.) . 1,79
w Prusiech 1852 . 1.89	w Bazylei 1887 . 1,24	
„ 1894 . 1.60	w Paryżu . . . 1,57	

Stąd wniosek, iż podział stosunkowy bogactw wszędzie przedstawia się w sposób analogiczny.

Gdyby obracać te krzywe, odpowiadające różnym społeczeństwom, które rozpatrywaliśmy, koło ich osi, otrzymalibyśmy pewną ilość brył geometrycznych, mających tęż samą formę, zupełnie jak różne kryształy, które daje taż sama substancya chemiczna. Są kryształy duże, średnie i drobne, ale wszystkie mają tęż samą formę.

Do analogicznych rezultatów doszedł także w swych badaniach Otto Ammon.

Zauważmy, iż, studyując rozkład dochodów, nie zajmujemy się bynajmniej kwestyą ich pochodzenia. Człowiek, nawet najuboższy, powinien być rozpatrywany, jako mający dochodu sumę, z której żyje. Wszystko jedno, czy suma ta jest owocem jego pracy, czy też otrzymuje ją w sposób jakikolwiek, dozwolony lub nie.

Na pierwszy rzut oka, krzywa podziału bogactw jest podobną do „krzywej błędów" („*courbe des erreurs*") z rachunku prawdopodobieństwa. Możnaby więc przypuścić, iż podział bogactw jest wprost skutkiem trafu (czyli koniunktur, jak Lassalle powiada) i że bogacze wyciągnęli wielkie losy. Ale to się tylko tak wydaje: bliższa analiza pokazuje, iż „krzywa błędów" jest daleko bardziej wklęsłą, niż krzywa podziału bogactw, a zatem, iż jest od niej odmienną. A więc podział bogactw od trafu nie zależy. [1])

---

[1]) Weźmy urnę, zawierającą kulki białe i czarne. Wyciągamy μ kulek i powtarzamy wielokrotnie te operacye. Każda kulka biała przedstawia 1 fr. dochodu. Na bardzo wielką ilość losowań będziemy więc mieli dochody 1 fr., 2 fr. i t. d. Dochody te rozłożą się według krzywej prawdopodobieństwa, którą analitycznie wyrazić można, jak następuje: jeżeli μ jest ilością całkowitą losowań, m ilością wypadków szczęśliwych, n—nieszczęśliwych, p prawdopodobieństwem wypadku szczęśliwego (wygranej pewnej sumy) i $q = 1 - p$, to prawdopodobieństwo zdobycia dochodu proporcyonalnego do m będzie

$$U = \frac{1 \,.\, 2 \,.\,.\,.\,.\, \mu}{1 \,.\, 2 \,.\,.\,.\, m \,.\, 1 \,.\, 2 \,.\,.\,.\, n}\, p^m q^n .$$

Wiadomo, iż wypadek najprawdopodobniejszy jest ten, w którym m jest równe μp. Największa więc ilość osób będzie miała dochód $p\,\mu$. Dochody niższe lub wyższe od μp będą te, które należeć będą do mniejszych ilości osób. Postawmy więc $\mu p = m^1$ i $m = m^1 + t$.

Bliższe badanie Pareta II, p. 317 pokazuje, iż

P jest proporcyonalne do $\left(\frac{m^1}{m^1 + t}\right)^{m^1 + t + \frac{1}{2}}$ a ponieważ $m = m^1 + t$

a dochód X może być uważany za równy m, to widzimy, iż ydx czyli ilość osób, mających dochód pomiędzy x i $x + dx$, waha się mniej więcej proporcyonalnie do $\left(\frac{m^1}{x}\right)^{x + \frac{1}{2}}$. Z drugiej strony doświadczenie pokazuje, jak to poprzednio widzieliśmy, iż ilość ta w rzeczywistości waha się proporcyonalnie do $\frac{1}{X^{\alpha + 1}}$. Dwa te wyrażenia są zupełnie różne. A więc krzywa prawdopodobieństwa nie jest

Z drugiej strony nie zależy także, zdaniem Pareta, od organizacyi ekonomicznej, a więc działa tu wyłącznie prawie heterogenizm społeczny, polegający na tem, że różne klasy mają różne uzdolnienia, pozwalające im się zbogacać w sposób rozmaity.

Weźmy społeczeństwo, którego dochody są przedstawione przez następującą figurę. [1]).

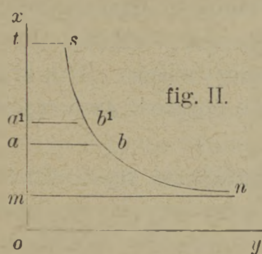


fig. II.

(ox jest osią dochodów, oy—ilości osób, mających dany dochód). Możemy wyobrazić sobie samo społeczeństwo, jako przedstawione przez powierzchnię $m n b b^1 s t a a^1 m$, przyczem jednostki przedstawiają czynniki składowe (punkty) tej powierzchni. Wiemy, iż forma krzywej $n b b^1 s$ zmienia się tylko nader powolnie i że dla określonego czasu może być uważaną za stałą. Ale cząsteczki, z których składa się

---

krzywą podziału bogactw. Gdyby te dwa wyrażenia były też same, można byłoby wywnioskować, iż podział bogactw może być uważany za podobny z wyciąganiem kulek z jednej urny. Ale ponieważ znaleźliśmy różnicę, więc należy odrzucić hypotezę jednej urny i przypuścić, iż istnieje ich wiele. Inaczej mówiąc, czysty traf nie wystarcza dla objaśnienia podziału bogactw, a należy oprócz tego przyjąć heterogenizm społeczny. Zapytajmy się więc, jakie prawo heterogenizmu społecznego każe przypuszczać forma, którą rzeczywistość pokazuje dla krzywej podziału bogactw. Niechaj społeczeństwo się składa z wielu grup odrębnych i niechaj w jednej z nich, jakiejkolwiek, ilość jednostek będzie g i p prawdopodobieństwo wygrania franka, które każda z tych jednostek posiada dzięki swym właściwościom, dobrym czy złym. Rozłożywszy jednostki pod tym względem według prawa prawdopodobieństwa, należy znaleźć dla g funkcyę taką, by przy wartościach dość znacznych dla x otrzymać prawo, któreśmy znaleźli eksperymentalnie: $y = \frac{A \alpha}{X^{\alpha-1}}$; szukana funkcya g jest następująca: $g = \frac{\alpha A}{\mu^{\alpha} p^{\alpha+1}}$. Ta formuła podaje skład sum, które przedstawia rzeczywisty podział bogactw. Gdyby ruchliwość pomiędzy rozmaitemi sferami społeczeństwa była doskonała, formuła ta mogłaby być uważana za prawo rozmierzenia właściwości, które pozwalają ludziom się zbogacać (np. prawo rozmieszczenia „eugenizmu“). Ale ta ruchliwość bynajmniej doskonałą nie jest. Prawo więc podziału, wyrażone przez tę ostatnią formułę, wypływa z rozmieszczenia zdolności, pozwalalących ludziom się zbogacać, i z rozkładu przeszkód, wypływających z organizacyi społecznej, które sprzeciwiają się wprawieniu w ruch tych zdolności.

[1]) Jeżeli uczynimy $ab = z$, to powinniśmy mieć

$$\pi Z^2 dx = \frac{\alpha A}{X^{\alpha+1}} dx,$$

Skąd $Z = \sqrt{\frac{\alpha A}{\pi X^{\alpha+1}}}$ jako równanie profilu bryły obrotowej, która przedstawia społeczeństwo.

agregat społeczny, nie zostaje w spokoju; pewne jednostki się zbogacają, inne ubożeją. A więc wewnątrz powyższej figury zachodzą ciągłe ruchy. Organizm społeczny podobny jest pod tym względem do organizmu żywego. Forma zewnętrzna konia pozostaje stałą, ale wewnątrz odbywają się ruchy bezustanne. Ruch krwi obraca szybko pewne cząsteczki, asymilacya i wydzielanie zmieniają je ciągle w tkankach. Analogia może być posuniętą jeszcze dalej. Tylko forma krzywej $n b b^1 s$ pozostaje stałą, ale wielkość absolutna figury może się zmieniać i zmienia się rzeczywiście. Tak źrebię zostaje koniem; podobieńsrwo form trwa, ale objętość zwierzęcia wzrosła.

Przy badaniu powyższej figury, przedstawiającej np. ludność Anglii, postępujemy w sposób następujący. Zwracamy uwagę, jak jest podzielone bogactwo pomiędzy każdym milionem Anglików. Sumując następnie wszystkie odnośne miliony, otrzymujemy całość narodu angielskiego. A więc każdy milion, tak wydzielony, zawiera część proporcyonalną jednostek z każdego ilościowego rodzaju dochodów. Każdy milion przedstawia więc kryształ elementarny, z których się składa wielki kryształ, stanowiący społeczeństwo całe. Pod względem wielkości absolutnej ten wielki kryształ nie ma granicy określonej. Ludność i bogactwo danego narodu mogą rosnąć prawie bez końca. Natomiast zmiany formy wielkiego kryształu i kryształów elementarnych, z których się składa, zawarte są w granicach określonych. A mianowicie kształt krzywej dochodów pozostaje prawie niezmienny.

Przypuśćmy, iż powyższa figura przedstawia podział bogactw pośród każdego miliona osób. Oddzielmy na niej drobniejszą przestrzeń $a b b^1 a^1$. W niej odbywają się zmiany dwojakie: 1) Pewna jednostka umiera i po niej następuje jej syn. Dochód pozostaje ten sam, tylko posiadacz się zmienił. Wogóle urodzenia wprowadzają tu nowe jednostki, śmierć zabiera stare. 2) Wymiana, nieraz dość energiczna, odbywa się między działką $a b b^1 a^1$ a działkami sąsiedniemi. Pierwsza otrzymuje od dolnych jednostki zbogacone, z górnych jednostki zubożałe. Traci ona natomiast jednostki, które się zbogacają i przechodzą do działek wyższych i inn., które ubożeją i spadają do niższych. Dla skrócenia powiedzieć można, iż zmiany pierwszego rodzaju pochodzą od ruchu ludności, drugiego — od ruchu bogactw.

Rozpatrzmy oba rodzaje tych zmian razem. Jeżeli rezultatem ich jest zwiększenie ilości osób, zawartych w działce $a b b^1 a^1$, to długość działki wzrasta, ponieważ jednak cała figura musi posia-

dać liczbę stałą miliona jednostek, to trzeba, by to przedłużenie powyższej działki okupione było skróceniem innej jakiejkolwiek, co zmieniłoby formę krzywej *nbs*. Otóż, jak widzieliśmy, forma ta jest prawie niezmienną, trzeba więc wnosić stąd, iż każda działka *abb'a'* otrzymuje prawie tyleż jednostek, ile traci. Inaczej mówiąc, istnieje corocznie prawie tyleż jednostek, które wstępują do klasy, mającej 4,000 do 5,000 fr. dochodu, ile takich, co z niej występują. Jeżeli jednak przyrost całkowity działki *abb'a'* jest równy zeru, to nie można tegoż powiedzieć o powyższych dwu jego częściach składowych. Zmiany, pochodzące z ruchu ludności, mogą się kompensować przez zmiany, pochodzące z ruchu bogactw, by dać w rezultacie stan niezmienny. Forma krzywej podziału bogactw jest skutkiem wszystkich sił, wpływających na społeczeństwo, t. j. zalet i wad ludzi, którzy je składają, i warunków zewnętrznych otoczenia. Krzywa ta daje położenie równowagi, i, jeżeli odchylamy społeczeństwo od tej równowagi, rozwijają się w niem siły automatyczne, które je do tegoż położenia powracają. By forma krzywej tej się zmieniła w sposób stały, trzeba, by zmiany stałe zaszły także w siłach, określających tę krzywą.

Forma krzywej podziału bogactw zależy głównie od rasy, od właściwości osobistych. Wypadek krańcowy byłby taki, w którym każda jednostka znajdowałaby się niechybnie w działce dochodów, która odpowiada jej zdolnościom. Drugi wypadek krańcowy byłby ten, gdzie każda działka, posiadająca pewien dochód, byłaby kastą zamkniętą i gdzie żadnej wymiany nie byłoby między jedną działką a drugą. Wypadki, przedstawiane przez rzeczywistość, są pośrednie między tymi krańcowymi.

Zdolności, o których mowa, powinny być roztoczone również na dobro, jak i na zło. Jeżelibyśmy rozpatrywali społeczeństwo, złożone ze złodziei, znaleźlibyśmy, być może, podział bogactw, podobny do tego, jaki nam doświadczenie pokazuje. Zdolność do kradzieży określiłaby podział zdobyczy. Natomiast w społeczeństwie, gdzie wytwarzanie bogactw jest jedyną drogą nabywania dochodów, zdolność do pracy, do oszczędzania, duch porządku i dobrej konduity określać będą ten podział. Zresztą ani w jednym, ani w drugim wypadku podział ten nie będzie dokonanym. Pewne jednostki będą odziedziczać lub otrzymywać w darowiźnie majątki, które pomieszczać je będą w klasach innych, jak te, które odpowiadają ich zdolnościom złym lub dobrym.

„W gruncie — kończy autor — proporcya osób doborowych z urodzenia mogłaby być główną przyczyną formy, którą przybiera

krzywa dochodów. To objaśniałoby, w jaki sposób się dzieje, iż forma ta mało się zmienia od kraju do kraju, od epoki do epoki. To objaśniałoby także, czemu nierówność dochodów nie może się zmniejszyć i dochód minimalny wzrosnąć inaczej, jak gdy suma bogactwa społecznego wzrasta. (Jest to jedna z najbardziej ulubionych i najsporniejszych teoryi Pareta). Istotnie, gdy ilość całkowita bogactwa jest bardzo drobna, to tylko jednostki najzdolniejsze mogą zdobyć znaczną jego część. Jeżeli ilość ogólna bogactwa jest bardzo znaczna, jest ono łatwiejsze do zdobycia, i jednostki, średnio uzdolnione, potrafią zdobyć znaczną jego część. Nareszcie, jeżeli istnieje jedna tylko nagroda w walce, to najsilniejszy z walczących jest zadowolony z wygranej i mniej będzie skłonny poddawać się nowym niebezpieczeństwom, by zwyciężyć drugiego".

W zasadzie sposób postępowania Pareta wydaje się nam zupełnie słuszny. Tak, nierówny podział bogactw społecznych niewątpliwie zależy od heterogenizmu społecznego, od różnicy ras, a właściwiej mówiąc, od różnicy w natężeniu energii biologicznej, czystych bowiem ras już niema, nie znamy ich nawet dotychczas, tak się pokrzyżowały. Wszystkie społeczeństwa obecne składają się wyłącznie prawie z mieszańców, w których krzyżowanie i ciśnienie warunków otoczenia rozwinęły odrębne uzdolnienia. Otóż nie z rasami czystemi mamy do czynienia, ale z tymi wyspecyalizowanymi mieszańcami, i o nich można powiedzieć, iż różnią się natężeniem energii biologicznej, przyczem osoby tej samej energii stanowią zwykle klasę, jakkolwiek skład antropologiczny tej samej klasy może być nader rozmaity, energia osób tej samej klasy może być wyspecyalizowana w różnych jednostkach w najrozmaitszych kierunkach, ale natężenie tej energii we wszystkich musi być mniej więcej jednakowe, co się wyraża ilością materyi, którą ona przyciąga, jednakowym majątkiem lub dochodem.

Pozatem jednak Pareto nazbyt uogólnia. Z tego, że można dla każdego społeczeńswa nakreślić krzywą podziału bogactw, zależną główmie od heterogenizmu społecznego, od „natury" odrębnej składowych ras, a raczej od natężenia energii biologicznej klas, która jest różną, co się wyraża w różnej sile, z jaką przyciągają materyę, nie należy wnioskować ani, by krzywa ta była wspólną dla wszystkich miejsc i czasów, ani, by inne przyczyny oprócz natężenia energii biologicznej już nie działały. Istotnie krystalizacya majątku koło ras społecznych odbywa się automatycznie zupełnie, jak w chemii. Ale, jak w tej ostatniej forma tych kryształów jest nader odmienną, co zależy od natury substancyi, tak samo forma od-

nośnych kryształów społecznych, wyrażana krzywą podziału bogactw, dla różnych społeczeństw może być rozmaitą, co nie zmienia ogólnej zasady, iż forma tych kryształów zależy głównie od sił wewnętrznych międzycząsteczkowych, od natężenia energii biologicznej ras i klas składowych. Pareto dowiódł jednakowości odnośnej krzywej dla współczesnych państw europejskich, jak Anglia, Niemcy, Szwajcarya, co objaśnia się analogicznym ich składem rasowym. Ale forma ta mogła być inną w przeszłości, gdy skład ich rasowy był odmienny, i może jeszcze być inną dla innych społeczeństw. Dane, które Pareto przytacza dla Augsburga z 15 stulecia lub dla Peru z 18, niczego stanowczo nie dowodzą, tak są nieznaczne. Ale z tego tylko wywnioskować można, iż krystalizacya społeczna własności może przybierać nie jedną tylko formę stałą, lecz wiele odmiennych. A więc mechanika społeczna będzie musiała badać te odmienne krzywe dla różnych społeczeństw, zupełnie, jak krystalografia, bada odmienne bardzo formy kryształów. Co dla nas najważniejsza, to, że w jednym i drugim wypadku mamy do czynienia z przejawami pewnych sił wewnętrznych, przyciągania bądź fizycznego, bądź biologicznego, działającego w sposób prawidłowy i dającego się ściśle wymierzyć,—kwestya, na którą socyologia dotychczas żadnej prawie uwagi nie zwróciła.

Z drugiej strony nie myślimy bynajmniej zaprzeczać, iż organizacya społeczno-ekonomiczna może mieć i ma prawdopodobnie na formę krzywej podziału bogactw znaczny wpływ. Ale ta strona kwestyi, przy obecnych metodach matematycznych w ekonomii politycznej, może być dokładnie zbadaną. Mianowicie różnica organizacyi ekonomicznych sprowadza się głównie do tego, czy one zapewniają wolną konkurencyę, czy też utrzymują monopole społeczne. Monopol gra rolę jakiejś przeszkody zewnętrznej, która nie pozwala procesowi krystalizacyi pewnego rozczynu dojść do naturalnej i ostatecznej swej równowagi, a zatem nie dopuszcza najlepszego rozkładu materyi w zastosowaniu do istniejących w rozczynie centrów przyciągania: jeżeli np. w rozczyn wprowadzimy przegródkę blaszaną, dzielącą go na dwie części niejednakowej gęstości.

Otóż krzywa podziału bogactw, którą Pareto podaje, i która, jak widzieliśmy, conajdalej może być zastosowaną tylko do współczesnych społeczeństw europejskich—i to nie do wszystkich, bo np. w Rosyi lub Francyi, z innym składem rasowym, może ona przybrać inną formę—może być spowodowaną nie tylko naturalną grą przyciągań różnorodnych elementów rasowych, ale także i tem, iż własność ziemska, a po części i ruchoma, może stanowić w porówna-

niu z pracą monopol, a w takim razie jednakowość rezultatów może być wywołana poczęści i jednakowością organizacyi ekonomicznej odnośnych państw europejskich. Ta okoliczność jeszcze większej nabiera wagi, gdy rozbieramy różne typy społeczne. Po za tem należy przyznać, iż postępowanie Pareta jest wzorowe.

Mając obecnie wyciągnąć wnioski ogólne z naszej pracy, powiemy co następuje: jakkolwiek dla względów teoretycznych i na zasadzie niektórych przeżytków, a także faktów z życia współczesnego, nie mamy prawa wyrzucić z dziedziny możliwości ani form bezładnych pożycia płciowego, ani komunizmu własnościowego, to należy jednak przyznać, iż formy realne, które życie i historya przeważnie i prawie bezustannie przedstawia, to monogamia i po części poligamia, a także drobna i wielka własność prywatna. I, zaiste, podziwiać należy stałość, jaką te formy społeczne zachowują wobec ciągłej zmienności innych form życia społecznego. Są to istotnie formy zasadnicze, odradzające się automatycznie, jako *sui generis* krystalizacya, pod wpływem sił przyciągania biologicznego. I, jak w zjawiskach krystalizacyi fizycznej wszelkie objawy ruchu czyli energii kinetycznej, pochodzą z dezagregacyi dawniejszych związków, z zamianą całej ich energii potencyonalnej na ruch, który wreszcie dochodzi do nowej integracyi materyi, do odbudowania, przy warunkach dogodnych, kryształów pierwotnych, z odrodzeniem całej ich energii potencyalnej: tak samo wszystkie objawy ruchu społecznego, obejmujące ekonomię, moralność, prawo, religię, sztukę, naukę mają za punkt wyjścia i cel krańcowy zjawiska asymilacyi, odbywającej się w formach rodziny i własności i dochodzącej wciąż do odrodzenia potencyału społecznego, t. j. do odrodzenia rasy. W tem twierdzeniu zasadniczem naszej teoryi zawiera się, jak widzieliśmy, możność zastosowania do zjawisk społecznych metody pomiarów ilościowych. Należy tylko zrozumieć, iż wszystkie objawy ruchu społecznego mają za punkt wyjścia potencyał społeczny czyli rasę, który można obliczyć średnimi kosztami jej wytwarzania, i że wszystkie te objawy, których wartość może na tejże zasadzie być obliczona, mają za cel, do którego dążą, odrodzenie tegoż potencyału czyli rasy. Ponieważ jednak zjawiska dezintegracyi i integracyi społecznej czyli zużytkowania i odradzania rasy odbywają się jednocześnie, więc wartość pieniężna dóbr materyalnych i niemateryalnych jest wciąż wyrazem stanu energii i kinetycznej, i potencyalnej społeczeństwa i jest jedyną istotną miarą społeczną ludzi, rzeczy i instytucyi.

Należy zresztą jeszcze dodać dla dokładniejszego wyjaśnienia sprawy, iż pod wszystkimi objawami życia społecznego kryją się w rzeczywistości tylko objawy ruchu materyi żywej, ruchu rytmicznego, który peryodycznie dobiega do okresów względnego spokoju. Rodzina i własność są właśnie tymi momentami statycznymi, znamionującymi trwałość rasy, kiedy wszystkie inne formy społeczne są tylko cyklami ruchu, które wychodzą wciąż z tych momentów statycznych i do nich dobiegają. W sumie proces społeczny przedstawia się więc tylko, jako proces przekształcania energii, która, wychodząc z rasy, wciąż do niej powraca, jako ciągły proces zaniku i odradzania się potencyału. A więc mamy materyę w ruchu, materyę zdezagregowaną, która peryodycznie znów samorzutnie się integruje, przyczem ta integracya, skutek przyciągań rytmicznych, daje, jako równoważną tych przyciągań, rodzinę i własność, t. j. wciąż odradzającą się rasę. Nikt bowiem normalnie, z wyjątkiem okresów patologicznych zwyrodnienia rasy, nie zakłada ich w celu innym, jak zachowania rasy. Rodzina i własność są więc formami najbezpośredniejszemi integracyi materyi społecznej, są identyczne z zachowaniem rasy. Formy te odradzają się automatycznie pod wpływem siły ciążenia, jako objawy krystalizacyi. I dlatego krzywa podziału własności jest zarazem krzywą form rodzinnych: wielkiej własności towarzyszy zwykle, w sposób otwarty lub przykryty, poligamia, drobnej i średniej—monogamia, a ubóstwu—bezład i prostytucya, będące wraz z nędzą środkami eliminacyi niższych, mniej energicznych typów ludzkich. Formy rodziny nie układają się według form własności, lecz obie równolegle zastosowują się do natężenia energii biologicznej odnośnych warstw rasowych. W ten sposób proces społeczny jest procesem czysto biologicznym i dąży w ostatecznym swym rezultacie bądź do ulepszenia rasy, bądź do zachowania istniejących, bądź do ich pogorszenia.

Co się tycze wszelkich innych form społecznych, te są tylko środkami, dążącymi do dopięcia tej ewolucyi rasowej i w swych zmianach zastosowują się do niej zupełnie. A ponieważ ewolucya rasowa w swych momentach postępowych, niezmiennych jest niczem innem, jak integracyą materyi, odbywającą się w formach własności i rodziny, t. j. społecznej równowagi w zaspokojeniu głodu i miłości, to wszystkie te inne formy społeczne są tylko częściami składowemi rodziny i własności czyli głodu i miłości.

DODATEK.

Równania rodziny i własności.

Weźmy dwie osoby *A* i *B*—albo też dwie grupy społeczne, co na jedno wychodzi—różnej rasy, t. j. różniące się natężeniem energii biologicznej. Najogólniejsze ich interesy polegają na instynkcie samozachowania, t. j. trwania osobistego i w potomstwie. Interesy te zależą więc od pokarmu i kobiet, które mogą istnieć w ilościach nader rozmaitych, a więc od dwu dóbr czyli ilości zmiennych. Zobaczmy, w jaki sposób dobra te rozpodzielą się między temi osobami, pod warunkiem istnienia z obopólnej zgody tych osób. Wiemy, iż zgoda wyraża tylko istnienie przyjemności, żądzy, która swoją drogą wyraża tylko przyciąganie, wywierane przez osoby te na te dobra. Dobra te rozpodzielać się będą oczywiście aż do ustanowienia pewnej równowagi przyciągań z jednej i z drugiej strony. Określmy analitycznie ten moment równowagi.

Dwa dobra *a* i *b* są to z jednej strony wszelkie bez wyjątku materye pokarmowe, a z drugiej kobiety—niema potrzeby wprowadzania innych czynników, gdyż, jak to doświadczenie pokazuje, np. u pająków, przyciąganie tych dwu dóbr wystarcza dla zapewnienia bytu osobistego i gatunkowego i dla wykonania zupełnego obiegu materyi i energii. Że dwa te dobra są współmierne, widzimy z tego, iż są faktycznie u wielu ludów oceniane za pomocą pieniędzy, t. j. przyciąganie lub przyjemność, wywierane przez nie na układy społeczne, porównywane są z przyciąganiem czyli przyjemnością, dostarczaną przez złoto lub jakiekolwiekbądź inne dobro. U ludów pierwotnych kobiety, na równi z pokarmem, są przedmiotem wymiany i mają określone ceny.[1]) Ilości *a* i *b* oznaczać będą ilości kobiet i pokarmu, już wymierzone za pomocą pieniędzy, wspólniczne. Osoby lub grupy *A* i *B* należą do społeczeństw pierwotnych.

Przypuśćmy, iż *A* posiada tylko dobro *a*, t. j. kobiety, a *B* — tylko *b*, t. j. pokarm. Niechaj x i y przedstawiają ilości tych dóbr wymienione czyli, inaczej mówiąc, ilości, które pod wpływem przyciągań wzajemnych odczepiły się od tych jednostek, przy z o b o p ó l n e j ich zgodzie.

---

[1]) Co do cen kapitałów osobowych u ludów historycznych por. „Energię społeczną", Ateneum, Maj, 1899.

Jevons pokazuje [1]), iż równowaga wymiany wówczas zdobytą zostanie, gdy

$$\frac{\varphi_1 (a-x)}{\psi_1 y} = \frac{\varphi_2 (x)}{\psi_2 (b-y)}$$

przyczem φ_1 i ψ_1 oznacza użyteczności cząstkowe osoby A, φ_2 i ψ_2 użyteczności cząstkowe, dostarczane przez każde z dóbr zosobna osobie B. Równanie to pozostaje niezmiennem, jeżeli przypuścimy, że A od samego początku posiadał oba dobra, również jak i B. Oczywiście, iż przyjemność całkowita A po wymianie będzie równą: $\Phi_1 (a-x)+\Psi_1 (y)$, zaś—$B=\Phi_2 (x)+\Psi_2(b-y)$. Oznaczmy przyjemność całkowitą obu dóbr dla A przez P, a dla B przez F; zależą one oczywiście tylko od zmiennych ilości x i y, które podlegają wymianie. Możemy więc jeszcze bardziej uogólnić powyższe równanie równowagi wymiany. A mianowicie ponieważ P jest $F (x, y)$, przyprzyjemności elementarne dóbr x i y dla A są

$$\frac{dP}{dx} dx \text{ i } \frac{dP}{dy} dy.$$

Otóż wiemy, iż A zatrzyma transformacye jednego dobra na drugie, gdy

$\frac{dP}{dx} dx$ będzie równe $\frac{dP}{dy} dy$, toż samo B, gdy $\frac{dF}{dx} dx$ będzie równe $\frac{dF}{dy} dy$, ponieważ F jest $\Phi (x,y)$.

Oczywiście więc, iż obie osoby, A i B, dobiegną do obopólnej równowagi, której już zmieniać nie zechcą, w punkcie, określonym przez następujące równania, razem wzięte:

$$\frac{dP}{dx} dx = \frac{dP}{dy} + dy$$

$$\frac{dF}{dy} dy = \frac{dF}{dx} + dx$$

czyli, inaczej mówiąc, gdy

$$\frac{dP}{dx} \cdot \frac{dF}{dy} = \frac{dP}{dy} \cdot \frac{dF}{dx} \quad \text{(I).}$$

Taką jest zależność przyjemności całkowitych osób A i B, gdy ich wspólne chęci wymiany się równoważą, t. j. gdy przyjemności te dobiegają do swego *maximum*.

Otóż to jedno równanie (I) nie wystarcza dla rozstrzygnięcia problematu, i zostaje on całkiem nieokreślony. Inaczej mówiąc, zgoda zobopólna, kontrakt nie wystarcza dla rozpodziału automatycznego dwu dóbr pomiędzy dwiema osobami. I w takich warunkach nie ugoda decyduje, lecz siła, t. j. jedna z osób, silniejsza, przekształcać będzie swą energię i przyciągać od drugiej dobra aż do punktu, na

[1]) Theory of political Economy.

który druga zgodzić się nie może i nie chce, lecz do którego musi się zastosować w przekształceniach swej energii życiowej, ulegając sile. Inaczej mówiąc, ponieważ jedno równanie, dostarczane przez teoryę kontraktu, nie wystarcza dla określenia dwu niewiadomych, więc drugi warunek musi być określony przez gwałt. Oto czemu rozpodział posiadania, objętego ogólnem mianem pokarmu czyli formą, własności, a z drugiej rozpodziału kobiet czyli formą rodziny nie mogła przedstawiać w czasach najpierwotniejszych, gdy grupy ludzkie były bardzo nieliczne i spotykały się po dwie, po trzy niezależnie i zosobna, żadnej prawidłowości. Gwałt, przemoc silniejszego rozstrzygały o wszystkiem. Monogamia mogła wówczas się stykać z poligamią; nie były zresztą wyłączone i stosunki ugodowe, jako jeden ze sposobów rozstrzygania równań równowagi społecznej—wypadek zresztą nadzwyczaj rzadki. Dodać należy, iż taż sama nieokreśloność panuje — jak to matematycznie wykazać można—nie tylko przy rozpodziale dwu dóbr pomiędzy dwiema osobami, ale także pomiędzy trzema, czterema i wogóle drobną liczbą jednostek lub grup. Ponieważ siła rozstrzygała, więc porywanie kobiet i grabież były pierwszemi formami małżeństwa i własności przynajmniej w stosunkach międzygrupowych, gdyż jednocześnie wewnątrz każdej z grup, w miarę tego, jak wzrastały w liczbę członków, stosunki stawały się coraz regularniejsze.

A mianowicie w miarę tego, jak pole sił staje się coraz obszerniejsze, obejmując coraz większą ilość osób walczących, warunki wymiany (t. j. przyciągania i rozpodziału pokarmu i kobiet) między konkurentami stają się coraz bardziej koniecznymi i nieosobowymi. Powyżej mieliśmy nieokreśloność zupełną (t. j. nieskończenie wielką ilość rozstrzygnięć równań równowagi i wszystkie możliwe formy rodziny i własności, wciąż zmienne). Tu natomiast mamy zupełną określoność, t. j. warunki przyciągania (zdobywania i rozpodziału bogactw i kobiet) regularne i stałe, t. j. formy społeczne trwałe i niezmienne. Formy te mogą już opierać się na ugodzie, gdyż ugoda wystarcza dla określenia równowagi układu, złożonego z większej ilości osób walczących. Tak np., jeżeli liczba osób A i B zwiększa się w sposób nieokreślony, to, przypuściwszy, iż jedna z pomiędzy osób A, np. A_1, chce zamienić ilość x_1 pokarmu na ilość y_1 kobiet, i również przypuściwszy, iż jedna z pomiędzy osób B, np. B_1, chce zamienić ilość v_1 na ilość s_1 tych 2 dóbr — i t. p. dla innych osób—to możemy ułożyć następujący system równań:

1) jeżeli jest m osób w grupie A i n osób w grupie B, to mamy $m+n$ równań, oznaczających warunki maksymalnej użyteczności każdej:

$$\frac{dP_1}{dx_1}dx_1 + \frac{dP_1}{dy_1}dy_1 = 0 \text{ przyczem } P_1 = F(x_1, y_1) \text{ również}$$

$$\frac{dF_1}{dv_1}dv_1 + \frac{dF_1}{ds_1}ds_1 = 0 \quad \text{,,} \quad F_1 = \Phi(v_1, s_1) \text{ i t. d. dla } P_2\ F_2 \text{ etc.}$$

2) $m+n-1$ równań, oznaczających stopy wymiany tych dwu dóbr (ceny) dla każdej z pomiędzy osób grupy A i grupy B. Stopy te mogą być: a) bądź jednakowe:

$$\frac{y^1}{x_1} = \frac{y_2}{x_2} = \text{etc.} \frac{v_1}{s_1} = \frac{v_2}{s_2} = \text{etc.}$$

Ma to miejsce w społeczeństwach zupełnie jednorodnych rasowo i gdzie istnieje jedna tylko forma rodziny i własności, b) bądź dwie stopy różne:

$$\frac{y_1}{x_1} = \frac{y_2}{x_2} = \ldots p\frac{v_1}{s_1} = p\frac{v_2}{s_2} = \text{etc.}$$

co ma miejsce w społeczeństwach, złożonych z dwu ras rozmaitych, lub wreszcie c) mnóstwo stóp najrozmaitszych, dla różnych klas i zawodów—co wskazuje na rozmaitość form rodziny i własności, współistniejących zwykle w tem samem społeczeństwie.

3) Ostatni wreszcie warunek, który może być nazwany równością popytu i podaży kobiet z jednej strony i pokarmu z drugiej, wyraża się, jak następuje $Sx = \Sigma r$ i $Sy = \Sigma s$.

Razem posiadamy $2(m+n)$ równań dla określenia $2(m+n)$ niewiadomych. Ta równowaga społeczna jest więc zupełnie określoną.

A zatem jeżeli grupa społeczna składa się z większej ilości osób, to kontrakt, umowa, powszechna zgoda wystarcza dla określenia równowagi społecznej, t. j. form rodziny i własności.

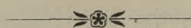
Dr. Leon Winiarski

Docent Uniwersytetu Genewskiego.



Pamiętniki Bismarcka.

(Gedanken und Erinnerungen von Otto Fürst von Bismarck, Stuttgart 1898).



W ostatnich dwu dziesiątkach lat pamiętniki wybitnych mężów stanu nie ziściły pokładanych nadziei i przyniosły historykom XIX-go stulecia daleko mniej politycznej treści, aniżeli się po nich spodziewano. Zawód powyższy dotycze przedewszystkiem pamiętników Metternicha i Talleyranda, to jest dwu mistrzów dyplomacyi, którzy przebiegłością i subtelnem prowadzeniem negocyacyi zdołali za życia pozyskać sobie rozgłośną sławę. Obydwaj wspomniani mężowie stanu, zarówno jak książę Bismarck, pozostawali u steru spraw zagranicznych; Metternich nawet bezpośrednio po bitwie pod Lipskiem, został mianowany księciem „für die gute Leitung der Auswärtigen" a więc do pewnego stopnia wraz z ciekawością była uzasadnioną pewna wątpliwość w to, czy pamiętniki Bismarcka dorównają sławie, jaką pozyskał za życia.

Przedewszystkiem zauważyć należy, iż, jakkolwiek Talleyrand i Metternich zarówno, jak i Bismarck, sterowali sprawami zagranicznemi, byli jednakże odmiennymi typami mężów stanu, jak żelazny książę. Zakres działania francuskiego oraz austryackiego ministra był ściśle ograniczony dyplomatycznymi zabiegami i negocyacyami, a wewnętrzny rozwój państwa i administracyjna czynność rządu pozostały niezależnymi lub mało dostępnymi ich wpływowi. O Met-

ternichu krążyło przez pewien czas przysłowie, że Europą wprawdzie kierował, ale austryackie sprawy wewnętrzne rozwijały się niezależnie od niego. Talleyrand zaś w puszczach północno-amerykańskich nie nabrał zamiłowania do samorządu, a działalność jego polityczna za pierwszego cesarstwa i podczas Kongresu Wiedeńskiego, jedynie na polu spraw zagranicznych zbierała zasłużone wawrzyny.

Bismarck zaś pozostał w swej karyerze wiernym tradycyom pruskim i niewątpliwie przypomina, jako mąż stanu, najwięcej Hardenberga, który również przez długi czas z pomyślnym rezultatem kanclerzył Prusom i pozostawił pamiętniki, będące nieocenionem źródłem dla historyków XIX stulecia. Hardenberg jednak nietylko podczas pogromu Jenajskiego, podczas smutnej, prawie niewolniczej doby Prus i podczas Kongresu Wiedeńskiego zdobył sobie trwałe dyplomatyczne wawrzyny, ale wiekopomne administracyjne reformy z doby od 1807 — 1811 roku są chlubnie z jego nazwiskiem złączone. W pamiętnikach też Hardenberga spotykamy się z prawdziwem bogactwem nowych dokumentów, nowych oryginalnych spostrzeżeń i znieocenioną skarbnicą uwag politycznych, które dotyczą życia państwowego, zarówno zewnętrznego jak i wewnętrznego. Memoryał Hardenberga (Ranke. Hardenberg und die Leistung des preussischen Staates) pozostanie nieporównanym dokumentem politycznej mądrości. Tak głęboko, jak on, nie ocenił nikt ze współczesnych znaczenia i doniosłości rewolucyi francuskiej, a jego dewiza „republikanische Grundsätze in einer monarchischen Verfassung" przewodniczyła długo i z pożytkiem administracyi pruskiej.

Bismarck, zanim został kanclerzem-dyplomatą, przeszedł wyborną szkołę administracyi pruskiej, która, jak twierdził Wawrzyniec Stein, zastępowała Prusom niedostatek i brak organu reprezentacyjnego prawodawczego. Później, jako minister, pracować musiał wspólnie z sejmem, i wśród stronniczych prądów i namiętności jemu przypadła w udziale straż nad powagą i znaczeniem władzy królewskiej, która funkcyą prawodawczą podzieliła się z izbami. Z rewolucyjnych wichrzeń w Prusach w r. 1848 wyszedł monarcha zwycięzko, a i chwilowe lekceważenie tronu wypływało ze słabości charakteru Fryderyka Wilhelma IV, a nie z zanikania idei monarchicznej wśród ludności. Hohenzolerni, ufni w lojalność swych poddanych, mogli istotnie przez długi czas niedopuszczać karty konstytucyjnej, którą wyniośle zwali zbytecznym kawałkiem papieru, a to w tem przekonaniu, że jest ona niepotrzebną i że bez niej spełnią względem państwa, jako tradycyjni jego pierwsi słudzy, wszystkie obowiązki majestatu. Rok 1848 zrobił jednak swoje, i reprezentacya sejmowa wraz

z konstytucyą została Prusom wkrótce nadaną, chociaż nie nosiła piękna ulicznej zdobyczy.

Skierowywanie prądów stronniczych na właściwą drogę, zapobieganie, aby mniejszość opozycyjna nie teroryzowała większości i aby cała maszynerya reprezentacyjna mogła pożytecznie z rządem pracować, nie krępując go w każdej sprawie i na każdym kroku, wszystkie owe doniosłe i ważne zadania przypadły Bismarckowi w udziale. On pierwszy musiał z izbami cierpliwie i wytrwale pracować, i to w dobie, gdy marzycielski, a niepraktyczny liberalizm wielkiemi hasłami podbijał lub bałamucił przynajmniej niejeden trzeźwy umysł w Prusach. W pracy tej wspólnej, która czasami przemieniała się w otwartą parlamentarną walkę, zdobył książę Bismarck olbrzymie doświadczenie i z niego płynący oraz na nim oparty polityczny rozum. Dla niego nie było przedewszystkiem sprawy zewnętrznej lub wewnętrznej państwowej, którejby nie przeniknął do głębi, nie ocenił praktycznie i nie przedstawił jasno, zrozumiale. Najsubtelniejsza i najpodstępniejsza argumentacya opozycyi nie wywiodła go w pole, a krytyka, z którą występował przeciwko szumnej, choć czasami pustej frazeologii liberalno-demokratycznej, była wprost zabójczą swą nieubłaganą logiką.

Bismarck, wykształciwszy się w szkole administracyjnej, a potem parlamentarnej, nie mógł w pamiętnikach swych okazać się jednostronnym lub dyletantem. W każdym razie jednak istnieją poważne względy, które po jego wspomnieniach nie każą się spodziewać nadzwyczajności. Bismarck bowiem za życia swego wydawał nieustannie pamiętniki pod postacią mów sejmowych i parlamentarnych. Już sama objętość tego, co Bismarck, jako minister i kanclerz, wypowiedział lub napisał, jest imponującą (wydanie Hahna), a cóż dopiero mówić o politycznej treści, która, pominąwszy wypadki, gdzie namiętność przygłuszała wszelkie poczucie sprawiedliwości, zdaje się, że wypływała z greckiej krynicy Stagiryty. Pamiętniki więc Bismarcka, spisane w ostatnich latach wypoczynku i starczego żalu do młodego cesarza, należy uważać jedynie za uzupełnienie wielkiego i wspaniałego pamiętnika, który w mowach swych pozostawił. Niewątpliwie oczekiwać należy, że i uzupełnienie nosić będzie ślady i znamiona potężnego umysłu Bismarcka; i tą myślą powodowany postanowiłem przedstawić treść ich najważniejszą w możliwem skróceniu.

W roku 1832 Bismarck ukończył szkoły, jako panteista i prawie republikanin, bo w przekonaniu jego rzeczpospolita była najrozumniejszą formą państwową, i często zastanawiały go powody, które

skłaniały ludzi do poddawania się władzy jednego, gdy w rzeczywistości słyszał od dojrzałych mężów—często lekceważącą krytykę monarchy. Wystawiając szkołom i uniwersytetom niemieckim świadectwo szczepienia liberalnego, jeżeli nie demokratycznego ducha, Bismarck uspakaja czytelnika twierdzeniem, że wychowanie rodzinne tchnęło weń przywiązanie do monarchii pruskiej, które ostatecznie nad wszystkiemi innemi wzięło górę. Historyczne jego sympatye stanęły wcześnie po stronie powagi, i Brutus wydawał się przestępcą, a Tell rewolucyonistą i mordercą. Wstępując do życia uniwersyteckiego, przez poczucie niemieckie zmuszony był Bismarck do zetknięcia się ze stowarzyszeniami studenckiemi „Burschenschaftami", których specyalnym celem było piastowanie uczuć i świadomości ogólno-niemieckich. Przy bliższem poznaniu Bismarckowi-akademikowi nie podobały się zbytnio owe Burschenschafty. Miał on im wiele do zarzucenia pod względem prywatnym, zarówno jak i publicznym. Odmawianie satysfakcyi honorowej i brak dobrych form oraz przyzwoitego wychowania raziło pruskiego junkra, a mrzonki polityczne Burschenschaftów wydały się prędko Bismarckowi zwyczajną, zresztą dość płytką utopią.

Liberalizm, nabyty przez Bismarcka w uniwersytecie, zmniejszał się, a raczej wietrzał z każdą chwilą, i z młodocianych marzeń pozostał tylko dłużej i trwalej gniew, że Strasburg należy do Francyi, a widok, nie beczki Heidelberskiej, dla której żywił podziw, ale samego miasta i palatynatu usposabiał go dziwnie, mściwie i wojowniczo. Rozpoczynając służbę publiczną, jako auscultator sądowy, lub jako referendaryusz rządowy, Bismarck nie mógł przypuszczać, aby go czekała tak świetna karyera na drodze dyplomatycznej. Minister Ancillon bowiem szczególniej do junkrów wiejskich nie miał zaufania, twierdząc, że nie posiadają przymiotów, które są dla służby dyplomatycznej niezbędne. Sam Bismarck, choć niezupełnie, uznawał wszakże do pewnego stopnia słuszność poglądu Ancillona. Zazwyczaj bowiem cywilni dyplomaci pruscy nie posiadali wyrobionego poczucia służbistości i wyłamywali się z pod dyscypliny, którą przynajmniej wojskowi szanowali. O sobie powiada Bismarck, iż dzielił z szlachtą wiejską wszystkie jej przywary i błędy. Miał on zawsze zbyt wielką skłonność do krytykowania i zbytnią pewność siebie, iż wszystko wie lepiej od przełożonych. Nie był on również wolnym od ducha przekory i opozycyi, z czem się łączyła wielka drażliwość i nieustające prawie niezadowolenie.

Bismarck daje wyborną charakterystykę przeciętnego dyplomaty i wojskowego z czasów swojej młodości. Biegłe władanie języ-

kiem francuskim, jak twierdzi, było najbardziej pożądanem w dyplomacyi pruskiej. Bismarck znał wielu starszych ambasadorów, którzy, nie mając żadnego zmysłu do polityki, dzięki jedynie znajomości języka francuskiego doszli do swego wysokiego stanowiska, dosługując się od najniższego urzędu. Dla tego to właśnie obce nazwiska, jak np. Brassier, Perponcher, Savigny, Oriola, mogły liczyć na szybką karyerę w dyplomacyi pruskiej, gdyż od ich reprezentantów oczekiwano wybornej znajomości języka francuskiego. Oficerom pruskim wystawia Bismarck natomiast wyborne świadectwo, utrzymując, że przechodzili wówczas najlepszą szkołę w Europie. Szkoła ta jednak kształciła i wydawała zaledwie niższych oficerów aż do stopnia pułkownika. Na wyższych stanowiskach krew przyrodzona pruska nie okazywała już tych nadzwyczajnych uzdolnień, co za czasów Fryderyka Wielkiego. Najwybitniejsi pruscy wodzowie, jak np. Blücher, Gneisenau, Moltke, Goeben, nie byli pierwotnie Prusakami, zarówno jak Stein, Hardenberg, Motz, Grolman w służbie cywilnej; zdawało się też, że trzeba było zastosować do nich, jak do drzew, środek przesadzenia, ażeby przyrodzone ich zdolności doprowadzić do rozkwitu.

Mimo uprzedzeń Ancillona do szlachty wiejskiej Bismarck pragnął służbę rządową rozpocząć od dyplomacyi. Minister doradzał mu wszakże, ażeby wprzód złożył egzamin na asesora rządowego i potem z administracyi wewnętrznej przeszedł do wybranego przez siebie zawodu. Bismarck usłuchał rady Ancillona, i temu zawdzięczamy wyborną krytykę sądownictwa i administracyi pruskiej, jaka się w jego pamiętnikach znajduje. Przedewszystkiem Bismarck ocenił wybornie cały ówczesny personel administracyjny i przejrzał nawskroś wszystkie jego wady i zalety. Dostrzegł on, że z ujmą dla ustroju administracyjnego rozwija się coraz bardziej na podrzędnych stanowiskach biurokracya urzędnicza, która umiejętną działalność zastępuje bezpożyteczną pisaniną, wywołującą stosy akt i bezduszną reglamentacyę. Pracowitość kollegiów rządowych była tylko pozorną, załatwiały one mnóstwo drobnych szczegółów, pozostawiając główne cele administracyi na uboczu. Robiły one „*multa, non multum*", i francuski prefekt z nakładem daleko mniejszych sił byłby wstanie zdziałać daleko więcej dobrego. Co ważniejsza jednak, to, że Bismarck w ówczesnym samorządzie pruskim upatrywał wielkie wady i utrzymywał stanowczo, że jest on tylko zaostrzeniem biurokracyi, że przyczynia się do nadmiernego powiększenia urzędników, rozszerzenia ich władzy i wpływu na życie prywatne.

Po za tymi skąpo motywowanymi zarzutami przeciw samorządowi wymierzonymi, znajdują się jednak niezmiernie cenne spostrzeżenia Bismarcka, wskazujące, jak namiętności i walki stronnicze demoralizująco oddziaływają na instytucye samorządu lokalnego. Zwłaszcza drobniejsze miejscowe sądownictwo ulegać zwykło stronniczym prądom i oddala się często od niezbędnej bezstronności w większym stopniu, aniżeli władze administracyjne. Przytem Bismarck nie żywi wielkiej ufności do zasady kollegialności, czy to w niższem sądownictwie, czy to w administracyi. Kollegialność przedewszystkiem znosi odpowiedzialność osobistą, a na to miejsce zaprowadza rządy anonimowych większości. Praca w tych kollegialnych władzach znudziła się też szybko Bismarckowi i na wsi zachował jedynie poszanowanie i cześć dla stanowiska oficera landwery.

Ponieważ pomawiano Bismarcka niejednokrotnie o dążność zaprowadzenia szlacheckich rządów (Adelsregiment) i skryte poglądy, upatrujące ludzi zupełnych jedynie wśród grona junkrów, przeto w pamiętnikach czuje się Bismarck zniewolonym do poruszenia powyższej kwestyi, oświadczając bez ogródki, że urodzenia nie przyjmował nigdy wzamian za brak dzielności lub uzdolnienia. Jeżeli zaś starał się przyjść z pomocą i poparciem rządowem szlachcie, to nie dlatego bynajmniej, ażeby podnieść stan, do którego należał, lecz aby uchronić rolnictwo od upadku, w czem upatrywał niepomierną klęskę dla całego kraju. Ideałem jego była monarchiczna władza, kontrolowana przez niezależną stanową lub zawodową reprezentacyę. W idealnej monarchii Bismarcka ani władzca, ani parlament nie może jednostronnie zmienić istniejącego porządku prawa, mogą to uczynić jedynie wspólnie „communi consensu", oświecone przez jawną i publiczną krytykę zarówno w prasie, jak i w sejmie. Mimo to, Bismarck stanowczo zaprzecza, aby w r. 1813 Niemcy dla uzyskania konstytucyi podjęły walkę o niepodległość. Narodowi wystarczało to, że w kraju panował cudzoziemiec, ten jeden powód był dostatecznym do podjęcia walki, a po jej zwycięskiem zakończeniu naród bynajmniej nie zamierzał podawać rachunku królowi w postaci paragrafów konstytucyjnych za to, że się sam oswobodził.

Wspominając rok 1848, Bismarck zamieścił nie jeden ciekawy szczegół, oświetlający wybornie ową dobę odmętu, nietylko na ulicach miast niemieckich, ale i zamętu w umysłach doktrynerów i przywódców liberalizmu niemieckiego. Przedewszystkiem spotykamy Bismarcka w tymże roku, jak w Schönhausen, na czele własnych chłopów, gotów zbrojnie odeprzeć deputacyę miejskiej ludności, która chciała na wieży kościelnej zatknąć czarno-czerwono-złotą cho-

rągiew. Bismarck wywiesił białą chorągiew z czarnym krzyżem i, aby utrzymać powagę monarchicznej władzy wśród przywiązanych do Hohenzollernów włościan, wyciągnął z lamusów, bo prawdopodobnie zbrojowni nie miał, wszystkie rusznice i szturmaki, do polowania już niezdatne, i z tak zaimprowizowaną armią, godną XV, a najwyżej XVI wieku, stanął jako owa przysłowiowa skała bronzowa Hohenzollernów, przeciw wiejskim rebellantom. Stanowczość, energia w połączeniu z niezachwianą odwagą odniosły skutek niezawodny; napastnicze i wichrzące mieszczaństwo nie zjawiło się ani przysłało deputacyi, a organizator chłopskiej ruchawki mógł tylko boleć nad tem, że Opatrzność nie uposażyła tymi samymi przymiotami Fryderyka IV; oszczędziłoby to Prusom wiele krwi i upokorzenia.

Rok 1848 ukazał nam jeszcze Bismarcka w innym stroju i charakterze. Nieporządki w Berlinie i skrępowanie monarchy niewłaściwem otoczeniem i wpływami skłoniły Bismarcka do przedstawienia się osobistego królowi, któremu zresztą był znanym, jako wierny i pełen poświęcenia monarchista. Przybywszy do stolicy, Bismarck nietylko musiał głęboko ukryć swój rycerski rynsztunek, w którym mu było w Schönhausen do twarzy, ale uznał za bezpieczne i dogodne ogolić brodę i przystroić się w szeroki kapelusz z różnobarwną kokardą. Aby więc w monarchę swego tchnąć odrobinę silnej woli i stanowczości w postanowieniu, Bismarck nie wahał się z średniowiecznego przywódcy pospolitego ruszenia (Heerbann) przeistoczyć się w ulicznego, barykadowego demagoga i dzięki tym garderobianym metamorfozom oraz pomocy Bogusława Radziwiłła dostał się nareszcie do króla.

Rozmowy Bismarcka z Fryderykiem Wilhelmem IV, których otwarta szorstkość tak oburzała królowę, zbyt są znane z poprzednich źródeł, abym je miał powtarzać. Zaznaczę jedynie, że podczas zwołania drugiego zjednoczonego sejmu (vereinigter Landtag) Jerzy Vincke chciał pozyskać poparcie Bismarcka do skłonienia monarchy do abdykacyi. Podług planu, powziętego przez stronnictwo, do którego Vincke należał, regentką miała być późniejsza cesarzowa Augusta, a korona jej synowi Fryderykowi miała przypaść w udziale. Książę pruski, późniejszy cesarz Wilhelm I, jako tak zwany „Kartatschenprinz", nieprzezwyciężenie wstrętny rewolucyonistom, miał być od tronu stanowczo usuniętym, a co najważniejsza, że on sam, aby tylko króla wydobyć z niebezpieczeństwa, zgodził się na powyższą dynastyczną kombinacyę. Bismarck rozbił jednak w puch cały ów komplot stronniczy i zagroził, że w odpowiedzi nań zażąda wytoczenia procesu o zdradę stanu zuchwałemu i wichrzycielskiemu

stronnictwu. W pamiętnikach jednak przypomina sobie Bismarck ze wstrętem i zgrozą owe chwile, które przepędził w niezwykłym rozstroju nerwowym.

Sąd Bismarcka o Fryderyku Wilhelmie IV jest bardzo pobłażliwym i wyrozumiałym. W miękkości woli i słabości charakteru królewskiego upatruje on główną przyczynę wszelkiego złego, ale owo zło potęgowane było przez niepowołane, a może nawet zdradzieckie rady. Skutkiem tych rad oraz łez niewieścich, które nań wrażenie czyniły, pozwolił on niejednokrotnie wymknąć się zwycięstwu, wypuścił i stracił bezpowrotnie niejedną szczęśliwą sposobność i naraził politykę pruską na wiele dotkliwych upokorzeń. Bismarck jednak zadowolonym się czuje z ostatecznego rezultatu, i to na podstawie ważnych racyi stanu. Gdyby monarcha w walce ulicznej i domowej przyśpieszył dzieło zjednoczenia Niemiec, nie byłoby ono tak gruntownie i szlachetnie zahartowane, jak później na polu bitew w 1866 i 1870 r. Lepiej, że Niemcy od 1848 roku czekali, jak żydzi na swą ziemią obiecaną. Wojny następne były i tak nie do nieuniknięcia, a w 1870 roku książęta rzeszy mogli się więcej oswoić z ideą jedności państwowej. Ostatecznie i to w końcu nadmienić należy, że wspomnienia Bismarcka, odnoszące się do 1848 r., zawarły bardzo interesujący materyał odnośnie do charakterystyki wybitnych mężów stanu i wojny. Trudno się wprawdzie uwolnić od podejrzenia, czy Bismarck bezstronnie i sprawiedliwie rozdzielił między stronnictwami światła i cienie, ale w każdym razie przyznać trzeba, że umiał po mistrzowsku ukoić wszelkie namiętne rozdrażnienie i sąd swój o ludziach i sprawach przyoblekł w łudzące pozory przedmiotowości.

W roku 1851 zjawił się Bismarck po raz pierwszy we Frankfurcie, jako poseł rządu pruskiego, a więc w służbie dyplomatycznej. Pierwsza zachęta do wstąpienia na tę drogę, która z czasem miała uwić Bismarckowi tak wspaniały wieniec wawrzynowy, wyszła od samego króla. Gdy w uniformie dyplomaty zaprezentował się Bismarck po raz pierwszy monarsze, tenże rzekł do niego: Musisz Pan mieć wiele odwagi, jeżeli tak bez wielkiego namysłu zdecydowałeś się objąć obce i nieznane sobie stanowisko. Bismarck, nie stropiony tem bynajmniej, odpowiedział: Odwaga jest po Twojej stronie, Naj. Panie, ponieważ mi urząd powierzasz. Zresztą W. K. Mość nie jest bynajmniej obowiązaną utrzymać nominacyi, jeżeli się ona okaże niewłaściwą. Ja sam nie mam żadnej pewności, czy zadanie, które podjąłem, nie przewyższa mych sił i zdolności, ale jeżeli się okaże, że nie dorosłem do zajmowanego stanowiska, pierwszy poproszę o uwol-

nienie. Mam odwagę słuchać, jeżeli ją posiadasz, N. Panie, aby rozkazywać. Na co król odrzekł: w takim razie możemy spróbować.

Z mów parlamentarnych, a jeszcze więcej z listów, wydrukowanych w ogólnych wydawnictwach, przekonywamy się, że Bismarck na dyplomatycznem stanowisku nudził się okropnie, szukając rozrywki w polowaniu; w pamiętnikach swych wyznaje, że oddawał się namiętnie pląsom, ponieważ we Frankfurcie tańczył cały świat a nawet 65 letni margrabia Tallenay, francuski ambasador. Namiętność do tańca przeniósł z sobą Bismarck do Berlina, nie opuściła go ona nawet, gdy został ministrem, i z tego to powodu musiał znieść sarkastyczny przytyk monarchy, który pewnego razu rzekł do Bismarcka: Czyniono mi zarzut. iż wybrałem sobie lekkomyślnego ministra; tańcując, nie stwierdzaj Pan tych pozorów. W następstwie rozkazano księżniczkom krwi, aby Bismarcka do tańca nie wybierały, a on sam świadczy, że zapał taneczny, jaki stale objawiał Keudell, był nie małą przeszkodą przy jego awansach. Późniejszy bowiem cesarz Wilhelm I stanowczo nie lubił lekceważenia form i utartych zwyczajów. Zdaniem jego, tańcujący mąż stanu jedynie w honorowym kadrylu z księżniczkami krwi mógł być znośnym; jeżeli się jednak puszczał w szybkiego walca, zmniejszało się zaufanie królewskie do mądrości jego rad.

Podczas wojny Krymskiej Bismarck nie zaniedbał radzić królowi, aby energicznem postępowaniem zapewnił Prusom poważne w Niemczech i w Europie stanowisko. Okoliczności polityczne nadawały się po temu w wysokim stopniu, i jedynie trzeba było powziąć stanowczą decyzyę zmobilizowania 100,000 wojska. Położenie Francyi i Austryi było wówczas bardzo skrępowanem, a Rossya musiała w Królestwie Polskiem utrzymywać blisko 200,000 armię, która w Krymie mogłaby zdecydować losy kampanii. W dyplomacyi ówczesnej powstawały plany wskrzeszenia Polski pod patronatem Austryi, a Prusy zbrojne mogłyby łatwo, popierając jedną ze stron wojujących, zapewnić sobie przewagę, osiągając przytem niepospolite korzyści. Więc, że z tych szybko przemijających okoliczności nie skorzystano, składa Bismarck winę głównie na króla, który na wszystkie motywa i natarczywe namowy odpowiadał mu w gwarze berlińskiej z dobrotliwym uśmiechem: podobne gwałtowne zamachy może wykonywać mąż w rodzaju Napoleona, ale nie ja.

Wówczas już Bismarck nazywał politykę Bethmann-Holweggowego stronnictwa marzycielską i piętnował ją znamieniem utopii. Podług tej polityki miały w pierwszym rzędzie Prusy dopomódz do rozćwiartowania Rossyi i zepchnięcia tego pierwszorzędnego mocar-

stwa do politycznej nicości. Prowincye nadbałtyckie łącznie z Petersburgiem miały przypaść w udziale Prusom i Szwecyi, dawna Rzeczpospolita polska miała być wskrzeszoną w pierwotnych granicach. Dziecinna ta utopia uważała naród 60-milionowy za „caput mortuum", które do woli i syta można było znieważać i unicestwiać; ale co najważniejsza, że Prusy miały się głównie przyczynić do zmiażdżenia wiernego swego sprzymierzeńca, nie stwarzając na to miejsce nic, coby ją zabezpieczyło od nieprzyjaciół, a przedewszystkiem od Francyi. Ponieważ pokojowe załatwienie sprawy polskiej w prowincyi pruskiej, poznańskiej i szląskiej wzruszyłoby w posadach Królestwo Pruskie, przeto plany okrojenia Rossyi a wskrzeszenia Polski należały do tworów chorobliwej fantazyi, które z polityką, posługującą się zdrowemi zmysłami, nie miały nic do czynienia.

Tymczasem w liberalnym obozie dziecinne owe utopie uczepiły się nawet świetlejszych umysłów, a Bunsen w 1854 r. był do tego stopnia nieostrożnym, że przysłał ministrowi Manteufflowi obszerny memoryał, domagający się odbudowania Polski, rozszerzenia austryackiego władztwa aż do Krymu i zmian dynastycznych w Saksonii. Królowi nieroztropność i nieostrożność Bunsena stała się nieznośną; kazał on udzielić mu nieograniczony urlop, równający się dymisyi, ale długo ścigała go za to nieubłagana i zjadliwa krytyka, która niepowodzenie śmiertelnych zamiarów przeciw Rossyi przypisywała ruskiej intrydze. Utopie antirusskie tem dłużej kołatały się na dworze pruskim, że późniejsza cesarzowa Augusta czuła się nieprzychylnie usposobioną dla Rossyi, a serce ciągnęło ją mimowoli do Anglii. Bismarck jednak zapobiegł temu, aby pruska polityka nie stała się mglistą i uczuciową. Potrafił on późniejszemu cesarzowi wytłómaczyć, jak niepolitycznem i pozbawionem wszelkich słusznych motywów byłoby wystąpienie zbrojne Prus przeciw Rossyi, a jak niebezpiecznem byłoby wszelkie poruszenie sprawy polskiej w Prusach. Znając usposobienie drażliwe księcia pruskiego, Bismarck nie zaniedbał wyzyskać jego słabostek i zdruzgotać sympatyi angielskich Augusty; oświadczył on bowiem otwarcie księciu, że Prusy, wydając wojnę Rossyi, przyjęłyby niepotrzebnie rolę indyjskich wasalów, którzy niewolniczo muszą życie nieść w ofierze dla dobra i sławy Anglii. Usłyszawszy podobne słowa, zaperzony książe odrzekł: nie ma tu wcale mowy o żadnych wasalach albo jakiejkolwiek trwodze. Odtąd angielski wpływ przestał Bismarckowi przez czas jakiś urządzać niespodzianki.

Dokuczliwe ciernie, jakie cesarzowa Augusta słała Bismarckowi niestrudzenie na dyplomatycznej drodze, odbiły się w jego pamiętnikach należycie. Spotykamy się z temi wspomnieniami w ustępie, zatytułowanym „Sansouci und Coblentz". Bismarck zaznacza przedewszystkiem, że mimo to, iż na dworze Wejmarskim oddychano wyłącznie atmosferą, jaką stworzyli Schiller i Goethe, to jednakże dawał się uczuwać wszystkim alpejski ciężar, gniotący bezlitośnie uczucia i dusze niemieckie. Dla Augusty pozostał Francuz, a nawet Anglik czemś subtelniejszem cywilizacyjnie od Niemca, a zapatrywanie powyższe, panujące w Wejmarze przed 70 laty, dawało się uczuć następnie Bismarckowi, sprowadzając mu różne kłopoty. Podczas wojny Krymskiej Augusta pokonywała swą niechęć i wybierała russkich dyplomatów do tańca albo do rozmowy. Z tem wszystkiem owa niechęć była niezaprzeczoną i nierozstawała się z nią Augusta, będąc cesarzową. Uczucie powyższe nazywa Bismarck niewytłómaczonem psychologicznie i przypuszcza, że było ono następstwem idyosynkrazyi, jaką w niej wywoływała potężna postać Cesarza Mikołaja.

Książę Wilhelm pruski miał zwyczaj, który i, jako cesarz, zachował, że podczas śniadania małżonka składała mu sprawozdanie z bieżących listów i artykułów gazeciarskich. Nie ulega wątpliwości, że Schleinitz miał obowiązek i zadanie dostarczania Auguście pewnych listów i artykułów, gdy ta chciała na ukartowaną kwestyę zwrcić uwagę swego małżonka i odpowiednio ją oświetlić. Bismarck wypowiedział księciu swe podejrzenia i wywołał ze strony małżonka uroczyste zapewnienie, że jego przypuszczenie jest bezzasadnem. Książę Wilhelm wiedział dobrze o owych podstępach niewieścich, ale wobec osób trzecich, bez względu na ich pozycyę, nie chciał zdradzać politykomanii, której jego małżonka ulegała. Z francusko-angielskimi sympatyami łączyła cesarzowa Augusta od młodości wielkie poszanowanie dla katolicyzmu. Biskup katolicki wydawał się jej zazwyczaj więcej czcigodną postacią, aniżeli protestancki superintendent, a sprawy katolickie, zwłaszcza w prowincyach nadreńskich, miały w niej zawsze gorącą popleczniczkę. W otoczeniu dworskiem chętnie widziała katolików, a nawet lubiła, aby jej dobierano służbę powyższego wyznania. Nic też dziwnego, że ludność katolicka okazywała jej przy każdej sposobności dużo przywiązania i czci, czego się współmałżonek nigdy nie doczekał.

Ciekawemi są uwagi, które na początku ery konstytucyjnej w Prusach Bismarck zakomunikował swemu monarsze. Dotyczyły one ustroju zasadniczego izby panów, którą opinia publiczna uważała

za nieudolną podporę królewskiej władzy i za proste zdwojenie (doublure) jej wpływu i powagi. Bismarck starał się wpłynąć na króla, aby tenże oparł ustrój pierwszej izby na żywiole wyborczym, któryby uzupełniał dziedzicznych panów. Korporacyę wyborczą najliczniejszą mieli zawsze stanowić posiadacze majątków rycerskich, których było około 13,000; do nich miały się przyłączyć magistraty znaczniejszych miast i grupa najwięcej opodatkowanych, która własności ziemskiej nie posiadała. Część wybieralna izby panów, zdaniem Bismarcka, winna zarówno, jak i izba poselska, odnawiać się w okresie wyborczym i ulegać rozwiązaniu na równi z izbą drugą. Jakkolwiek pomysły swoje motywował Bismarck potrzebą wzmocnienia monarchizmu, król jednak odrzucił je szorstko, i Bismarck stracił nadzieję, aby kiedykolwiek mógł dla nich pozyskać uznanie królewskie.

W lecie roku 1855 odwiedził Bismarck Paryż, będąc zaproszonym przez ambasadora pruskiego, hr. Hatzfelda, w celu obejrzenia wystawy. Politykę i spostrzeżenia głębszej natury pozostawił jednak Bismarck na uboczu, opowiadając zaledwie o niedostatecznem urządzeniu przyjęć dworskich w Wersalu. Dopiero później, gdy powrócił do Berlina, opowiadał Królowi swój pogląd na Napoleona III, który wywołał nawet scenę humorystyczną. Na zapytanie bowiem królewskie, wypowiedziane w tonie ironicznym, Bismarck odpowiedział, że Ludwik Napoleon wydaje się mu być zręcznym i dobrodusznym człowiekiem, ale że tak mądrym nie jest, jakim go świat sądzi, który jemu przypisuje wszystko, co się tylko stanie. Nawet, jeżeli w Azyi Wschodniej deszcze upadną, mają być tego powodem machinacye cesarza, który powszechnie jest uważanym za geniusz złego, pragnący światu najwięcej sprawić odmętu i szkody. Zdaniem Bismarcka Napoleon bardzo jest zadowolony, jeżeli może spożyć coś dobrego w spokoju, i wogóle przyzwyczajono się przeceniać jego rozum z krzywdą serca, albowiem w gruncie rzeczy jest on na wskroś dobrotliwym i posiada rzadką cnotę, bo umie być szczerze wdzięcznym za każdą wyrządzoną przysługę.

Gdy Bismarck wynurzał się przed królem, tenże śmiał się w sposób, który go dotknął niemile. Odważył się więc zapytać, czy J. K. Mość pozwoli mu odgadnąć powód śmiechu, a gdy monarcha zezwolił, rzekł Bismarck, co następuje: generał Canitz zwykł był młodym oficerom w Akademii wojskowej opowiadać rzecz o kampaniach Napoleona. Jeden z pilnych słuchaczy zapytał go, dlaczego Napoleon mógł taki a taki manewr pominąć, na co Canitz odpowiedział: widzisz pan, ten Napoleon był rdzennie poczciwym chłopem,

ależ był głupim, głupim—na co wszyscy słuchacze wybuchnęli homerycznym śmiechem. Otóż obawiam się, czy myśli W. K. Mości o mnie nie są podobne do tych, które Canitz żywił o Napoleonie! Na to król śmiejąc się znowu odrzekł: za mało znam Napoleona, aby ocenić należycie, czy jego serce jest lepszem od głowy, możesz więc mieć racyę; ale Bismarck dodaje, że jego pogląd na cesarza Francuzów jeszcze bardziej nie podobał się Auguście.

W listach, do Gerlacha pisanych, wyraził Bismarck oryginalny i ciekawy pogląd na rewolucyę francuzką i na Bonapartych. Jeżeli jednak w memoryale Hardenberga znajdujemy podobne refleksye, wywołane skłonnością do teoretycznych zaciekań się, to Bismarcka polityczne rozmyślania spowodowane zostały kwestyą żywotną i praktyczną. Bismarck był przygotowanym do zbliżenia się z Napoleonem, gdy tymczasem opinia publiczna i podejrzliwość książąt niemieckich stały temu na przeszkodzie, przedstawiając Napoleona III zarówno, jak i pierwszego, jako wcielenie rewolucyi we wszystkich kierunkach. Bismarck zaprzeczał temu, ażeby w rewolucyi francuskiej lub w Bonapartych tkwiło coś szczególnego, z czego możnaby zrobić jakieś dziwne straszydło dla Europy. Że majestat Bonapartych nie miał świetnego dynastycznego blasku, w tem nie należy upatrywać nic nadzwyczajnego: to samo dzieje się w Szwecyi, a jednak żadna z niepożądanych konsekwencyi dotąd się nie ujawniła. Cóż wreszcie w tej rodzinie jest tak szczególnego? Bonaparci nie stworzyli przecież rewolucyi, i z ich wytępieniem doszczętnem nie byłaby rewolucya ze świata usunięta. Rewolucya jest daleko starszą od Bonapartych, a podstawy jej daleko są szersze, ażeby je jedna Francya ogarnąć była w stanie. Gdybyśmy ziemskie początki rewolucyi wyśledzić chcieli, kto wie, czybyśmy się do Anglii nie musieli udać albo do Niemiec lub Rzymu i nie wertować troskliwie historyi reformacyi.

Zdaniem Bismarcka, dynastya Bourbonów przyczyniła się więcej do rewolucyi, niżeli wszyscy Bonaparci razem, choćbyśmy do tego domu nie zaliczali Filipa Égalité z jego awanturniczą przeszłością. Bonapartyzm nie jest wcale ojcem rewolucyi, on był tylko, jak każdy zresztą absolutyzm, żyznem polem dla jej zasiewów. Zaborcze wojny nie były też wyłącznym przymiotem Bonapartych. Prawowici dziedzice starych koron, jak np. Ludwik XIV, potrafili w Niemczech równie barbarzyńsko gospodarować, jak Napoleon I. Dążność do zdobywania ujawniała się w Anglii, Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, Rossyi zarówno, jak i we Francyi. Jak się tylko dogodna okoliczność zdarzyła, korzystali z niej zarówno dziedziczni

monarchowie, jak i uzurpatorzy w rodzaju Bonapartych. Napoleon III nie jest bynajmniej niewolnikiem instynktów zdobywczych. Czuje on, iż nie jest wodzem i że wielkie wojny mogłyby łatwo zwrócić uwagę armii na szczęśliwego generała z pominięciem cesarza. Tylko więc wewnętrzne niebezpieczeństwa i niepokoje mogą skłonić Napoleona do podjęcia walki, a w tem samem położeniu znaleźliby się obecnie i prawowici monarchowie Francyi. Wreszcie Bonapartystowskie rządy wewnętrzne ze swą surową centralizacyą, niweczącą wszelką samodzielność, ze swem nieposzanowaniem prawa i swobody, ze swem oficyalnem kłamstwem, swą korrupcyą w państwie i na giełdzie, swymi uniżonymi i pozbawionymi sumienia pismakami nie są bynajmniej unikatem w Europie. Kwitną one bowiem i rozwijają się w Austryi, z tą jedynie różnicą, że Napoleon zastał je we Francyi, jako produkt historyi, niemożliwy do zmienienia, gdy tymczasem w Austryi powoływane były do życia z własnej woli i przeświadczenia. Tym wszystkim też, którzy Bismarcka odstraszali od Napoleona twierdzeniem, że Francya nigdy nic nie zrobi dla Prus, odpowiadał on treściwie a trzeźwo, że ani Austrya, ani niemieckie państwa, ani nikt wreszcie nie uczyni nic zgoła dla Prus, jeżeli w tem nie ujrzy interesu i korzyści własnej. Postępowanie zaś Austryi jest zniechęcające do tego stopnia, iż wszelka wspólność w polityce nie jest możliwą bez radykalnych wewnętrznych reform.

W roku 1857 udał się Bismarck do Paryża, gdzie brał udział w konferencyach, które miały załagodzić spór, między Szwajcaryą a Prusami wynikły. Konferencye dały mu sposobność zbliżenia się do Napoleona III i prowadzenia z nim bardzo interesujących politycznych rozmów. Zdaniem Bismarcka, Napoleon zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństw, jakiemi groziła Francyi szczęśliwie nawet zdobyta granica Renu. Mniemał on, że linia ta stanowi „un dépôt que l'Europe coalisée un jour viendra reprendre", gdyby się Francyi dostała i jedynie dla zaspokojenia dumy starodawnej, pragnął une petite rectification des frontières, chociaż nawet i bez niej może czuć się zadowolonym. Ząctąwszy raz od wynurzeń, Napoleon wyspowiadał się przed Bismarckiem i z tego, że nie myśli morza Śródziemnego zamienić we francuskie jezioro „mais à peu près". Francuzi, dodaje Bismarck, nie są żeglarzami z natury, ale za to wybornymi żołnierzami lądowymi; wszelkie zatem powodzenie na morzu schlebia im niepomiernie. Temu to uznaniu przypisać należy fakt, że dopomogli do zniszczenia floty rossyjskiej na morzu Czarnem,

bo obawiali się, że Rossya, posiadająca w Grekach wyborny materyał marynarski, może współzawodniczyć z nimi na morzu Śródziemnem.

Ciekawym jest opis ostatnich chwil Fryderyka Wilhelma IV, zamieszczony w pamiętnikach Bismarcka. Utrzymuje on, że ostatni atak apoplektyczny, po którym świadomość umysłowa królowi nie wróciła, nastąpił skutkiem podróży wspólnej z cesarzem Aleksandrem II, który lubił dużo palić, gdy tymczasem monarcha pruski nie znosił zapachu tytuniu. W chwili zasłabnięcia króla przewidywano możność zmiany rządów, i książę Wilhelm wezwał Bismarcka, aby z nim rozważyć tę okoliczność, czy, w razie wstąpienia na tron, ma przyjąć bez zastrzeżeń konstytucyę, czy też poddać ją uprzedniej rewizyi. Bismarcka zdaniem, możnaby tylko w takim razie odrzucić konstytucyę, gdyby prawo lenne miało zastosowanie. Podług zasad tego prawa bowiem dziedzic winien się stosować do rozporządzeń ojca, ale nie brata. Względy polityki przemawiają jednak za nieporuszaniem powyższej sprawy i nie pozwalają nawet warunkowem odrzuceniem konstytucyi powiększać niepewności, w jakiem się państwo znajduje. Nie należy w żadnym razie wywoływać obawy, że każda zmiana tronu wywoła zmianę systemu rządzenia. Wszelkie nieporozumienie między koroną a sejmem zmniejszyłoby znacznie powagę i znaczenie Prus zagranicą, nie mówiąc już o tem, że całe liberalne stronnictwo w Niemczech zwróciłoby się przeciw monarchii pruskiej. Wkrótce potem rząd zwrócił się do Bismarcka z zapytaniem, czy nie dałoby się dłużej sterować nawą państwową z podpisem królowej, na co późniejszy kanclerz odpowiedział szorstko, iż nigdy nie był zwolennikiem rządów haremowych.

Z epoki parlamentarnego konfliktu pozwolę sobie zwrócić uwagę na list króla Wilhelma do Vinckego, który zamieszczony został w pamiętnikach Bismarcka. List to bardzo charakterystyczny, doniosły, który przekonywa o zapatrywaniach monarszych na konstytucyę oraz na dojrzałość polityczną pruskiego ludu. „Powiadasz Pan — pisze w owym liście król Wilhelm — że naród (Volk) domaga się wykonania § 99 konstytucyi. Chciałbym wiedzieć, ilu to ludzi w tym narodzie wie o istnieniu § 99, a ilu słyszało, jak go wymieniano. Dla rządu jest ta sprawa wszakże obojętną, ponieważ § 99 istnieje i powinien być wprowadzonym w życie. Kto jednak uniemożliwił wykonanie powyższego paragrafu? Czyż nie uczyniłem koncesyi, modyfikujących niestety budżet militarny? Czyż nie oczyniłem innych koncesyi, ażeby izbom okazać gotowość do porozumienia się i zgody? Izba poselska odpowiedziała na te wszystkie uprzejmości, nic nie czyniąc, przez co uniemożebniła wszelkie rządy.

Kto taki robi użytek z przysługującego mu prawa, kto budżet redukuje w ten sposób, że wszystko w państwie przestaje istnieć, ten powinien być odesłanym do domu waryatów. Gdzież to jest napisanem w konstytucyi, że tylko rząd powinien robić ustępstwa, a izba poselska nigdy.. Ponieważ zaś posłowie użyli tego prawa na zniszczenie armii i kraju, przeto musiałem uzupełnić owo „nic" i, jako dobry ojciec rodziny, prowadzić dalej cały dom, aby zdać później z gospodarstwa rachunek. Nie ja więc uniemożliwiłem wykonanie § 99 konstytucyi". Z listu powyższego przebija niezmierna dojrzałość polityczna pruskiego króla i jego trafny i trzeźwy pogląd na prawa konstytucyjne, z których nie należy wyprowadzać konsekwencyi logicznych, stwarzających konflikty i waśnie, ale których najwyższym celem jest zgoda korony z reprezentacyą—owa concordia, za pomocą której i małe rzeczy wzrastają.

Wspominając konwencyę Alvenslebena, poświęca Bismarck uwagę polsko-rossyjskim stosunkom w r. 1862—1863. Gabinet pruski musiał w tej dobie stać na czatach i mieć czujne oko i ucho, aby w Petersburgu nie ogarnęła sfer rządowych myśl zbratania się z Polakami, która objawiła się już wśród inteligencyi w 1862 roku. Bismarck stwierdza, że dążność zbratania się z Polakami szczerzej i lojalniej była pojętą przez społeczeństwo rossyjskie. Z Polaków zaś nie było ani jednego, któryby pragnął owego zbliżenia się bratniego. Wszyscy oni uważali ówczesny prąd za taktyczną ewolucyę, mającą na celu omamienie Rosyan do czasu, gdy się to okaże właściwem i pożytecznem. Szlachta polska jednak łącznie z duchowieństwem okazywała nieprzezwyciężony wstręt do wszelkiego bratania się z Rossyanami, zarówno, jak i z Niemcami. Jeżeli Polacy okazywali więcej nieufności i niechęci do Niemców, niż do Rossyan, to, zdaniem Bismarcka, należy ten objaw tłómaczyć tem, że żywili do Niemców wstręt, jako do obcej rasy, i tem przekonaniem, że w pożyciu wspólnem Polacy będą mogli wywierać wpływ przeważny na Rossyan, czegoby się od Niemców nie doczekali.

Bardzo interesującemi są wzmianki Bismarcka o rozmowach, jakie jeszcze przed 1863 rokiem prowadził z cesarzem Aleksandrem II i z księciem Gorczakowem. Z rozmów tych doszedł Bismarck do przypuszczenia, że cesarz Aleksander II skłoniłby się chętnie do pozbycia Królestwa Polskiego po granicę Wisły z wyjątkiem wszakże Warszawy, która potrzebną mu była, jako przyczółek mostowy i garnizon dla wojska. Cesarz Aleksander uważał Królestwo Polskie za źródło niepokojów i niebezpieczeństw dla Rosyi, gdy tymczasem daleko lepiej i bezpieczniej załatwiliby się z kwestyą germa-

nizacyi Prusacy, mając po temu odpowiednie i niezawodne środki. Trudno zadać kłam prawdziwości owych rozmów, ale pozwolę sobie wyrazić przynajmniej niejakie w tym względzie wątpliwości. Pomysł odstąpienia Królestwa Polskiego po Wisłę Prusakom owładnął chwilowo umysłem cesarza Mikołaja I, gdy gniew z powodu powstania w 1831 roku nie pozwolił mu jasno widzieć politycznych korzyści Rossyi. Że owe zachcianki Monarchy rossyjskiego trwały niedługo i rozwiały się pod wpływem rozumnych rad ks. Paskiewicza, o tem wiemy z korrespondencyi, jaka się między nimi toczyła i którą niedawno opublikowano. Mało jest jednak prawdopodobieństwa w tem, aby cesarz Aleksander II przed rokiem 1863 podejmował znowu niefortunną i chwilową myśl, porzuconą przez rodzica. Całe postępowanie ówczesne cesarza, nacechowane wyrozumiałością i dobrotliwością, pozwala przypuszczać, że, jeżeli podobne rozmowy istotnie miały miejsce, to były prowadzone w celu wypróbowania pożądliwości pruskiej i uwolnienia się od podejrzliwości i wywiadowczej podchwytliwej taktyki, której się ambasador pruski zwykł trzymać. System reform, zastosowany w 1862 r. w Królestwie Polskiem, a powiększający znakomicie samorząd kraju, przekonywa zupełnie, iż cesarz Aleksander II nie mógł się nosić z myślą, przypisywaną mu przez Bismarcka. Należy raczej owe opowieści, w pamiętnikach zawarte, uważać za mistyfikacyę samego kanclerza, który nią chciał usprawiedliwić swą namiętną, a nieubłaganą walkę wytępienia, z jaką zawsze i wszędzie występował przeciw Polakom.

Bismarck wyjaśnia nawet powody swej zawziętości i uporczywości w powyższej walce, przekonywając, że dyktowaną była pruskiej polityce z nieodzowną koniecznością. Cesarstwo austryackie znajdowało się pod tym względem w daleko lepszem położeniu królestwo pruskie jednak dążenia polskiej ludności prowincyi wschodnich i zachodnich Prus narażały na poważne niebezpieczeństwa. Nasze położenie geograficzne, powiada Bismarck, przytem pomieszanie obu narodowości we wschodnich prowincyach łącznie ze Szląskiem nakazywały nam, o ile możności, stłumiać kwestyę polską w 1863 r. Gdy ta kwestya przez Rosyę wprowadzoną została na porządek dzienny, naszem zadaniem było dawać pilne baczenie, aby nie przybrała ona zbyt dużych rozmiarów, a w dogodnej chwili usuniętą została z widowni. Rozjaśnia się też Bismarckowi oblicze, gdy w lutym 1863 r. zawartą została przez Alvenslebena konwencya z rządem rosyjskim. Uważa on ją za stanowcze zwycięstwo nad żywiołem, sympatyzującym z Polakami w rządzie rosyjskim, i ocenia wysoko jej doniosłość dyplomatyczną. Zwie ją też udanem posunięciem szachowem, któ-

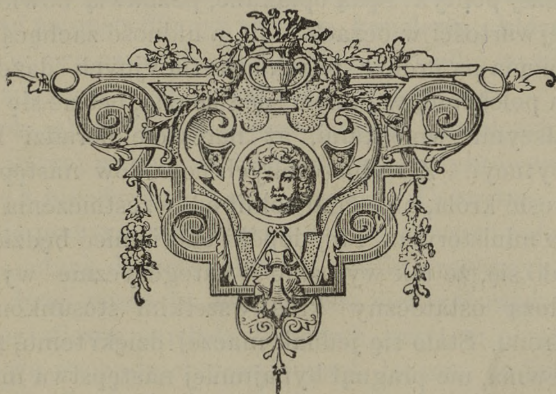
re rozstrzygnęło całą partyę. Rzecz o Polakach i 1863 r. wypełnia Bismarck ciekawymi szczegółami o oryginalności w postępowaniu Gorczakowa i o zachowaniu się wielu wybitnych ówczesnych osobistości. Zgodnie jednak z myślą przewodnią, która wszędzie występuje nieubłagana, jak fatum, głoszoną, jest bez przerwy potrzeba i konieczność zagłady polskiej gwoli spokojowi i powodzeniu Prus—jednem słowem Bismarck uporczywie powtarza starożytne — delenda est Carthago.

Bismarck upewnia, że wszelkie wieści, które puszczano w obieg o trwałych nieporozumieniach między nim a ówczesnym następcą tronu, były zupełnie mylnemi. Istniało tylko chwilowe przemijające oziębienie stosunków, wywołane podróżą księcia Fryderyka do Gdańska w maju 1863. Następca tronu w odpowiedzi do nadburmistrza miasta zaznaczył zbyt wyraźnie i dobitnie, iż w obmyśleniu i doradzeniu środków, które wywołały rozdrażnienie między koroną a narodem, nie brał żadnego udziału, a nawet ze smutkiem niedawno się o nich dowiedział. Do Bismarcka zaś napisał książę Fryderyk list z gorzkiemi wymówkami, w którym potępia surowo całą jego politykę. Zwie on ją pozbawioną dobrej woli i szacunku dla ludu, a opartą na bardzo wątpliwym wykładzie konstytucyi. Następstwa powyższej polityki będą opłakane, pozbawią bowiem konstytucyę wszelkiej wartości w oczach ludu, a ludność zachęcą do szukania zadośćuczynienia na drodze pozakonstytucyjnych dążeń. Ministeryum w tem położeniu, w jakiem się znalazło, będzie się ratowało coraz zuchwalszymi wnioskami, aż nareszcie doradzi królowi złamanie konstytucyi. Z wyłuszczonych powodów następca tronu nie omieszka prosić króla, aby go uwolnił od uczestniczenia na posiedzeniach owego ministeryum, i to, dopóki ono istnieć będzie.

Zdawało się, że tak wyraźnie i kategorycznie wypowiedziane zarzuty położą ostateczny kres wszelkim stosunkom Bismarcka z następcą tronu. Stało się jednak inaczej dzięki temu, że Bismarck, jak nas zapewnia, nie pragnął bynajmniej następstwa ministeryalnego na wzór następstwa tronu. Drogę do porozumienia utorowało polecenie królewskie, aby Bismarck nakłonił księcia Fryderyka do bywania na radach ministeryalnych, albowiem tylko w ten sposób może on zdobyć doświadczenie i dojrzałość polityczną. Kanclerz musiał się zatem zdecydować na krok nieprzyjemny i zapytał następcę tronu, dlaczego tak uporczywie stroni od posiedzeń ministeryalnych, kiedy przecież niezadługo może ten rząd stać się jego własnym, w którym, jeżeli będzie uważał za stosowne, może przeprowadzić inne zasady. Nawet w tym celu udział w rządzie przyda mu się więcej, niż stanowisko opozycyjne, będzie mógł bowiem dokładnie

obmyśleć środki przygotowawcze, tymczasowe. Książę Fryderyk odpowiedział zrazu niezbyt zachęcająco, w przekonaniu, iż Bismarck pragnie utorować drogę dalszemu swemu rządzeniu, ale kanclerz wytrzymał z zimną krwią wyniosłe zachowanie się i ostre spojrzenie księcia, perswadując w dalszym ciągu z wymuszoną flegmą, że do rozmowy powyższej spowodowało go przywiązanie dynastyczne i chęć zbliżenia go z ojcem, czego bezwarunkowo dobro kraju wymaga. Bismarck już wcześniej czynił wszelkie wysilenia, aby ów chłód między ojcem a synem usunąć i aby króla skłonić do tego, by nie działał ab irato. Zresztą Bismarck upewniał księcia, że był zawsze przywiązanym sługą jego ojca i życzy mu, aby posiadał równie przywiązanych do siebie ministrów. Wreszcie zapewniał go, iż za nowego panowania nie będzie ministrem, czem rozbroił zupełnie następcę tronu, zyskując jego przychylność, a nawet szczere uznanie

(*Dok. nast.*) *A. Rembowski.*



Z podróży po Tybecie.



(A. Henryk Savage Landor: „Auf verbotenen Wegen". Lipsk, Brockhaus 1898).

Imiona genialnych wynalazców, sławnych odkrywców i śmiałych podróżników zapisuje zazwyczaj ludzkość złotemi zgłoskami na kartach dziejowych swej cywilizacyi. Jest to słuszne i uzasadnione, boć ludzie ci poświęcają nieraz życie dla nauki, torują zarazem drogę postępowi. Jeżeli jednak wdzięczną jest praca na polu wynalazków, gdzie często jedna chwila szczęśliwej intuicyi lub ślepy traf wynagradzają nieraz sowicie poniesione trudy, to zupełnie przeciwnie ma się rzecz z podróżami, przedsiębranemi dla poczynienia odkryć. Tu nie wystarcza już fachowa wiedza ani gruntowna znajomość przedmiotu, trzeba nadto wielkiego zasobu sił życiowych, znacznej energii i rzutkości, zahartowania i nadludzkiej prawie wytrwałości do znoszenia trudów podróży. Każdy błąd, popełniony przy posuwaniu się w głąb nieznanego kraju, zamieszkałego przez ludy, na pół dzikie, wrogo zazwyczaj usposobione, mści się później stokrotnie, utrudniając lub odcinając całkowicie powrót z plonami naukowymi. Ile to sprytu i przebiegłości musi okazać, ilu podstępów użyć podróżujący w ziemiach mało zbadanych, by wyprowadzić w pole tubylców i zatrzeć wszelkie ślady przed pogonią! Jeśli uratuje życie, wraca nieraz do kraju rodzinnego kaleką lub z zarodkiem choroby, której nabawił się w zabójczych warunkach klimatycznych! Rezultat badań bywa w dzisiejszych czasach na pozór nieznaczny. Kilka zdjęć topograficznych, pomiary wyso-

kości szczytów, odkrycie kilku nowych źródeł lub jezior, zbadanie fauny lub flory, zapoznanie się ze stosunkami klimatycznymi i etnograficznymi—oto cele, dla których giną śmiałe, utalentowane jednostki. Wszystkim tym pracownikom przyświeca jednak jedna wielka myśl: dorzucić skromną cegiełkę do budowy wspaniałego gmachu nauki!

W rzędzie najśmielszych podróżników zajmują dzisiaj bezsprzecznie pierwsze miejsce ludy skandynawskie, poczem zaraz idą Anglicy i Niemcy. Rozgłos dawniejszych przygód różnych badaczów, a świeżych—wiedeńczyka Slatina Paszy, jako też podróży podbiegunowych Nansena, dotarł już wszędzie. Do szeregu tego przybywa obecnie nowe nazwisko, Arnold Henryk Savage Landor, którego sława rozbrzmiewa po całej Europie głośnem echem. Landor przedstawia zarazem ciekawy typ podróżnika-kosmopolity. Stale przebywa on z rodzicami we Florencyi, sam przyznaje się do pochodzenia angielskiego, wyniki swej podróży opisuje w języku niemieckim, którym włada nader poprawnie, zaś przydomek Savage przy nazwisku brzmi czysto po francusku. Ścieranie się różnorodnych wpływów rasy germańskiej i romańskiej rzuca się też przedewszystkiem w oczy przy czytaniu jego interesującej książki, w której skreślił swe badania i przygody w Tybecie. Z jednej strony zimna krew i niezwykły spokój w chwili największych niebezpieczeństw, zaprawione jowialnym humorem niemieckim, a idące w parze z pychą i zarozumiałością dumnego syna Albionu — z drugiej dyletantyzm naukowy, właściwy ludom południowym, stanowią cechy charakterystyczne jego natury. Trzeba atoli przyznać, że Landor dorósł zupełnie do wysokości swego zadania. Człowiek, który z łatwością wspina się na szczyty górskie, wynoszące ponad 6,000 m. n. p. m., gdzie opuszczają siły nawet samych krajowców, dla którego kąpiel na wysokości 3,000 m. przy temperaturze, wynoszącej kilka stopni poniżej zera, tak, że woda na ciele marznie, jest przyjemnością sportową, wreszcie człowiek, brodzący tygodniami po śniegach i lodach górskich lub maszerujący godzinami w nurtach rwących a zimnych, jak lód, rzek, przy nędznem pożywieniu,—człowiek taki daje zupełną rękojmię, że, w razie pomyślniejszych okoliczności, mógłby wiele zdziałać w dziedzinie odkryć geograficznych. Razi za to w nim wspomniana pyszałkowatość i buta angielska, jako też bezgraniczna pogarda dla ludów, stojących niżej pod względem cywilizacyi. Że Tybetańczycy są ludem nader tchórzliwym i nad wyraz nikczemnym, wiemy oddawna. Ale żeby setki dobrze uzbrojonych ludzi uciekały w panicznej trwodze przed jednym Europejczy-

kiem, gdy ten chwyci za strzelbę, żeby jedno uderzenie kolbą zniewalało gromady zbrojnych tubylców do upadlającej czołobitności,— wydaje się nam rzeczą co najmniej nieprawdopodobną, a przechwałki te możemy kłaść tylko na karb pochodzenia autora.

Powziąwszy na wiosnę r. 1897 zamiar zwiedzenia Tybetu i zbadania ciekawego niezmiernie ustroju w tem typowem państwie lamów czyli kapłanów, w razie zaś powodzenia, dotarcia nawet do samej Lhassy, stolicy najwyższej głowy duchownej kraju, papieża buddaistycznego Dalai-lamy, dokąd nie doszedł dotąd bezkarnie żaden Europejczyk,—nie mógł Landor skarżyć się na brak poparcia ze strony ogółu. Listy polecające otrzymał od lorda Salisbury'ego i kilku angielskich towarzystw naukowych; postarano się też dla niego o paszporty chińskie, a *Royal Geographical Society* w Londynie wyekwipowało go własnym kosztem we wszelkie instrumeuta naukowe. Początkowo zamierzał Landor wyruszyć w podróż przez państwo rossyjskie; zmienił jednak pierwotny plan i 19 marca 1897 r. odpłynął do Bombaju, by przez Indye i Himalaje dostać się do Tybetu. Nie zatrzymując się prawie nigdzie, ruszył Landor z Indyi szybko w drogę. Kolej żelazna zawiozła go do ostatniej stacyi w Kathgodam, dalsza podróż miała się odbyć po części konno, po części pieszo. Wynająwszy przewodników i tragarzy, podróżował nasz autor z początku wcale szczęśliwie. W wielu wypadkach ofiarowały mu też swą pomoc ludy, nominalnie podbite przez Anglię, istotnie zaś, jak się okazało, zupełnie zależne od Tybetańczyków; ważniejsze usługi świadczyło mu łagodne, lecz tchórzliwe plemię pasterskich Szoków. Atoli w miarę posuwania się w głąb Tybetu piętrzyły się trudności. Przedewszystkiem bowiem Tybetańczycy, dowiedziawszy się, że jakiś biały usiłuje dotrzeć do Lhassy, poobsadzali wszelkie przejścia tak, że Landor musiał mylić ich czujność i przesuwać się szczytami gór.

Opis przygód, jakie go spotykały wśród tego marszu, wypełnia znaczną część książki Landora. Dowiadujemy się więc, że opuścili go tragarze z wyjątkiem dwu najwierniejszych. Mimo tych niepowodzeń ruszył Landor śmiało dalej, eskortowany ciągle w przyzwoitej odległości przez czujne wojska tybetańskie, które nie miały jednak odwagi wprost go zaczepić. Teraz zaczęły też Landora dręczyć coraz nowe niepowodzenia, których szczytem było zatonięcie zapasów żywności; śmierć zajrzała mu w oczy—po raz pierwszy, choć nie ostatni. Aby nie zginąć śmiercią głodową, musiał zbliżyć się do koczowisk Tybetańczyków dla zaopatrzenia się w świeże zapasy. Dowiedziawszy się zaś od tubylców, że od Lhassy

oddziela go już tylko 16 dni drogi konnej, postanowił jechać dalej konno. Tybetańczycy ofiarowali mu chętnie konie na sprzedaż, a Landor, nie podejrzewając zasadzki, rozpoczął z nimi targ, co stało się w rezultacie przyczyną jego katastrofy. Podczas oglądania koni bowiem skrępowali go pastuchowie niespodzianie i wydali pozostającym z nimi w zmowie żołnierzom Dalai-lamy. Nadeszły dla Landora straszne chwile. Przywiedziono go przed „pombę” dostojnika, równego co do zakresu władzy wicekrólom europejskim, ten zaś postanowił przykładnie ukarać białego dla odstraszenia innych śmiałków, którzyby kiedykolwiek w przyszłości usiłowali wtargnąć do świętej Lhassy. Opisywać wszystkich męczarni Landora nie będziemy, ale warto zaznaczyć kilka ważniejszych momentów tych katuszy. Zbitego niemiłosiernie, wygłodzonego i skrępowanego powrozami tak, że rany, stąd powstałe, miały do 8 cm. głębokości, wsadzono na rozhukanego rumaka i usiłowano za pomocą lassa ściągnąć go w pełnym biegu z siodła, nabitego ostrymi gwoździami. Rozkrzyżowawszy następnie, o ile się dało, na poprzecznej belce nogi, wyprężono ciało nieszczęśliwego przy pomocy sznurów na szyi u pionowego pala i zostawiono je w tem położeniu przez całą noc na deszczu. Przyłożenie rozpalonego do białości żelaza do oczu jeńca tak blizko, że nerwy wzroku doznały częściowego porażenia: i inne pastwienia się zakończyły jego męki. Na szczęście darowano Landorowi resztę tlejącego w nim życia i odstawiono pod silną strażą do granicy. Powróciwszy do swoich przyjaciół w Hindostanie, zapadł nieszcząśliwy jeniec ciężko na zdrowiu. Gdy chorobę przetrwał i ujrzał twarz swą w lustrze, zapłakał gorzko nad samym sobą zamiast krzepkiego i przystojnego młodzieńca ujrzał schorowanego starca. Spóźniona interwencya władz angielskich nie na wiele się już przydała; wrócił do Florencyi w grudniu r. 1897. Został kaleką na całe życie. Władzę widzenia w lewem oku utracił zupełnie, prawem widzi nie wiele, nadto ma chód niepewny, skutkiem nadwerężenia stosu pacierzowego.

Jakiż plon naukowy wydała niepomyślna wyprawa Landora? Właściwie celu swego nie dopiął, bo nie dotarł do Lhassy, a wyniki geograficzne dadzą się sprowadzić do skromnych rozmiarów; coś przecie zostanie raz na zawsze jego zasługą.

Przedewszystkiem zbadał dość dokładnie pod względem oreograficznym południowo-zachodnią część Tybetu, czyniąc zdjęcia topograficzne na przestrzeni 22.000 klm. W wielu wątpliwych wypadkach ustalił nadto nazwy geograficzne miejscowości i szczytów, postępując w myśl rozsądnej zasady *Royal Geographical Society*, że

trzeba oddawać dźwięki nazw tak, jak je wymawiają tubylcy. Potężny łańcuch Himalajów jest dotychczas stosunkowo mało znany. Landor dał i pod tym względem przyczynek. Poczynił bowiem fotograficzne zdjęcia z kilku większych lodowców i odtworzył akwarelą profil najwyższych wyniosłości himalajskich w państwie brytyjskiem, mianowicie szczyt Nanda Devi (7,820 m.) i Trisul (7,134). Najwybitniejszą jednak jego zasługą jest stanowcze rozstrzygnięcie spornej dotychczas kwestyi, czy jeziora Rakastal i Mansarovar stanowią jedną całość, czy są od siebie oddzielone. Oba jeziora, według świadectwa uczonego podróżnika, z których pierwsze nazywają także krajowcy jeziorem dyablem (Lafan-czo), a drugie świętem (Mafan-czo), leżą na wysokości 4,695 m. Na północy otacza je łańcuch gór Gangri, na południe zaś rozciąga się górska kraina Hundes, także Nari Chorsum zwana. W paśmie Gangri wznosi się wspaniały, wiecznym śniegiem i lodem pokryty szczyt Tize czyli święta góra Kelas (6,650 m). Landor porównywa go z olbrzymim dachem świątyni, choć według załączonego w książce rysunku jest on raczej podobnym do ściętej piramidy. Stopy tej góry okala pręga, która miała powstać, gdy Rakas czyli dyabeł usiłował sznurem poderwać ten tron bogów. Fauna i flora Kelasu jest dość urozmaicona. Landor widział tu setki zajęcy i śniegowego lamparta, na wysokości 5,800 m. schwytał kilka białych i czarnych motyli, a na 5,200 m. znalazł jakieś żółte kwiaty i rumbarbarum. Wspomniane jeziora znacznie różnią się od siebie swym wyglądem Jezioro Rakastal, którego poziom, jak się zdaje, ciągle się obniża, ma brzegi strome, poszarpane, dużo skalistych wysp i głęboko wrzynających się półwyspów. Jezioro święte natomiast, twór Brahmy, w którym, według podania, mieszka Mahadeva i inne dobre duchy nie posiada tak romantycznych zarysów, jak jego mniej świętobliwy sąsiad. Mansarovar tworzy zupełny owal bez wcinających się zatok; skalista, zwolna opadająca równina, szeroka na 3½ kilometry oddziela brzeg jego wód od otaczających gór. Wody obydwu jezior mają odcień niebieski i są przezroczyste. A jak natura krajobrazu zmienia się ciągle między jeziorem dyabelskiem a świętem, tak też odmiennym jest stan pogody i temperatura. Nad Rakastalem niebo jest przeważnie pogodne i czyste, a nad Mansarovarem zwieszają się ciężkie chmury, i pada często deszcz. Landor stwierdził wreszcie, że niema żadnego połączenia między temi jeziorami i że grzbiet górski, oddzielający je, biegnie nieprzerwanie. Z wyjątkiem nieznacznego zaklęśnięcia niespełna w połowie jest ten

dział górski w całej swej długości wysoki przeciętnie na 300 m., a fakt ten musi już sam przez się rozpraszać wątpliwości, czy jeziora nie stanowią jednej całości. Tubylcy zapewniali również Landora, że niema żadnego związku między tymi dużymi zbiornikami wody. Jedynie zaklęsłość, której największa depressya leży i tak po nad 100 m., czyni możliwem przypuszczenie, że związek ten mógł istnieć w czasach nader odległych.

Lecz to jeszcze nie wszystko.

Uwiecznił Landor swe imię odkryciem jednego ze źródeł potężnej, z Tybetu wypływającej rzeki Brahmaputry. Nieprzystępność terenu była powodem, że dotąd nie dotarł do tych źródeł żaden Europejczyk. Jedno źródło Brahmaputry było wprawdzie znane, ale w oznaczaniu jogo położenia na karcie trzymano się wskazówek krajowców.

Tymczasem Landor przekonał się naocznie, że potężna ta rzeka bierze swój początek z kilku źródeł górskich, z których dwa są znaczniejsze. Położenia pierwszego ze znanych już źródeł nie określa na nieszczęście Landor bliżej, zaznaczając tylko, że strumień ten jest szeroki na 15 cm., wypływa z doliny, otoczonej dookoła górami, że rośnie następnie szybko, zasilany innymi potokami górskimi, i że przybiera kierunek południowo-wschodni. Natomiast według karty, skreślonej przez Landora, można dojść z pewną dokładnością, że główne to ramię źródeł Brahmaputry leży między $82^3/_4{}^0$ długości wschodniej Greenwich a $30^1/_2{}^0$ szerokości północnej. W drodze powrotnej dotarł nasz podróżnik do miejsca, którego położenie oznaczył mniej więcej na 83°6' 30" długości wschodniej, a 30°27' 30" szerokości północnej. W punkcie tym łączyły się 2 główne źródła Brahmaputry, tworząc jeden strumień; jedno płynęło z północnego zachodu, drugie z zachodnio-północnego zachodu. Otóż przy tej sposobności zbadał Landor to drugie, dotychczas zupełnie nieznane źródełko. Ma ono wypływać z małego jeziorka, leżącego w przybliżeniu pod 82°47' długości wschodniej a 30°33" szerokości północnej. Źródło nowo odkryte ochrzcił Landor swojem nazwiskiem. Na tem kończą się jego odkrycia geograficzne; ale są inne: książka jego jest istną kopalnią etnograficzną dla poznania życia Tybetańczyków. A tę część swej pracy wykonał autor wcale gruntownie; w zapiskach etnograficznych znać zarówno rutynę, jak dobrą metodę badania. Choć bowiem opisy te są luźne, bo wplecione w opowiadania przygód, można je wszakże ująć w systematyczną całość, która. wydana osobno, stanowiłaby wcale ukończone i udatne studyum o życiu i obyczajach Tybetańczyków. W książce Landora znajdziemy wszystko —

począwszy od opisu budowy ciała, ubrania, sprzętów domowych, przyborów wojennych, sposobu życia, charakteru, zabobonów, obyczajów i zwyczajów, a skończywszy na określeniu ustroju państwowego i kast rządzących. Ani jeden ważniejszy szczegół nie uszedł uwagi bystrego badacza.

Szczególnie ciekawe są dane, dotyczące ustroju państwowego Tybetańczyków. Tybet bowiem jest, jak wiadomo, klasycznym przykładem państwa, w którem rządzą kapłani buddaistyczni. Przywłaszczywszy sobie całą władzę, panują oni nad poddanymi z całą bezwzględnością, wyciskając z narodu soki żywotne i dopuszczając się nieraz nadużyć i gwałtów. Od najwyższej głowy w ich hierarchii duchownej, otoczonego urokiem tajemniczości Dalai-lamy, aż do najmizerniejszego lamy czyli kapłana pracują wszyscy z wielkę solidarnością dla jednej idei: panowania i używania. Podsycając zabobonność i przesadną, choć może więcej mechaniczną, płynącą z przyzwyczajenia pobożność u ludu, trzymają go zarazem lamowie w głębokiej ciemnocie. Lud, aczkolwiek wyzyskiwany, czuje własną bezsilność i boi się swych władzców, lecz w głębi duszy żywi ku nim niechęć. Wogóle cała ludność da się podzielić na dwie główne klasy: jedni, fizycznie rozwinięci, są żołnierzami w usługach lamów, drudzy, duchem wyżsi, należą do rządzącej klasy lamów.

Istnieją wprawdzie jeszcze pasterscy nomadowie, ale ci nie wchodzą w rachubę. Rozpatrzmy się przedewszystkiem w urządzeniach armii tybetańskiej. Do wojska mogą się zaciągać młodzi, silni chłopcy już w 17-ym roku życia. Od żołnierzy wymaga się bezgranicznego posłuszeństwa i wielkiej zręczności w jeździe konnej. Żołdu nie pobierają żadnego, otrzymują natomiast pewną ilość zapasów żywności dla siebie i konia. Uzbrojenie składa się z miecza i prymitywnej strzelby, zapalanej lontem; przy strzelaniu opiera ją Tybetańczyk na drewnianych widełkach, wbitych w ziemię. Proch i kule daje władza, ale w tak ograniczonej ilości, że żołnierze strzelają zazwyczaj drobnymi kamykami, co nie przyczynia się naturalnie do celności strzału, choć i tak wogóle rzadko kiedy trafiają do celu. Najniższym stopniem wojskowym jest *tozupun*, mający pod sobą tylko 10 ludzi, potem *kiapun* czyli oficer, dowodzący stu ludźmi, następnie *tungpun* czyli dowódzca tysiąca. Nad *tungpunem* stoi *rupun*, rodzaj generała; jeszcze wyższą godność ma *dahpun*, a generalissimusem jest *Magpun*. Stopnie oficerskie otrzymują ci, którzy za nie najwięcej płacą, albo rodziny, cieszące się szczególniejszą protekcyą lamów. Ubranie *rupuna* czyli jenerała odznacza się wielką malowniczością. Nosi on piękną, złotem tkaną purpurową szatę o przy-

borach ze skóry lamparciej, trzewiki chińskie z czarnej lub czerwonej skóry, za pasem ma zatknięty wspaniały miecz, którego srebrna pochwa jest wysadzana wielkimi koralami lub malachitami. Służba wojskowa jest nader uciążliwą; wiele stannic strażniczych znajduje się w najnieprzystępniejszych miejscach. Całe wojsko pozostaje w zupełnej zależności od lamów i jest wiernem narzędziem w ich ręku.

Wpływowa kasta kapłanów dzieli się na 2 sekty: czerwonych i żółtych lamów. Panującą sektą religijną o wielkim wpływie politycznym są lamowie żółci. Nadto istnieją jeszcze resztki religii szamanistycznej, zwanej religią czarną. Obok sprawowania obowiązków swego urzędu, zajmują się lamowie handlem na wielką skalę, lichwą, wogóle nie cofają się przed najbardziej zbrodniczymi środkami, byle tylko dojść do swego celu — majątku. Mieszkają wspólnie po klasztorach, utrzymywanych z zasiłków rządowych i z darów wiernych. Rekrutują się ze wszystkich warstw; prawie każda rodzina tybetańska posiada ze dwu swych męskich członków w klasztorze. W każdym klasztorze są jeszcze oprócz lamów, t. j. wyświęconych mnichów, dwie niższe klasy: *szabi*, czyli, nowicyusze i *getsul*. Nowicyusze wstępują do zakonu już w 7 lub 9 roku życia, są przez szereg lat uczniami, a w 15 roku przechodzą do klasy *getsul*, niższej od kapłanów, która niema jeszcze wszystkich praw, ale też i wszystkich obowiązków. Na czele większych klasztorów stoją wielcy lamowie, należący wprawdzie do wyższego duchowieństwa, ale nie do najwyższego, do „odradzających się świętych". Wielcy lamowie stanowią bowiem w hierarchii rodzaj szlachty urzędniczej, podczas gdy „odrodzeni" należą do szlachty dziedzicznej. Według dogmatów lamaistycznych żyją w tych ostatnich dusze dawnych świętych, t. j. są oni wcielonemi bóstwami. Przez podobne nieprzerwane wcielanie pochodzi też godność papieża tybetańskiego, Dalai-lamy.

Z wyjątkiem wielkiego lamy, który ma osobny pokój, jadają i sypiają lamowie wspólnie. Przez dwa miesiące w roku, t. j. przez 15 dni w każdym kwartale, przebywają mnisi w ścisłem odosobnieniu, milcząc i spędzając czas na modlitwie, posty zachowują ściśle, poprzestając niekiedy na wodzie i herbacie z masłem (zwykła potrawa tubylców), i wyrzekają się największych przyjemności Tybetańczyka: zażywania tabaki i spluwania. Zwykle są lamowie wcale wykształceni, ale nieludzcy, okrutni i bez honoru. O ile się zdaje, znają się lamowie dobrze na hypnotyzmie. Sztuce hypnotyzowania należy też przypisać owe opowiadania wielu Tybetańczyków o ukazywaniu się Buddy lub złych duchów. Także mesmeryzm, czyli ma-

gnetyzm zwierzęcy odgrywa ważną rolę w tańcach czarodziejskich lamów, podczas których wyginają najniemożliwiej członki, aż wreszcie ciało tancerza wpada w stan odrętwienia. Zakonnicy składają przy wstępowaniu do klasztoru ślub czystości, ale go rzadko dotrzymują. W większych klasztorach istnieją lamowie-rzeźbiarze, którzy jeżdżą po całym kraju i wycinają w najnieprzystępniejszych miejscach stereotypowy: napis „*Om mani padme hum*“, mówiący o odradzaniu się apostoła tybetańskiego Avalokiteszwary z kwiatu lotosu. Podczas modlitwy używają lamowie słynnych kołowrotków, poruszanych wodą, wiatrem, ręką, lub berła długiego na 6—7-iu cm., obracanego w dłoni.

Kapłani zajmują się wyrabianiem instrumentów muzycznych i naczyń z kości ludzkich. Czaszek używają do sporządzania puharów lub bębenków, a kości długie zamieniają w trąbki i piszczałki. Lamowie mają też według opowiadań tubylców pić chętnie z czaszek krew ludzką.

Podczas podróży swojej zwiedził Landor szczegółowo pewien klasztor i był oprowadzany po świątyni buddaistycznej przez wielkiego lamę. Opis tejże i rozmowa podróżnika z lamą jest nader interesująca. Świątynia—był to duży czworokątny budynek z czerwonych murów o spłaszczonej nieco kopule z pozłacanej miedzi. Do wnętrza prowadziły wielkie drzwi, za któremi znajdowały się dwie nisze. Powała świątyni była wybitą czerwoną materyą, a z niej zwieszały się ku ziemi setki różnobarwnych wstążek jedwabnych. Dach spoczywał na drewnianych słupach, zbiegających się w środku świątyni w czworokąt, połączony balustradą tak, że wierni musieli go obchodzić, aby dostać się do różnych bóstw. W ścianie, znajdującej się naprzeciw drzwi wchodowych, stał w szafie duch opiekuńczy klasztoru, prawdopodobnie sam Budda; świadczyły przynajmniej o tem obfite dary, leżące na ołtarzu, przykrytym dywanem. Ściany świątyni zdobiły posągi licznych bóstw, wysokie przeciętnie na metr, a wycięte z drzewa lub metalu pozłacanego. We wspomnianym powyżej czworoboku paliły się w mosiężnych lichtarzach świece, których światło zasilano roztopionem masłem, a obok nich leżały modlitewniki, drukowane na żółtym papierze tybetańskim, sporządzanym z kory, zasobnej we włókna.

Wśród łoskotu bębnów, kotłów i wielkich gongów, wsród gry na fletniach, zatapiali się liczni lamowie pozornie w modlitwie do swego najwyższego boga Kontszoksum. W dosłownym przekładzie znaczy Kontszok-sum znaczy tyle, co „trzy klejnoty“, którymi są Budda, jego święta nauka i gmina wiernych. W Indyach, ojczyźnie Bud-

daizmu pojmują te dwa ostatnie pojęcia abstrakcyjnie, lecz w Tybecie uosobiono je. Wogóle można powiedzieć, że buddyzm, będący istotnie filozofią moralną, zamienił się w Tybecie w rodzaj religii, w której bezcielesna nirwana stała się niebem rozkoszy, a mgliste postacie Buddy i jego świętych boskiemi istotami. W przystępie dobrego humoru zapytał Landor wielkiego lamę, czy też ma nadzieję zostania świętym. Ten zapewnił go z całym spokojem, że kiedyś nim zostanie, ale upłynie przedtem co najmniej 500 wędrówek czystych dusz.

Podczas pobytu w klasztorze dowiedział się Landor o wielu ciekawych szczegółach co do chorób, panujących między Tybetańczykami, i o sposobach ich leczenia przez lamów. Według pojęć lamów, powstają wszystkie choroby z febry, febra zaś jest to zły duch, który pod różnemi postaciami wdziera się do ciała ludzkiego. Skutkiem podobnego rozumowania uważa naturalnie lekarz tybetański za swój pierwszy obowiązek wypędzić tego ducha z ciała pacyenta. Że zaś zły duch pije chciwie krew, wystarcza obok dotkniętego chorobą umieścić jakieś małe zwierzątko, psa lub ptaka, a następnie nakłonić ducha za pomocą zamawiań do przesiedlenia się w mózg nowej ofiary. Naturalnie otrzymują lamowie w razie wyzdrowienia za podobne zaklęcia dobre wynagrodzenie, to też nie zaniedbują nigdy sposobności, by okazać tłumowi, jaką władzę dzierżą nad demonami.

Najzwyklejszą chorobą, panującą między Tybetańczykami, szczególnie u starych kobiet, jest reumatyzm. Prawidłowość żołądkowa pozostawia też wiele do życzenia. Nie należy się jednek temu dziwić wobec olbrzymich ilości mętnej herbaty, którą codziennie namiętnie piją z solą i masłem. Indywidua ze zdrowymi zębami widzi się również rzadko. Zęby tybetańskie kruszą się tak łatwo, że lamowie osłaniają je pewnym rodzajem srebrnych gilz, by ochronić je od dalszego psucia się. Zboczeń lub potworności fizycznych można spotkać w Tybecie bardzo wiele. Najczęstszem zjawiskiem jest rozdęcie brzucha u dzieci do takich rozmiarów, że często stać prosto nie mogą; z wiekiem wzdęcie to znika jednak powoli. Do zwykłych zboczeń należy również kabłąkowate zgięcie rdzenia pacierzowego, nóg i szpotawość, a przez ciągłe noszenie ciężkich kolczyków wydłużają się także uszy. Ataki apoplektyczne i epileptyczne zdarzają się rzadko, ale za to w ciężkiej formie. Objawów silnego obłąkania nie spotykał natomiast Landor, chyba charakterystyczny obłęd religijny.

Chirurgia pozostaje w Tybecie na bardzo nizkim stopniu rozwoju. Przedewszystkiem nie znają Tybetańczycy anatomii, nie mają dość zgrabnych i delikatnych rąk po temu, a co najgorsza, nie posiadają ostrych instrumentów, by operacye załatwiać sprawnie i czysto. Broczenia tamują silnem podwiązaniem lub mokrymi okładami, a wrzody smarują masłem i rumbarbarum. Przeciw febrze i reumatyzmom podają tojad, a silne bóle mięśni starają się łagodzić szorstkim masażem, wykonywanym bez najmniejszej znajomości. Bańki cięte cieszą się znacznem powodzeniem; w tym celu robią 3—4 nacięcia i stawiają nad ranką bańkę stożkowatą, długą na 20 cm. zaopatrzoną u wierzchołka w otwór. Operator wciąga przez otwór powietrze, dopóki bańka nie napełni się krwią. Puszczanie krwi znajduje zastosowanie przy bólach wewnętrznych, gdy jednak nie skutkuje, uciekają się do kuracyi przypiekania ogniem, w tym celu kładą pacyentowi na miejscu bolesnem małe stożki, sporządzane prawdopodobnie z saletry i siarki (bo palą się bardzo żywo) i czekają wśród zaklęć, aż lekarstwo zacznie skutkować, t. j. póki nie uczują woni spalenizny. Kuracya skutkuje doskonale: pacyent umiera skutkiem bolesnych oparzelizn.

Było już rzeczą znaną, że prawa tybetańskie uznają wielożeństwo. Natomiast mało wiedzieliśmy dotąd o zwyczajach i obrzędach weselnych Tybetańczyków. Oto są niektóre szczegóły.

Gdy młodzieniec tybetański, ujęty wdziękami dziewczyny, pragnie ją poślubić, błaga swego ojca i matkę, by udali się z nim do namiotu jego wybranej. Po zwykłych grzecznościach i pokłonach prosi ojciec starającego się wprost o rękę dziewczyny. W razie przychylnej odpowiedzi następuje odrazu w obecności krewnych obu stron ceremonia ślubna, polegająca na tem, że młodzieniec kładzie czworokątny kawałek masła na czole swej narzeczonej, a ona czyni jemu to samo. Jeśli w pobliżu znajduje się świątynia, otrzymują bogowie dary w potrawach i pieniądzach, przyczem goście weselni obchodzą dookoła wnętrze świątyni. W braku klasztoru obchodzą mąż i żona najbliższy pagórek lub namiot i ceremonię tę powtarzają wśród modlitw przez dni 14. Po upływie tego czasu odprowadza mąż połowicę do swego namiotu. Kobiety wychodzą za mąż w Tybecie już w 16-ym roku życia, mężczyzni żenią się w 18 lub 19-tym.

Tybetanka, wychodząc za mąż, wstępuje poniekąd w związki małżeńskie nie tylko ze swym mężem, ale pośrednio, w sposób nieco skomplikowany, i z całą jego rodziną. Objaśnimy to na przykładzie. Gdy najstarszy syn jednej rodziny ożeni się z najstarszą córką drugiej, stają się wszystkie siostry oblubienicy jego małżonkami.

Gdyby atoli ożenił się z drugą siostrą z rzędu, będą jego własnością tylko siostry młodsze. Tak samo, gdy mąż ma braci, ci są mężami jego żony i żyją wspólnie zarówno z nią, jak i z jej siostrami. Jak widzimy, jest to system zawiły i sprowadza też nieraz długotrwałe spory i nieprzyjemności. Landor pytał się tubylców, jak postępują w razie, gdy ktoś ożeni się z drugą siostrą i posiędzie prawa do wszystkich sióstr młodszych, a tymczasem zjawi się nowy konkurent do siostry najstarszej. Odpowiedziano mu, że ten drugi musi się zadowolnić tylko jedną żoną; gdyby jednak druga siostra owdowiała, a zmarły małżonek nie miał braci, stałaby się własnością męża najstarszej siostry, a z nią wszystkie siostry młodsze.

Sposób przyznawania ojcostwa jest co najmniej oryginalny. Jeśli żonaty Tybetańczyk miał kilkoro dzieci, a dwu braci, to pierwsze dziecko będzie jego własnością, drugie pierwszego brata, trzecie drugiego, a czwarte znowu jego. Rozwód jest bardzo utrudniony i sprowadza niezliczone powikłania. Landor pytał raz pewnej mężatki, coby uczyniła, gdyby mąż nie chciał z nią dłużej żyć.

„Zapytałabym go" — zawołała oburzona samem przypuszczeniem Tybetanka — „dlaczego się ze mną ożenił. Byłam mu dotąd dobrą, piękną, rozumną i kochającą. Niechże mi udowodni teraz, że tak nie jest". Skromny ten wyrzut powinien zupełnie wystarczyć, aby każdego męża przyprowadzić napowrót do rozumu; ale mimo tego wielu Tybetańczyków porzuca żony przy lada sposobności i ucieka do odległych prowincyi lub zagranicę.

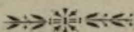
Wiarołomstwo nie należy w Tybecie do rzadkości, a najczęściej są temu winni lamowie, którzy rzadko dochowują obowiązkowego ślubu czystości. Naturalnie uchodzi im to bezkarnie; gdy jednak winnym jest człowiek świecki, musi zapłacić pierwszemu mężowi uwiedzionej odszkodowanie w towarach lub pieniądzach stosownie do swej zamożności. Istotnie surową karę nakłada prawo tybetańskie tylko w tym wypadku, gdy żona wysokiego urzędnika ucieknie z mężczyzną nizkiego pochodzenia. Wówczas kobietę za wiarołomstwo chłoszczą, mąż wpada w niełaskę u rządu, a kochanka wyświecają z miasta lub obozowiska. Zazwyczaj jednak wystarczają w zupełności obfite dary do ułagodzenia małżonka. Zresztą prawa państwowe pozwalają wysokim urzędnikom i ludziom zamożnym mieć tyle żon i konkubin, ile sami chcą.

Niemniej ciekawymi są pogrzeby tybetańskie, podobne bardzo do obrzędów pogrzebowych u pasterskich Szoków. Skutkiem braku materyału opałowego — w niektórych porach roku idzie on na wagę złota — rzadko kiedy palą Tybetańczycy ciała zmarłych. Na

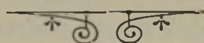
zbytek ten pozwalają sobie tylko lamowie lub ludzie nader zamożni. Zwykle zaszywają ciało w skórę zwierzęcą i powierzają wartkim strumieniom wodnym. Jest atoli jeszcze inny obrzęd pogrzebowy, niezmiernie oryginalny. Zwłoki zanoszą na szczyt pagórka wśród modlitw i zamawiań lamów; obszedłszy ciało zmarłego siedem razy wokoło, staje cały orszak w pewnem oddaleniu, aby psy i kruki mogły zwłoki poszarpać w kawałki; rodzina zmarłego uważa za dobrą wróżbę, jeżeli większa część ciała zostanie pożartą tylko przez ptaki, według bowiem orzeczenia lamów, rzucają się na zmarłego wyłącznie psy lub dzikie zwierzęta wtenczas, gdy był za życia wielkim grzesznikiem; w stosownym czasie wracają lamowie i wszyscy uczestnicy pogrzebu z kołatkami w ręku do ciała mrucząc „*Om mani padme hum*“ i obchodzą je znowu siedem razy, a to od strony lewej ku prawej. Tylko sekta Bombos zaczyna te procesye od przeciwnej strony i obraca kołowrotki modlitewne od prawej ręki ku lewej. Potem siadają krewni około trupa, a lamowie odcinają z niego pozostałe jeszcze kawałki mięsa. Starszy lama zjada pierwszy kąsek, następnie jedzą wśród modlitw inni lamowie; przyjaciele i krewni rzucają się w końcu na obnażony szkielet i porywają chciwie resztki mięsa. Wstrętny ten obrządek ma za podstawę myśl, że dusza zmarłego, z którego ciała pożywało się cząstkę, będzie wiekuiście przychylną pożywającemu. Gdy umrze świętobliwy lama lub człowiek powszechnie szanowany, chowają resztki jego ciała lub, gdy był spalony, popioły w grobowcach zwanych *czakden*. Sądząc po licznych tego rodzaju budowlach, rozsianych po całym kraju, jest się skłonnym do przypuszczenia, że połowa ludności tybetańskiej musiała się składać ze świętych, lub że miara, według której ocenia się świątobliwość jednostek, jest w świętem państwie lamów nader nizką.

Oto jest treść ciekawej i pożytecznej książki Landora. O przełożeniu jej na język polski nawet marzyć nie możemy, wobec naszych ciężkich warunków wydawniczych. Może byłoby jednak rzeczą pożądaną wydanie jej w popularnem streszczeniu dla młodzieży, nie ulega bowiem wątpliwości, że podobna książka obudziłaby wielkie zainteresowanie, a treścią swą oddziałałaby więcej kształcąco, niż liche opowiadania o rozbójniczych przygodach różnych awanturników.

Wiktor Doleżan.



„W CHWILACH WOLNYCH”.



Włodzimierz Spasowicz. „Pisma“, Petersburg, księgarnia Br. Rymowicza, 1892, tomów sześć; t. VII-y, księgarnia K. Grendyszyńskiego, 1899.

„Jako prawnik z zawodu, filologii specyalnie nie studyowałem i literaturą zajmowałem się w chwilach wolnych”, — powiada o sobie Spasowicz w przedmowie do drugiego tomu „Historyi literatur słowiańskich” (wyd. 1881 r.), napisanej wspólnie z prof. Pypinem, w której do naszego publicysty i krytyka należy część, poświęcona „Historyi literatury polskiej”, przetłómaczonej następnie na język polski i ogłoszonej trzykrotnie. W ciągu lat kilkudziesięciu owych „chwil wolnych” zebrało się sporo. Że zaś w zmiennych i niekiedy burzliwych potokach otaczającego życia jedne z tych chwil były nieco lepsze, inne gorsze, jedne płynęły wolno, drugie rwały się gwałtownie, a bywały i takie, jak właśnie w okresie powstania „Historyi literatury”, że „z najbliższymi znajomymi niepodobna było rozmawiać spokojnie”, — stąd zrodziła się obawa, którą autor w krótkim wstępie do zbiorowej swych pism edycyi (nie obejmującej „Historyi literatury polskiej”) ujął w następujące słowa: „W masie materyału, zgromadzonego w jedną kupę przez tak długi ciąg

czasu, muszą się okazać sprzeczności, bo z biegiem wypadków nie mogły nie odmieniać się poglądy, a nawet przekonania"...

Sprzeczności w poglądach lub przekonaniach recenzent dojrzeć i pochwycić nie zdołał, — może dlatego, że dobrze i oddawna zna człowieka i jego dzieła. Bardzo owszem daleko, nie tylko w czasie, ale i co do miejsca szukaćby trzeba pisarza, coby w równym, jak Spasowicz, stopniu był zawsze sobą, i to tak wytrwale, tak, rzeklibyśmy, uporczywie, że najświeższe jego prace, lubo znacznie bogatsze pod względem erudycyi i wytrawności sądu, nie różnią się od najwcześniejszych ani sposobem traktowania czyli metody, ani ciągłością dążeń czyli myślą zasadniczą. Sposób przedstawienia był zawsze „nowoczesny", — to jest najściślej przedmiotowy i podparty za wielką niekiedy, za obfitą argumentacyą książkową, biblioteczną; dążność zaś od dni najdawniejszych do ostatnich trzymała się usilnie i oburącz kierunku postępowego, miarkowana jedynie niezbędnymi względami środowiska społecznego, a bez najmniejszej poszlaki ubiegania się o popularność... Nić przewodnia...—zapewne, urywała się i jakby ginęła nieraz w „kupie materyałów", ale tylko pozornie, dlatego przedewszystkiem, że materyał jest nad wyraz różnolity, różnorodny, rozbity w wydaniu nawet chronologicznie, w najprostszem znaczeniu wyrazu zgarnięty „do kupy", przytem, w pierwszych zwłaszcza tomach, otrzymał fatalną korektę. A jak się to z sobą dziwnie przeplata! Nawet kilku rozpraw specyalnych, zawodowych, zszytych głównie w tomie IV-m, takich np., jak dysertacya uniwersytecka o stosunkach majątkowych między małżonkami według dawnego prawa polskiego, rzecz o tak zwanej własności literackiej, najnowsze prądy w nauce prawa karnego, John Howard, nasze dzisiejsze sądy polubowne, o gminach i sądach gminnych w Królestwie Polskiem, i t. d., szukać trzeba poprzez gąszcz rozbiorów, odczytów, sprawozdań literackich i naukowo-społecznych tej treści, co Rousseau i jego poprzednicy, Schiller i Goethe, Hamlet, pozytywizm w Rosyi, bajronizm Lermontowa, Wincenty Pol, jako poeta, Władysław Syrokomla, rozbiór etyki prof. Kawelina, „Dwa tygodnie w Bułgaryi", „Wycieczka do Brukselli", „Wędrówka po Bośnii i Hercegowinie", Teka Nieczui, korespondencya Turgieniewa, i t. p. „Nie zgładzając chropowatości i przeciwieństw — pisze Spasowicz we wstępie — i zgoła nic nie przerabiając, podajemy nasze pisma na sąd czytającej publiczności... Znajdą się w nich ślady walk namiętnych, a oddawna zapomnianych, szkice z ludzi, których znałem żywych, ale którzy oddawna pomarli, cienie pamiętnych wypadków historycznych za kilkadziesiąt lat

ostatnich, wrażenia, spisane pod wpływem już nieistniejących sytuacyi i tak, jak były narazie odczute przez pisarza, który, chociaż bezpośredniego udziału w wypadkach nie brał, ale był pilnym ich i nieobojętnym spostrzegaczem". Charakterystyka zanadto przesłonięta grubymi cieniami. Gdyby wszystkie pisma Spasowicza nosiły na sobie smętną ową barwę wspomnienia spraw i zdarzeń dawno przebrzmiałych, teraźniejszość nie miałaby się nad czem zastanawiać dłużej. Ale takie pochowanie zagadnień żywotnych po kopcach nekrologowych nie jest ani zasłużonem, ani usprawiedliwionem. Ludzie, bezwątpienia, w większości już nie żyją, odgłosy walk przycichły,—ale, żeby same namiętności, co walkę wywołały, i sytuacye ogólne tak bardzo się zmieniły lub w nicość się rozwiały, tego po dziś dzień—od daty przedmowy (1891) — wcale nie widać z zestawienia prac takich, jak „Polityczny spadek po Wielopolskim", „Polskie fantazye na tematy słowianofilskie", „Życie i polityka margrabiego Wielopolskiego", „Jubileusz Kraszewskiego", „Jubileusz Palackiego", „Mickiewicz i Puszkin przed pomnikiem Piotra W.", „Dwa programowe odcinki „Kraju", „Z motywów wigilijnych" etc.

Zjawiska konkretne, pobudzające myśl do zastanowienia, wolę — do działania, powstają, przeobrażają się, nikną; przyczyny, które je do bytu powołały — trwają. One też jedne imponują zarówno myśli, jak i woli, tworząc dokoła nich coś w rodzaju fatalizmu starożytnych, którego wyrokom ulegać muszą nawet bogowie. W dziedzinie zagadnień społecznych wzgląd ten zawsze mieć trzeba na pierwszym planie; inaczej sąd nasz o ludziach i ich czynach trafem chyba będzie słusznym. Jedynie lotne wytwory fantazyi lub dedukcyjne pewniki umiejętności ścisłych w sobie samych znajdują swą wiarę i ocenę, swoje kryteryum. Aksyomaty geometryi Euklidesa lub kosmogoniczne hypotezy Laplace'a tak samo, jak dyalogi Platona lub sonety Petrarki, nie wymagają oświetleń okolicznościowych, przygodnych, empirycznych. Inaczej się rzecz ma w rozległej dziedzinie zagadnień czy zadań, które pod mianem publicystyki (świeżem i chwiejnem jeszcze obecnie, choć coraz bardziej narastającem w objętość i znaczenie) zagarniają całą realną powierzchnię istnienia ludzkiego, wkraczają we wszystkie jego stosunki bieżące — obyczajowe, prawno-polityczne, powszechno-kulturalne. W zakresie tym idea, pościg za prawdą, poczucie obowiązku, żądza poprawienia losów zbiorowości pewnej, tak mocno i nieraz nierozerwalnie wiążą się w dyplomacie, statyście, mężu stanu, w prostym nawet szeregowcu dziennikarskim, z warunkami wszelkiej wogóle działalności w określonem miejscu i czasie, że je-

dnego bez drugiego, dzieła bez otoczenia, w którem ono powstało, nie sposób wyrozumieć, cóż dopiero ocenić. Poeta, metafizyk, przyrodoznawca, historyk, szukając bezpiecznego i swobodnego dla swych badań lub zachwytów zakątka przeszłości, przyszłości lub przyrody, wybiedz w każdej chwili zdoła z najciaśniejszej sfery bezpośrednio owiewających go prądów moralnych i materyalnych. Ale samorzutność taka nie przysługuje tym, co twardą i szorstką bryłę przeznaczeń człowieka wtoczyć usiłują na tory, prostsze i zgodniejsze według nich z widokami powszechnego dobra na najbliższej mecie. Oni, choćby całość swych sił umysłowych, swojego rozumu, ostatnie jego słowo, dla siebie wyłącznie chować mieli, oni — i to, co mówią, i to, co czynią, bezustannie pogrążać muszą w potoku powszednich przypadłości bytu, wśród którego nie chcą pozostać z otwartemi tylko oczyma podziwu, przyzwolenia, uwielbienia i t. p. Na najdzielniej w samoistności zahartowanej duszy coś z tego pozostać musi — chociaż naturalnie coś niecoś też przed nią ustąpi. Od faktycznego skutku operacyi lub ewentualnej jej skuteczności zależy wartość i doniosłość — bardzo zresztą względna i problematyczna — tego, co pospolicie nazywamy doktryną, programatem pisarza, regułą zalecanego przezeń zastosowania się czy postępowania.

Przez wspomniane odsunięcie ludzi, wypadków, namiętności, sytuacyi, w krainę „cieniów" Spasowicz chciał zapewne dać do zrozumienia, że doktryny żadnej nie przynosi z sobą, programatu nie podaje, z regułą nie występuje — na dziś. I rzeczywiście, formuły, któraby lapidarnie przedstawiła rezultat tyluletnich a „nieobojętnych" jego obserwacyi z życia i nad życiem, teraźniejszość nie potrafiłaby z pism jego wysnuć dla swego użytku. Krytyka, łącząc rzeczy jednorodne, wyciągając z nich wnioski zcalające, budując na nich lub z nich jakieś kategorye czystego lub praktycznego rozumu, wymęczyłaby prawdopodobnie parę ogólników, przypominających staromodne wyznania wiary. Ale Spasowicz, jak się zdaje, ma nieprzezwyciężony, organiczny wstręt do podobnych zaokrągleń abstrakcyjno-teoretycznych. Kiedy w r. 1882 powstawało w Petersburgu czasopismo polskie „Kraj", wywód okoliczności, w jakich się to działo, i widoków, jakie się przed nowym organem rozwierały, otrzymał pod jego piórem tytuł: „Z a m i a s t programu". Z takich „zamiast", podających w wykładzie przedmiotowym, wymotywowanym obrazowo i umiejętnie charakterystykę chwili, sprawy lub zjawiska, składa się cała zawartość jego pism.

Jednakże — powie kto może — istnieje przecie coś w rodzaju zwięzłego streszczenia zasad pierwszych czy ostatnich, znanych pod utartem mianem „programu spasowiczowskiego"? — Istnieje, tylko nie w literze prac Spasowicza. Istnieje tak samo, jak i powszechnie znany „testament Piotra W-go". Posiadamy o nim bardzo dokładną, źródłową informacyę. W pomienionej wyżej przedmowie do „Historyi literatury polskiej", Spasowicz, wyłuszczając powody i okoliczności, w jakich powstawało wspólnie z prof. Pypinem wykonane dzieło o literaturach słowiańskich (w edycyi pierwszej), zaznacza nasamprzód, że czasy po roku 1863 były tej natury, iż dwie narodowości, polska i rosyjska, cofnęły się nagle prawie o lat sto pod względem uwzajemnienia i uprawy uczuć humanitarnych i cywilizacyjnych, obudzonych w początkach panowania Aleksandra II zapowiedzią reform niezmiernie ważnych i daleko sięgających. W dobie najgwałtowniejszego wybuchu uprzedzeń i złorzeczeń zobopólnych, podniecanych odżywianiem uraz dawnych, dziejowych, Spasowicz zaofiarowane przez prof. Pypina współpracownictwo przyjął w tej nadziei, że rozpowszechnienie w Rosyi prawdziwych wyobrażeń o zasadniczych rysach charakteru i ducha narodowego Polaków, jak się one w dziejach literatury rozwinęły z pierwiastków, ukrytych w glebie przedhistorycznej wspólnoty słowiańskiej, przyczyni się do uśmierzenia niechęci, złagodzenia uprzedzeń i wydobycia na jaśnię świadomości usposobień lepszych, podnioślejszych, — i że tym sposobem, jak się Spasowicz dosłownie wyraził, „przerwane zbliżenie odnowi się, gdyż tkwi ono w duchu czasu i sile rzeczy" (str. XXIII przedmowy). To samo zadanie na gruncie polskim uwydatnia się dość jasno w kilku opracowaniach Spasowicza o Rosyi — i to jest cały testament... czy też raczej programat spasowiczowski. Motyw nie był nowym w piśmiennictwie polskiem. Wyznawcy i zwolennicy „zbliżenia" przytaczają zazwyczaj szeregi imion, znanych w historyi, od Staszica i Woronicza do najświeższej daty, świadczyć mających o stałości i trwałości pobudek... W dziennikarstwie bieżącem ukazują się raz po raz większe lub mniejsze studya lub zaznaczenia z tego zakresu; zjawiają się one nawet w czasopismach, nie zajmujących się kwestyami tego rodzaju, jak np. — że tu wymienimy tylko to, co pamięć na razie przynosi, — artykuł w „Kłosach" z r. 1886 p. t. „*Russia quo spectat?*" Niezaprzeczenie, z imieniem i działalnością Spasowicza pytanie to w ciągu lat bez mała czterdziestu związało się bez porównania głębiej i wszechstronniej, niż kiedykolwiek i u kogokolwiek przedtem, a przeprowadzone zostało w niektórych jeszcze pismach przez liczne

odcienie i komentarze literackie, naukowe, historyczne, filozoficzne. Jest to jego cecha znamienna, ale — naturalnie — nie jedyna, nie wyłączna.

Druga — ogólniejsza znacznie i bardziej skomplikowana, polega na pewnem poważnem a smętnem zabarwieniu poglądów Spasowicza na przeszłość, na główny tok dziejów Polski, szczególnie porozbiorowych. Koloryt to również okolicznościowy; składowych jego części szukać należy nie tyle w temperamencie pisarza, mającym w sobie bez porównania więcej porywów optymistycznych, niż pochyleń pesymistycznych,— ile w glebie owego podłoża lokalnego, wśród którego dni, miesiące, lata płynęły. Nie czas i nie miejsce tu na życiorys autora „Fantazyi polskich“ i „Tematów wigilijnych”. Ale nie sposób pominąć przynajmniej szczegółów pierwszorzędnego znaczenia, elementarnie niezbędnych w rzucie oka na umysłowość człowieka, który sam w pismach swoich uważał za nieodzowne tu i owdzie potrącić o parę punktów autobiograficznych.

Włodzimierz Spasowicz urodził się d. 16 stycznia 1829 r. w Mińsku litewskim; rodzina jego, po ojcu, należała do kościoła wschodniego, matka wyznawała katolicyzm. „Pochodziłem—pisze o sobie we wspomnieniu o jednym z przyjaciół („Pisma”, VII, 277 i nast.)—z tak zwanego małżeństwa mieszanego, zawartego jeszcze przed ukazem 23 listopada 1832 r., w którym przepisano, aby wszystkie dzieci z podobnych małżeństw były religii prawosławnej. W naszej rodzinie bracia byli prawosławni, siostry rz.-katoliczki. Od dzieciństwa wychowywaliśmy się w duchu najzupełniejszej tolerancyi i patrzyliśmy na wyznaniowe różnice, jako na okoliczności podrzędne; w religii przywiązywaliśmy głównie wagę do jej moralności”. Ojciec Włodzimierza, znany w swoim czasie lekarz w Mińsku lit., kończył nauki w uniwersytecie wileńskim; w jego otoczeniu język polski był w stałem użyciu, domowem i towarzyskiem, — i zgoła, dodaje Spasowicz, „cała nasza rodzina była polska z ducha”. Pierwsze nauki chłopiec pobierał w domu, następnie w gimnazyum mińskiem, w którem, jak zaznaczono w innem miejscu („Hist. lit. słow.”, przedm.), lubo wszystkie przedmioty obowiązkowo wykładane były po rosyjsku”, to jednak „wychowanie otrzymałem polskie, gdyż wszyscy lepsi i najulubieńsi moi nauczyciele byli wychowańcami uniwersytetu wileńskiego; przytem wykształcona część społeczeństwa miejscowego stanów średnich, do których i ojciec mój należał, była czysto polską”. Po szczupłem, wyzbierać się zaledwie dającem wspomnieniu lat młodocianych, Spasowicz przechodził coraz do nieco pełniejszych, lecz także urywkowych i przygodnych notat z okresu życia stu-

denckiego, akademickiego w Petersburgu, zastanawiając się głównie nad wpływem na młodzież polską poetycznych utworów rozkwitającego romantyzmu, przeważnie Krasińskiego i kursów Mickiewicza. „Po wstąpieniu do uniwersytetu—pisze w zarysie z r. 1897 (VII, 248)— i po obraniu przez każdego z nas pewnej specyalności staraliśmy się gorliwem czytaniem książek polskich uzupełnić wadliwe wykształcenie narodowościowe, studyowaliśmy polską historyę i literaturę, szczególniej zaś najnowszych polskich poetów, największych, jakich tylko naród wydał w ciągu swego istnienia... Wszyscy prawie wielcy poeci ostatniej doby byli wychodźcy, wszyscy zwiastowali i przepowiadali wskrzeszenie państwowe i narodowe, uważane jako nierozłączne“... „Chudy był pokarm—dodaje w innem miejscu („Hist. lit.” przedm.), — któryśmy otrzymywali z katedry, ale za to obfite inne źródła wykształcenia, wtedy jeszcze zabronione: dla uczących się Rosyan utopie socyalizmu, głównie Fourier; dla nas, cośmy przybyli z kresów zachodnich... cała bogata literatura romantyzmu polskiego. Wszyscyśmy też prawie byli potrosze mistycy, mesyaniści, oczekujący niewiedzieć jakich skarbów i dobrodziejstw od najbliższej przyszłości”.

Tym sposobem przeskoczone i niemal milczeniem pominięte zostały czasy szkolne, mińskie,— z pewnością najważniejsze z tych, w których się zakładają podwaliny indywidualności duchowej, kiedy się w nas tworzy człowiek wewnętrzny, kiedy świeży grunt duszy naszej użyźnia się wszystkimi głównymi pierwiastkami świadomości zarodkowej, utajonej, potencyonalnej, stopniowo odnajdującej się następnie w świadomości już obudzonej, czynnej, pełniejszej i od tamtej zależnej, jak skutek od przyczyny, jak plon od siejby. Nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że decydujące te dla każdego czary nie wiele jaśniejszych obrazów przygotowały w ciągu lat sześciu lub siedmiu na drogę 18-to letniemu młodzieńcowi, który w r. 1844 wybierał się na uniwersytet. Był to okres niezaprzeczenie najciemniejszy u nas z całego wieku XIX. Nieustający korowód klęsk, idących w następstwie wstrząśnienia 1831 r., obok równolegle niemal towarzyszących im objawów uporczywej gorączki spiskowania,—martwota, zastój, zdziczenie najważniejszych funkcyi zawodu publicznego i tuż zaraz przy nich szalone upędzanie się stanów wyższych, rzekomo inteligentnych i przewodniczących, za uciechą, swawolą, awanturnictwem, rozpustą,— buta, zarozumiałość, pyszałkowstwo obok gnuśności, niechlujstwa, obrzędowości próżniaczej, — skostniała domowa burda obok papuziej zagranicznej naśladowniczości, — wszystko to razem nieraz prawdopodob-

nie przypomniało się Spasowiczowi później, gdy zmężniał i dojrzał, gdy nadeszły chwile skupionej w osamotnieniu rozwagi i natężonego nad oddaloną akcyą zastanowienia. A nie trzeba było nawet czekać zbyt długo. Już w drugim roku studyów akademickich trzeba się było zoryentować, gdzie i kiedy żyjemy. Braterstwo uczuć, pomoc koleżeńska, promienne poezyi upojenia i nadzieje, blaski przedświtu, skrzydła młodości toczyły się i przewijały jedną koleją, gdy tymczasem torem drugim szedł świat i własne swoje godziny wybijał, własne kuł lekcye, własne ciosy wymierzał, — twarde, tępe, niemiłosierne często. Do takich należał i ów rok 1846, z którego końca pochodzi wigilijne wspomnienie Spasowicza o uczcie studenckiej przy ulicy Galernej, w garkuchni pani Bohdanowiczowej. Odgłosy chybionego rewolucyjnego wybuchu na ostatnim kongresowym okrawku starej Rzeczypospolitej, w Krakowie, i bezpośrednie następstwo zawieruchy, rzeź galicyjska, głęboko dotknęły niejedno gorętsze serce, zawcześnie lodem obłożyło niejedną, wcale jeszcze nie schorowaną głowę. „O wrażeniu ogólnem — pisze Spasowicz—sądzę z tego, jak te wypadki na mnie podziałały. Uczułem najwyższy wstręt do wszelkiego fałszu, do nadętej frazeologii, do nierozważnych zachwytów, do wszelkich poetycznych złudzeń; uznałem potrzebę dochodzenia realnej prawdy i tylko jednej prawdy, chociażby gorzkiej i najboleśniejszej. Rzeź nam wskazała, że stoimy na skraju przepaści, że przegrywamy sprawę na kwestyi włościańskiej, na tym najsłabszym punkcie historyi polskiej. Widzieliśmy jak na dłoni, że upadek państwa polskiego był wynikiem wadliwej jego organizacyi, że spowodowały go tylko przyczyny wewnętrzne" (VII, 285).

Posępna ta nuta rzadko kiedy przestaje dźwięczeć w pismach Spasowicza, ilekroć w nich dotknie się strun przeszłości. A choć już w lat kilkanaście potem wiatry wiały bynajmniej nie tak złowrogo, choć można i wolno było zapomnieć o r. 1846, choćnastrój umysłów w intencyach przynajmniej był znacznie szlachetniejszym i w uwzględnieniu pobudek źródłowych o wiele uczciwszym, — jemu wciąż echa dawne grały na ton zawodu i rozczarowania, jemu każdy śpiew ptaszęcia na pogodę wydawał się „cokolwiek podejrzanym", jemu każda wiosna przynosiła w swych oddechach, których świeżości nie przeczył, jakiś mały, lekki, niewiedzieć skąd zalatujący zapaszek skażenia i bodaj czy nie zatrucia, — zatrucia i skażenia z owej atmosfery ciężkiej i posępnej, kiedy nawet pierwsze powieści Kraszewskiego, jedyne krajowe światełka doby po r. 1830—31, miały pozór ogników błędnych, złowrogo zataczających się i zerkających po przez opary cmentarniane. Innym, około r. 1848 lub 1860,

śniły się zorze, jutrzenki, słoneczne poranki, majowe święta, — on nie mógł się pozbyć instynktowo, mimowolnie ogarniającego go przeczucia, że jest to może tylko hallucynacya. A gdy wkrótce potem raz jeszcze suty poczet strat i ofiar daremnych przykrył się darniną, pod którą spoczęły wątki i natchnienia różne, różnolite, zmieszane,— już i nie sposób było opędzić się zewsząd niekiedy napastującym marom i przywidzeniom ponurym, jak noc wśród pustkowi.

Przywidzenia jednak nie wyrosły, nie wygórowały zbyt wysoko. Spory zasób zdrowych tradycyi domowych, organizm krzepki i odporny, kilkuletnie po skończeniu uniwersytetu borykanie się z przeciwnościami, wyćwiczona praca naukowa na chleb i dla stanowiska pod kierunkiem profesorów światłych, jak Antoni Czajkowski, jak Mikołaj Malinowski, któremu Spasowicz zawdzięcza wdrożenie się w tryb badań historycznych (przekład dziejopisów naszych łacińskich, Rudawskiego, Orzelskiego, Heidensteina, do których przedmowy, wówczas skreślone, początkują pierwszy tom zbiorowego wydania „Pism"), wcześnie zahartowały indywidualność pisarza i człowieka; wzmocniły ją następnie, otuchy jej dodały niemałe powodzenia nader od samego początku popularnej karyery profesorskiej. A kiedy po zajściach studenckich z końca r. 1861, szczegółowo opisanych w zajmującej monografii „Pięćdziesięciolecie uniwersytetu petersburskiego (t. VI, 1—58), i po kilku latach prób i wahań w wyborze między starą wszechnicą krakowską a nowopowstającą Szkołą Główną w Warszawie, obrać wypadło zawód palestrancki, trudy nieutorowanej jeszcze wtedy w Rosyi praktyki obrończej pochłaniały tyle energii, czujności, rzutkości, że na biadania i mizantropię nie starczyło już i czasu. A przytem — powiada Spasowicz z innego jakiegoś powodu — dodać trzeba, że pośród najdotkliwszych męczarni myśli skołatanej i nieraz z tropu zbitej, „nie doznało się nigdy ani krzty rozpaczy,—tego, co się nazywa pesymizmem, brakiem wiary w siebie i nadziei na znośniejszą przyszłość". Ślady walk cięższych i ostrzejszego zniecierpliwienia pozostały jedynie w stylu, w owych jego „chropowatościach", które, lubo nieliczne, ale dlatego właśnie, że tak nieliczne, nie naraziłyby może całości na stratę, gdyby w podobnej edycyi zheblowane zostały. Tylko, że znów byłoby to najformalniej sprzeczne z godłem autora, który w bardzo wysoko nastrojonem poczuciu odpowiedzialności publicystycznej zawczasu i z góry oznajmił: „pisarz, przystępujący do zbiorowego wydania dzieł swoich po upływie sześćdziesięciu lat wieku, z konieczności czyni coś podobnego do r a c h u n k u s u m i e n i a,

a nieraz odbywa rodzaj spowiedzi"... Bądź co bądź, ten wstręt Spasowicza do „frazeologii", do „fałszu", początkami swymi sięgający fatalnej daty 1846 r., ta jego żądza dochodzenia realnej prawdy „i tylko prawdy", te nerwowe niemal stronienia od „nierozważnych zachwytów i poetycznych złudzeń", — nie zawsze się oglądały na dobór słówek słodkich i uprzejmych dla swojego społeczeństwa.

Ta ciętość wysłowienia, ta skłonność do nazywania rzeczy po imieniu, granicząca w razach drażliwszych z opryskliwością, nie jest przecież pozbawioną w pismach Spasowicza pewnej cennej zalety z naddatkiem równoważącej niedogodności: nie jest ona jednostronną, nie wierzy wyłącznie w przeciwników, — dosięga i przyjaciół.

Odbiło się to na opracowaniach o działalności publicznej Margrabiego (t. II, str. 233 — 328; t. III, 1 — 315). Nie każdy z nas zgodziłby się na taką dla siebie „apologię"... „Niewłaściwe, niezręczne wzięcie się do rządów, brak giętkości, taktu" (II, 240); wygórowane wyobrażenie o sobie, lekceważące traktowanie ogółu, wtedy gdy prawdziwie „wielki człowiek, jak posąg, stać może tylko na podstawie narodu: wytrąćmy podstawę, posąg się wywróci" (245); gdyby margrabia żył dotąd, inaczejby się niezawodnie zachował wobec społeczności, on, który w swych „Myślach i uwagach" zapisał: „chodzi o to, aby rzecz, której człowiek służy, a nie oddzielona od rzeczy jego osobistość górę wzięła" (246); był nietylko uosobieniem dawnej dewizy domu Myszkowskich, od którego pochodził po kądzieli: *frangas, non flectas*, lecz lubił jeszcze szermować i drażnić, nie wchodząc w to wcale, jak trudne walki musiały z sobą staczać sumienia spółczesnych, — nie namawiał i nie pokonywał, „a narzucał tylko wszystkim swoją dyktaturę" (252); żaden kapitan nic nie dokaże, gdy go załoga okrętowa nie uznaje (253); brał ster w swoje ręce, nie oglądając się na to, że zapracował był na „niepopularność jedną z największych, jaką kto w Polsce w tym wieku posiadał" (256); nie zawsze trafny wybór ludzi, niewłaściwe załatwianie się ze stosunkami, z którymiby lepiej sobie poradziła nawet mierna zręczność (266); jak się to stało, że człowiek tak praktyczny, tak wyłącznie skierowany ku temu, by ludzi i stosunki na korzyść swych pomysłów obracać i wyzyskiwać, starał się jakgdyby umyślnie drażnić publiczność i zawady sobie pod nogami piętrzyć (267); wśród milczkiem aż dotąd funkcyonującej machiny biurokratycznej nie mógł się rozstać z dawnym nałogiem żywego słowa i próbował rządzić mowami, gdy może skuteczniej i prościej byłoby, nie narażając sobie nikogo, rządzić samymi tylko dekretami (277); w ogólności wielkie to szczęście, że warunki, nastroje i charaktery, wśród któ-

rych się rozstrzygał dramat lat 1860—64, zapadły w otchłań czasów minionych, stały się s t a r o ś w i e c c z y z n ą niepowrotną, i że podrastają już (1882) nowe pokolenia ludzi, którzy widocznie są, „daleko rozsądniejsi, cierpliwsi i praktyczniejsi od swych poprzedników" (III, 4); ta staroświecczyzna ciężyna Wielopolskim przedewszystkiem swą szlachetczyzną butną, zarozumiałą, uważającą niemal świat cały za zbiorowisko półgłówków i półludzi, tak, iż nawet sławny list z r. 1846 do Metternicha był rodzajem „kruczka adwokackiego", wędką zarzuconą na cudzą łatwowierność (51); do objawów takiejże szlacheckiej staroświecczyzny zaliczyć należy i akt samowoli, czyli raczej swawoli, — rozwiązanie Towarzystwa rolniczego, ostre, przykre, niewymotywowane, wyzywające (151, 220); przytem upór, szorstkość, popędliwość, nie wiele ustępująca takimże ułomnościom Bismarcka, z tą różnicą niebotyczną, że realizm w polityce niemieckiego męża stanu i dyplomaty miał twardy grunt pod sobą i plecy za sobą (225), tymczasem nawet i d e a, którą Wielopolski przynosił na grunt nieprzygotowany, zawieszoną była jakby w powietrzu, nie miała ani współczucia, ani odgłosów sympatycznych, „a jeszcze mniej stronników jawnych" (241); tej zaś nieumiejętności zastosowania się do warunków domowych towarzyszyła bardzo tylko ogólnikowa i powierzchowna znajomość Rosyi (242); ostatecznie tedy całe to zjawisko, godne więcej podziwu, niż naśladowania, „wykute jakby z jednej sztuki marmuru", sprowadza się niemal wyłącznie do illustracyi niemożliwego założenia: *moi tout seul et c'est assez*, do dumnego oczekiwania na pomyślną chwilę od r. 1846 do 1861 (263) i do samotnych, okrutnych, rozpaczliwych pod koniec życia rozmyślań nad tem co się stało (301).

Nie można Spasowiczowi brać za złe, że lęka się złudzeń, jak ognia. Ale czy życie, treść jego, realna i rzeczywista, choćby uzbrojona najcelniejszymi zasobami rozumu, wiedzy, charakteru, sądu krytycznego, przezorności wytrawnej nie wygląda często złudniej jeszcze nad złudzenie samo? — zwłaszcza złudzenie nie z tego świata, — w sztuce, literaturze, poezyi? — Spostrzegamy w tej chwili znane nam z osobistego obcowania zakłopotanie autora „Szekspirowskiej historyi tragicznej", łapiemy go tu na gorącym niemal uczynku czegoś wielce tym razem zbliżonego do „sprzeczności" zasadniczej. Jest to bowiem jeszcze jeden bodaj czy nie najwybitniejszy rys umysłowej i moralnej konstytucyi Spasowicza, że pomimo chwalonej, zalecanej, przestrzeganej i systematycznie praktykowanej trzeźwości wcale nie gardzi czarą, nigdy od żadnej nie stroni biesiady, a ma za pewnik bezwzględny, absolutny, wyższy od wszel-

kich tryad heglowskich lub ewolucyi spencerowskich, że „koi troski nektar boski”... Czy jest romantykiem lub klasykiem, idealistą lub realistą? — Romantykiem?! idealistą!? — ale niech się wam o tem nawet nie śni. Idealizm, według niego, zawiódł nas na manowce, romantyzm „zgubił“...? W polityce, naturalnie, w politykowaniu i politykomanii. Dla ludzi, lubiących spory niemieckie o słowa, romantyzm ten właził wprawdzie w politykę, jak poncki Piłat w *Credo*; ale istota rzeczy jest bezsporną. Mieliśmy i takich polityków romantycznych i takich romantyków politycznych. Z jednymi i drugimi Spasowicz obchodzi się, jak zwykle, surowo. Szemrano podobno w swoim czasie na niego za szorstkie obejście z kilku strofkami Pola o „Słowie a sławie”, — utworze lirycznym „nadzwyczaj pięknym, pociągającym grą kolorów i blaskiem myśli brylantowych”, lecz nie stwierdzającym ani przypuszczenia Ujejskiego, jakoby z punktu polityki była to pieśń głębokiej treści, ani porównania Szajnochy, który wnioskował, że „poezya ta jest gołębicą potopu albo ptaszyną, której świegotanie nad wędrownym okrętem zwiastuje blizką przystań“ (I, 175). Spasowicz, analizując poetycki ten panslawizm Pola, wytkany z przesłanek katolicko-zachodnio-słowiańskich, cytuje ustępy, których „czar tak jest wielki, a barwy tak jawne“, że na chwilę znika przed nami nietylko Słowiańszczyzna jakakolwiek, lecz świat cały. Przypomnijmy tylko sobie:

My walczym słowem, nie dłonią,
Ludzkość przymierzem, Słowo puklerzem —
I to broń nasza, w to wierzym!
Lud zbestwić można, lecz nigdy zmienić!
Kto lud przerabia, nie zna go cenić,
I biada, biada, Słowianie,
Jeżeli wzorem zachodnich trudow
Albo południa rozumem,
Albo rozumem środkowych ludów
Zechcecie władać tym tłumem.
On nic nie przyjmie, wszystko odeprze;
Nam tylko pojąć to, co w nim lepsze,
Nam tylko płynąć po strudze.
Niech w nim dojrzewa to, co w nim leży,
Niech idzie, kędy mu droga;
Nam — w to uwierzyć, w to, co on wierzy,
Reszta — do czasu i Boga...

Tak, to poezya, niezaprzeczona poezya. Najczystsza, najrzetelniejsza, jak złoto święcone, jak westchnienie podniebne — wznio-

sła poezya. Ludziom zgorzkniałym, sędziwym, i tym nawet krew odżywcza bije do skroni na jej odgłos. Ale poezya, tylko poezya. Ktoby z tego złota chciał wznosić pałace czy chaty na dziś, ktoby westchnieniem ocalić i zcalić pragnął kawałki znikającej pod stopami ziemi, ktoby podług hasła, skierowanego ku Polsce, „Co złe u Ciebie to wszystko dały te rozumy cudze“, wyrównać zamierzył obecne stosunki społeczne, — temu należałaby się odprawa, cięższa jeszcze stokroć od danej przez Spasowicza autorowi broszury z roku 1872: Bredzisz, a mniemasz, że kogo innego, nie siebie oszukujesz. Prawo przeobrażania się narodowości w rasy nie istnieje, jest ono przeciwne historyi, jestto poprostu wymysł lub obłęd. „W ogólnym biegu wypadków historycznych rasa jest zawsze faktem pierwotnym; dopiero ze zlania się rozmaitych ras powstają narodowości rozmaite; narodowość, która się już wyrobiła i wykuła, zachowuje silnie swój stempel i za nic w świecie nie zgodzi się roztopić napowrót w rasę, pogrążyć się znowu w rasowej nieokreślności i bezróżni“ (II, 215). To samo w interesie godności narodowej i ogólno-ludzkiej, nietykalnych praw etyki, dobrej wiary i bezpieczeństwa powszechnego powiedzieć trzeba o romantyce wallenrodyzmu, której Spasowicz poświęcił niedawno dwa swoje odczyty w Charkowie na temat, znany publiczności naszej od lat dziesięciu (I, 362). To samo jeszcze, przez dbałość o najprostsze, najbliższe względy samozachowania i obrony zachwianych podstaw bytu zbiorowego, stosuje się do gmatwaniny reminiscencyi irydyonowskich lub kordyanowskich, wytkanych na tle niezwykłego, mesyanicznego posłannictwa narodu polskiego w rodzinie ludów europejskich,— do siatki owych półsnów i półmarzeń, które, powtórzone na jawie, w głowach młodzieży, w gwarze ulicznym, w ceremoniach kościelnych, złożyły się w parę lat po wojnie krymskiej na chaos zdarzeń, niepodobnych do zakwalifikowania; Spasowicz zwie go na jednej i tej samej stronicy raz „cudem“ (III, 108), drugi raz „zabawą“ (109), to znowu, o parę kartek niżej, pospolitym „refleksem“ długich rządów księcia Warszawskiego lub „raną“ zaognioną. Wszystko razem — i te chłopomańsko-słowianofilskie idealizacye Pola i ta nieporównanego wdzięku sielanka archeologiczna z czasów Witolda, „więźnia, przyjaciela i zdrajcy krzyżaków“, i wreszcie cała ta nieboska komedya życiem przeplecionych, życiem omal że nie przypłaconych odgłosów poetycko-religijnych, mistycznych, dyplomatycznych, historyozoficznych, średniowieczno-rewolucyjnych, powstańczo-zachowawczych, sprowadzonych z mlecznej drogi natchnienia na padoły powszedniego istnienia ziemskiego, pospołu z metodą mierzenia sił na

zamiary, pospołu ze strategią zdobywania armat kijami, a fortec postem i modlitwą, — wszystko to, według Spasowicza, „maskarada“ romantyzmu, wszystko to romantyka, sparodyowana spóźnioną lub zawczesną zachcianką czynu.

Ale nie zachcianką jałową, nie parodyą, nie maskaradą — sam ów romantyzm poetycki, sam ów idealizm szczytny, co, rozbłysnąwszy w pierwszej połowie kończącego się stulecia w utworach Mickiewiczów, Krasińskich, Słowackich rozciągnął nad nami dyrektywę dusz, nie zaś ramion, co nam serca podbił, nie zaś w głowach poprzewracał, co nas w uczuciach podniósł i odrodził, nie zaś dzwignie rozumu w nas powykręcał i zwichnął. „Niezależnie od nauki, niezależnie nawet od sztuki -- uczucie jest zbyt cenną rzeczą, jako siła czysto moralna, nie zaś polityczna; sił tych niewiele jest w życiu, i, jeśli się znajdzie która, przykładająca się do tego, by w stosunkach domowych i ojczystych być czystym, z obcymi zachować największą uczciwość i godność, uznawać jakieś prawidła postępowania, niezależne od podszeptów interesu osobistego, jakieś pojęcie obowiązku, — niewolno lekkomyślnie pozbawiać się tej siły, zwłaszcza w naszym wieku, odznaczającym się wogóle zwolnieniem obyczajów, spaczeniem i upadkiem charakterów, brakiem ideałów"... „W chwili obecnej skłonni jesteśmy potępiać romantyzm, składając nań winę wszystkich ostatnich klęsk i niepowodzeń, ale czembyśmy byli bez niego, to i określić się nie da. On nas odrodził. W ogniu tego uczucia nasz patryotyzm oczyścił się, spotęgował; nasza narodowość doszła do świadomości, zbyła się naśladownictwa, stała się umysłowo samoistną, rozwinęła skrzydła. Bez romantyzmu bylibyśmy może przepadli, wynarodowili się w prędkim czasie; dziś posiadamy czarem pięknej formy uwiecznione uczucia, które na wieki wystarczą i z pokolenia w pokolenie przejdą; na nich opiera się, jak na epoce, pewność naszej przyszłości" (II, 230, 300).

Przypisując romantyzmowi tak wielkie i dobroczynne znaczenie, nie dziw, że Spasowicz dołożył niemało usiłowań w celu głębszego i wszechstronniejszego zbadania źródeł, z jakich odżywczy potok wypłynął, warunków jego powstania i rozwoju w dziejach literatury nowoczesnej, rozgałęzień na gruncie piśmiennictwa ojczystego i zagranicznego, tudzież rozmaitych odmian i wpływów, jakich doznał lub jakim uległ w następstwie wzajemnego z sobą krzyżowania się jego odnóg, licznych i do nieskończoności zawiłych. Dochodzenie było tem potrzebniejsze, że po dziś dzień niełatwoby odpowiedzieć na pytanie, czem właściwie jest, czem był romantyzm, jako kierunek reformatorski, na czem się zasadza lub zasadzała moc

jego przesłanek pięknotwórczych. U nas, początkowo, pomimo rozgłosu walki romantyków z klasykami, pomimo dzieł i rozpraw Brodzińskiego, pomimo sławnej repliki Mickiewicza krytykom i recenzentom warszawskim, pomimo nawet wywodów Mochnackiego i Grabowskiego, sprawa nie przestawała nurzać się w jakiejś gęstej mgle nieporozumień, z poza której wyłaniać się mogły określenia najdowolniejsze: naiwna sielska prostota, awanturnicza średniowieczna rycerskość, świat cudowności gminnej, zwrotki reakcyi katolickiej, połyski humanizmu rewolucyjnego, poloty w przyszłość fantazyjną, odwroty w przeszłość rzetelnie klasyczną (w przeciwieństwie do pseudo-klasycyzmu), ody do bóstwa i hymny do natury, — słowem, wszystko. Chateaubriand i Wiktor Hugo — romantycy; Goethe i Schiller — romantycy ; Shakspeare i Dante — romantycy; Homer i Eschylos — jeszcze romantycy. Zaiste, za wiele honoru dla Racine'a, Cerneille'a, Boileau i Dmochowskiego reprezentować we czterech cały klasycyzm umysłowości ludzkiej! Do rozgmatwania kwestyi Spasowicz zabrał się najpierw w szeregu monografii o bajronizmie. Byron-to romantyzm w kwadracie, to „Napoleon romantyki w rymie"; wpływ jego na celniejszych w wieku XIX-m przedstawicieli poezyi w ziemiach słowiańskich jest niezaprzeczony; wykazać, gdzie i jak się ten wpływ uwydatnia, to jedna połowa roboty; połowy drugiej, znacznie cięższej, dokona się przez ujęcie zagadnienia z frontu, przez pokazanie, skąd główny prąd odnowienia trysnął i jakimi dopływami zasilał się w drodze. Nie można powiedzieć, żeby obu zadaniom autor nasz sprostał w sposób równie szczęśliwy. Jego monografie porównawcze jak np. „Bajronizm Mickiewicza" (I, 308 i nast.), „Bajronizm Puszkina" (V, 239 i nast.), „Bajronizm Lermontowa" (283 i nast.) i t. d., literalnie się duszą z braku powietrza, w tłoku zaznaczeń, przytoczeń i świadectw dowodowych. W ramach dziennikarskiego artykułu lub publicznego odczytu (trwającego przypuśćmy półtorej, dwie godziny) mieści się zazwyczaj wóz cały notat, faktów spostrzeżeń, zestawień. Wspominając o początkach swojego zawodu profesorskiego w uniwersytecie petersburskim (VI, 25 i nast., VII, 280 i nast), Spasowicz powiada: „nie poczuwałem się do żadnego daru improwizowania wykładów; wszystko, com mówił, musiałem od początku do końca napisać, a materyału do wykładów musiałem przygotować tyle"... Właśnie, tyle przygotowanego materyału nabawiało słuchaczów bólu głowy, prelegent zaś, piętrząc dokoła siebie stosy cytat, zamykał się w nich, jak w więzieniu, z któ-

rego zaledwie chyba jakimiś gestami lub pukaniem o ścianę miał czas objaśnić, co przez te cytaty rozumieć należy i do czego one się odnoszą, z czem się wiążą, dokąd dążą. A ponieważ obok tego przez sympatyę raczej do młodszych swoich towarzyszy, których w części wychował, niźli z prawdziwego zamiłowania drobiazgowo-pozytywistycznej ich analizy, profesor czas jakiś posługiwał się metodą ilości nieskończenie małych, — możnaby mu dziś o każde jego trzy wiersze wytoczyć formalny proces. Dając po latach czterdziestu folgę urazom młodości, wybierzmy parę takich nadmiarem małości przeciążonych usterek, — luźnych i w skutek niedomówienia oderwanych od całości naczelnego wywodu. Porównywając np. niektóre strofy mickiewiczowskiego przekładu „Pożegnania" Child-Harolda z oryginałem, autor zapewnia np., że Byron przepowiada tylko, iż pies, zapomniawszy dawnego pana, ukąsi go za powrotem, ale nie przypuszcza, jak u Mickiewicza, iż się wściekne... „wściekłą powita paszczęką"... Ależ najmocniej przepraszamy: Mickiewicz nie ma na myśli wścieklizny, tylko wściekłość, gwałtowny, szalony, zajadły napad. Czterowiersz ten w świeżym niedawno wydanym przekładzie A. A. (Krajewskiego) brzmi: „Zaskomli pies po panu swym, — nim obcą karmion ręką, — mnie kiedyś za powrotem mym — napadnie ostrą szczęką". Tłómaczenie— wierniejsze zapewno, ale co do siły... — nie wściekłe [1]). W tejże strofce tegoż „Pożegnania" Byron dosłownie powiada: „a teraz jestem samotny na świecie, na próżnem, bezbrzeżnem morzu... *Wide, Wide sea*". Spasowicz utrzymuje, że uczucie osamotnienia w bezmiarze, odźwierciedlone w owem „*wide, wide*", (a oddane przez A. A. K. w dwuwierszu: „teraz na świecie jestem, sam na wód bezmiernej toni"), nie przedstawia się równowarcie u Mickiewicza: „teraz po świecie błądzę szerokim i pędzę życie tułacze". Ba! a jeśli to „morze", tak dobrze Anglikowi znane, nic zgoła nie szepce do ucha polskiego, które go nigdy prawie nie słyszy?... W „Śnie" znowu Byron tak się wyraża: „dziewica wiedziała, iż serce młodzieńca jest zamroczone jej cieniem, — dojrzała, iż był nieszczęśliwy, lecz nie dojrzała wszystkiego"; u Mickiewicza dziewica dostrzegła, „że jej cień, jako całun, padł na jego duszę, i zgadła, że on dla niej ma cierpieć katusze, długie, straszne; nie zgadła, że miał cierpieć wiecznie". Spasowicz kwestyonuje głównie właściwość wyrażenia, „że miał cierpieć wiecznie" —

[1]) Swoją drogą zaznaczamy przy sposobności, że przekład Child-Harolda dokonany dla „Gazety Polskiej" przez p. A. A. K., jest — w całości swej i prawie bez wyjątku w szczegółach — prześliczny.

i nie chcemy sprzeczać się z nim o to, a jeszcze mniej o retorykę „długich, strasznych katuszy"; u Byrona wysłowione to prawdopodobnie prościej, głębiej. Ale dlaczego nasz krytyk, mimochodem zbytkownym, zasłaniającym wrażenie główniejsze ubocznem, zaczepia też i o „całun", nadmieniając, iż całun jest biały, a cień ciemny? Alboż u Byrona chodzi o cień materyalny, towarzyszący światłu?— Nie widać tego wcale. Cień dziewicy, mroczący serce młodziana, — to jej odwzór, wspomnienie, obraz; obraz doskonale może być całunowo białym i spadać na duszę całunowo smętnie, mrocznie.

Za drzewami nie widać lasu. Zużytej i oklepanej tej formułki recenzyjnej niepodobna stosować do przygodnej, dziś już zaniechanej przez Spasowicza maniery rozbiorczej. Las zawsze u niego na pierwszym planie, a z drzew widzisz często nie tylko ich pnie i gałęzie, lecz ich korę, sęki, pojedyńcze liście. Zachodzi jednak niejednokrotnie dziwna metamorfoza. Oto wiosna w rozkwicie, zieleni wszędzie pełno. Spasowicz zamierza pokazać, że wiosna zawczesna zanadto upalna, przesycona zaduchem. Widzicie na tem drzewie liść pożółkły?.... Jeden, drugi, trzeci... Nie dość na tem. Spójrzcie: czwarty... piąty... Nacisk na tę żółtość tak jest wielki, a temat główny („wiosna upalna, zawczesna") tak wiotko, błyskawicznie i ogólnikowo przesunięty przed naszemi oczyma, że otrzymujemy wrażenie — późnej jesieni. Odwróćmy temat: jesteśmy w późnej życia jesieni; staje przed nami najwspanialej rozwinięty wiosenny krzew młodości, — utwór poetycki najczystszego, najwznioślejszego natchnienia (I, 331). Dla czego, za co, z jakich powodów obarczamy go naszem doświadczeniem jesiennem? Jeżeli tak bardzo — a słusznie za złe mamy pseudo-politykom, zagorzalcom, „niedouczonym studentom", że swe kroki na chodnikach regulują wedle niekonsekwetnych motylich dywagacyi romantyzmu, to czyliż sami nawzajem nie wstępujemy w ich ślady, gdy na barwy motyle strząsamy kurz i spiekotę przeżytych przez nas rozczarowań i alarmów? Pieśń wielka sama sobie starczy, — mądrość lat nic jej nie doda i nie ujmie. A gdyby komu spodobało się utyskiwać, że tym sposobem wieszczba, odsunięta od życia, traci żywotność wszelką — odpowiedź na to gotowa: żyjemy nie tylko jutrem. Ten raj „junactwa", oddającego teraźniejszość zadarmo, byle ideał zwyciężył, tradycya umieściła daleko gdzieś za nami, a on najprawdopodobniej przed nami, — nie o milę, „to niech będzie o mil setkę". Nieprawdaż, dobry, kochany nauczycielu?

Spasowicz przytacza (I, 172) prześliczny wizerunek z Pola: „Szedłem bez opatrzenia i bez towarzyszy. I było ciągle i kopno i grudno. Lecz wielkie drogi zdały mi się marne, a małe ścieżki dla ducha niezdarne, tom też torował sobie drogę własną,— i wiecznie było samotnie i ciasno“... Jest to najdokładniejsza podobizna pisarskiej działalności samego Spasowicza, z tą jedną różnicą, że wyłącznie małe ścieżki były dlań za ciasne i za marne; wielkie drogi—cokolwiek mu tam czasami się wydawało—nie zawodziły go w literaturze nigdy. Owym początkom romantyzmu, którego wybujała w Byronie pełnia przyczyniła się do rozkwitu własnych naszych romantycznych początków, poświęconą została (II, 69—201) obszerna praca, stanowiąca, zdaniem naszem, jeden z pierwszorzędnych i najcenniejszych nabytków krytyki nowoczesnej, nie tylko u nas, lecz w ogólności. Rzecz szeroko zakrojona i wysokiego nastroju, w pełni wyrazu europejska: świątłą, rzutka w rysunku, barwna w obrazowaniu, zasobna w dowody, geometrycznie niemal ścisła w rozumowaniach,—bez dyalektyki, bez przesady i bez krasomówczych wybujałości, któremi krakowskie szkoły estetyków przekarmiają nas od czasów Kremera. Wszystko tu dopełnione, dopowiedziane, wyświetlone, wykazane. Wolisz poprzestać na urywku?— owszem—urywek zaokrąglony i uwypuklony, jak rzeźba. Ale całość lepsza. Zszarzanego porównania do rzeki uniknąć wprawdzie niepodobna; tylko-że nie jest to rzeka u swych tatrzańskich wierzchowin, ani u swych żuławskich nizin,—coś w rodzaju Niemna za Grodnem: porządnie ocembrowana, dostatnio spokojna, aż nadto głęboka i mocna. Są tu rafy, mielizn niema; ostro spadzista, a bez wyskoków, szumna, a bez szumowin. Oto jest stary Jan Jakób Rosseau,— nie polityk, nie twórca powszechnej ustawy społecznej rodu ludzkiego, lecz inicyator romantyki nowoczesnej, ojciec „Wyznań” i „Nowej Heloizy”,—trochę samotnik-doktryner, trochę mizantrop-ideolog, naiwny cynik, niezmiernie tkliwy, wielce namiętny, prawie lubieżnik, ale tylko w głowie, w myślach,— kawałek jakby zawcześnie przeniesionego na pobrzeża Lemanu i do Montmorency filaretczyka z nad Szczary i Swisłoczy, nie smorgończyk, ale po smorgońsku uparty i zacięty weredyk-teoretyk. A oto jest społeczeństwo, wśród którego nagle zjawia się ten intruz genewski, „łamiący wszelkie konwenanse, depcący światową przyzwoitość, podnoszący czystość i godność zachowania się indywidualnego do wysokości obowiązku i cnoty, nakazanej wewnętrznym głosem natury”,— społeczeństwo, złożone z najwykwintniej i najstaranniej ogładzonych samolubów i niewolników przyzwoicie rozkosznego konwenansu

Co taki zacietrzewiony warchoł mógł powiedzieć tak rozsądnie głupiemu otoczeniu? To, co powiedział Rosseau: „oczytane, podłe, obłudne i szarlatańskie, dużo, a nic nie mówiące, pełne dowcipu bez źdźbła twórczości, bogate w słowa, bezpłodne w pomysły, obcisłe, ogolone, zręczne, fałszywe, pokładające wszystkie powinności w etykietkach, mankietkach i żabotach, całą moralność w kuglarstwie, pojmujące ludzkość tylko w drygach i ukłonach,— otoczenie komplemencistów i oszustów”... A co otoczenie, załamujące się pod ciężarem politury i śmiertelnie znużone monotonnością wydętej i wykrochmalonej nicości, odpowiedzieć nawzajem mogło temu obnażającemu się do podkoszuli impertynentowi? To właśnie, co zapoczątkowanej przez Rousseau'a rewolucyi odpowiedział wiek XVIII: „Tak jest, to p r a w d a”.

Tu ręką dotykamy się chłodnej, zdrojowej, z ziemi tryskającej wody niemnowej i w dłonie zaczerpnąć możemy wszystkie, co do jednej, krople romantyki XIX stulecia. Tu, w tych kilku niepoczesnych napozór słowach podpatrzeć możemy z pomocą prostego promienia dedukcyi zarówno marne, jak i niespożyte ognie współczesnych naszych ideałów — i tych tam, które onegdaj zamarły pod płytą grobowca w Saint-Malo, i owych tu, które od wczoraj z ręką na sercu wskazuje posąg Krakowskiego-Przedmieścia, i tamtych kędyś, nienarodzonych jeszcze, które dziatwa podwawelska niemowlęco bełkoce... w „Życiu”. Szekspir? Byron? — Ależ cały Byron i cały Szekspir tkwią w proteście i odwołaniu się Rousseau'a do „prawdy” i „natury”,—nie natury i prawdy przyrodniczej, biernej, brutalnie-ożywionej, ale natury i prawdy, jak ją jeszcze niegdyś Mickiewicz określił w Szekspirze i Byronie, powiadając: „Szekspir dojrzał najwięcej p r a w d y w sercach i dziejach ludzkich; Byron jest w prawdzie, ale tylko w prawdzie własnych uczuć swoich”. A może chcecie wiedzieć, czem jest dusza naga, zapuszczająca się w ciemne, nieokreślone, szaro i zamętnie bałwaniące się swe otchłanie? Czem wszechświat nieogarniony, ze swoją kopułą gwiaździstą nad ziemią i człowiekiem, — istotą lichą, która się od tych gwiazd lub z ich powodu nauczyła wymiarów czasu, przestrzeni, siły, zwanych prawami, i która od tej ziemi wydarła sekret panowania nad dotąd ogarniętemi i uświadomionemi przestworzami bytu? I to również znajdziecie u Rousseau'a, przekazane i przelane, w dozach naparstkowych lub kubłami, na legiony jego wyznawców, zwolenników i wielbicieli, od zachmurzonego po olimpijsku Goethego w Wertherze aż do erotycznych majaczeń Żeligowskiego w „Jordanie”, od 9-ej symfonii Beethovena aż do najpierwszej partycyi Że-

leńskiego „*Na prej zastava slava*”, od kategorycznego rozkazu Kanta: czyń swoją powinność aż do komunii dusz Przybyszewskiego w androgynie powszechnej... A gdyby i po tem jeszcze zachodziła wątpliwość, czem jest, według Rousseau'a, czująca i zdająca sobie sprawę jaźń ludzka, piastowana na matczynem łonie przyrody, czytajcie u św. Pawła romantyzmu, u Byrona: „Państwa padają, dzieła sztuki bledną, ale natura nigdy nie umiera”... „Nie z gliny — ducha utworów istota: są nieśmiertelne, i z nich się wytwarza to czyste światło, które tak rozżarza w nas pożądanie lepszego żywota”.... „Lecz są zjawiska w rzeczywistym świecie, przewyższające dzieła wyobraźni, rysami, barwą, mówiące wyraźniej, niżby się skreślić udało poecie”.... „A przecie podziwiaj geniusz, co wykuł w marmurze piękno, jakiego nie bywa w naturze... Skądże wziął rzeźbiarz takie kształty cudne? — Z nieba; natura tak piękną nie bywa”... „Wszelakoż, choć do miłości bliźnich się poczuwam, to nadewszystko naturę miłuję; z nią w obcowaniu z siebie się wyzuwam, z tego, czem jestem lub byłem, — i czuję, z wszechświatem zlany, rozkosze tak błogie, że ich wyrazić — ani skryć nie mogę”... — To duch, to natura, — i znów to natura, to duch! I dla tej to zapewne przelewności fal niegdyś uroczych, jak skarga Aldony z wieży, twardych, jak pieśń Wajdeloty, powiada Spasowicz, jak gdyby na zamknięcie wciąż jeszcze otwartej kontrowersyi: „Nie dla nas dzisiaj pora składać senne głowy na wonnej poduszce poezyi romantycznej, która w swoim czasie pędziła ludzi do bitwy, a dzisiaj zmieniła się w miękkie wezgłowie dla wahania się i bezruchu” (II, 328).

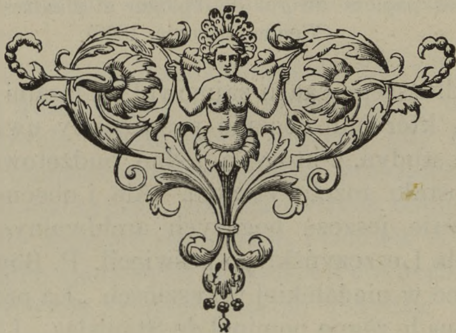
Geneza romantyki nowoczesnej nie jest ani pierwszą, ani ostatnią rozprawą, z której dokładnie poznajemy charakter i stopień natężenia, do jakiego sięga umysł Spasowicza. Ale na podstawie tego opracowania łacniej, niż z każdej innej wyniosłości, objąć całość tego widnokręgu, wśród którego publicysta nasz zajmuje przynależne sobie stanowisko. Niewątpliwie Taine prześciga Spasowicza zdolnością syntetycznego układania przy jednem, w głowie rozpalonem ognisku najrozmaitszego, z czterech końców świata ściągniętego paliwa. Saint-Beuve nieraz zapewne przed laty zaimponował naszemu autorowi swym wspaniałym epikureizmem estetycznym, rozsiadającym się jak na tronie do ferowania wyroków, po królewsku zawsze pobłażliwych, ale też i wszechwładnie zazwyczaj rozgadanych, na wieczorkach np. poniedziałkowych w Tuilleryach lub Palais-Royal, gdzie przepieprzonemu smakowi koronowanego znawcy trzeba było dogodzić i z przesłodzoną wykwintnie niewieścią nieznajomością rzeczy rozminąć się nie było sposobu. Z mistrzów żyjących Lemaître bez

porównania zręczniej, subtelniej wyżyłowuje psychologię jednostki, a wprawniej, swobodniej rozśrubowuje i z naleciałości oczyszcza skomplikowany mechanizm subjektu; Brandes znowu o wiele bieglej i zwinniej, założeniu gwoli — przetrząsa, przewraca i odwraca zewnętrzne oświetlenie przedmiotów, przy którem „czarne" wstecznictwa przeistacza się na „białe" postępowości, wierzch czapki frygijskiej na denko mitry książęcej, lice religijności na nice ateuszostwa, szeroki micheletowski piedestał wszechczłowieczeństwa demokratycznego na wysoki carlylowski obelisk nadczłowieczeństwa arystokratycznego — i *vice versa*, gdy trzeba, gdy czasy nastały „takie". Wszystkich ich zostawia za sobą Spasowicz skromną, ale gruntownie opatrzoną spoistością założeń, prostotą i ściśle naukowem podprowadzeniem przesłanek pod odpowiednie wnioski, wreszcie ciągłą, trzeźwą, napiętą bacznością na to, aby się nie zbłąkać w „lesie" głupstw, pustek i niebezpiecznych fantasmagoryi ludzkich. Nie zaślepiający się w poglądach i przekonaniach swych filozoficznych fetyszyzmem sił przyrody, prowadzącej nas niby po omacku do doskonałości na paskach swych praw niezłomnych, stroniący od przesadnej i przesądnej ufności w opiekę wszechwładzy mediumistycznej, czujnie, jakoby, stojącej na straży interesów świata po za widomemi jego granicami, nie dający się też powodować najświeższym widmom jakiejś nadludzkości, co, opróżniwszy cywilizacyjny nasz garnek z dorobku starej oświaty, ma nas kiedyś zniewolić do gotowania w nim nowych, lepszych dla kogoś tam przeznaczeń, — stary uczeń Hegla i Sniadeckich, Cieszkowskiego i Spencera przetrawił w sobie czerstwym i zdrowym swym rozsądkiem kolejno, szeregami nadciągające główne prądy i kierunki umysłowe, a jednocześnie wytrwale trzymał się zasady odwiecznej, dobrze wypróbowanej i stwierdzonej: „rozważnie i twardo stój, człowiecze, na własnych nogach, a Pan zacznie z tobą gadać". To więc i innym stale zalecał: spokój, godność, oględność, umiarkowanie, pracę, — pracę ciężką, na zabój, a rozumną. „Należymy do narodu, który upadł. Jedyny środek, pozwalający nam okazać, że jeszcze coś znaczymy, polega na tem, żeby robić postępy na torach wiedzy i dowieść w sferze nauk i kunsztów, żeśmy jeszcze nie zdziczeli, że żyjemy... Nie wierzę w miłość dla oświaty abstrakcyjnej, pozbawionej kolorytu narodowego, rozważanej w oderwaniu od warunków społecznych i rezultatów praktycznych. Szczęście ludzkie nie urzeczywistnia się w powietrzu; na znośniejszą dolę każde społeczeństwo zarabia trudem krwawym i codziennym i tego dobra posiada zwykle nie więcej nad to, co samo warto. Po klęskach, stra-

tach, katastrofach pozostało nam tyle, co nic, — troska i zachód około domu, gospodarstwa, elementarza, dziatwy, w towarzyskiej uczciwej zażyłości z sąsiadem i chłopem".... (II, 186; III, 183).

O pokoleniach ostatnich, młodszych o jakie lat kilkanaście, Spasowicz po kilkakroć wzdłuż swych „Pism" wyrażał się z uznaniem, że ochłodły, spoważniały, opamiętały się i ostatecznie gorliwie służą hasłu: „co możemy". Jeżeli tak jest w istocie -- a nie kwestyonujemy tu szczerości nieposzlakowanego w tych sprawach przewodnika, lecz tylko zastrzegamy się przeciwko wygórowaniu własnego swego o sobie mniemania, — w takim razie, nie nadużyjemy rzetelności, gdy ze swojej strony nadmienimy, że skutek ten zawdzięczamy, naszem zdaniem, w pewnej mierze — owym właśnie „wolnym chwilom" Spasowicza.

J. T. Hodi.



Rozbiory i Sprawozdania.

Pierre Boyé. Stanislas Leszczyński et le troisième traité de Vienne, d'après les archives d'État, les papiers du roi de Pologne et d'autres documents inedits. (Vienne-Cracovie, 1898).

Autor od dłuższego czasu zajmował się losami króla Leszczyńskiego. Dzieło, któremu obecnie poświęcimy uwagę, poprzedziły trzy pomniejsze studya, z których jedno, budżetowi Lotaryngii poświęcone, już zostało rozchwytanem. Ale i obecny poważny traktąt nie wyczerpuje jeszcze bogatych archiwalnych badań, które autor losom króla Leszczyńskiego poświęcił. P. Boyé bowiem zapowiada dwie prace w niedalekiej przyszłości: „La province de Lorraine et Barrois sous le règne nominal de Stanislas. L'intendance de la Galaiziere" i „Stanislas, duc nominal de Lorraine et du Bar. L'homme, sa cour, sa légende". Oczekując z niecierpliwością i rzetelnym interesem zapowiedzianych studyów, rozpatrzymy się w treści obszernego dzieła, którego tytuł pomieściliśmy u góry.

Na wstępie znajdujemy wykaz źródeł, które autor wyzyskał w swej pracy. Wykaz ten jest rzeczywiście imponującym. Autor z niezwykłą starannością przejrzał nie tylko ważniejsze europejskie archiwa, papiery osobiste króla, ale zgromadził mnóstwo druków, po większej części drobnych i trudnych do odszukania, usposabiając tem bogactwem źródeł bardzo przychylnie każdego badacza dla swego dzieła. Rodzinie króla Leszczyńskiego i jego pierwszym występom na arenie politycznej aż do upadku Karola XII poświęca

autor nieco mało miejsca, zaznaczając jednak wszystkie ważniejsze zdarzenia i nie ubliżając w niczem ścisłości historycznej. Dopiero z chwilą, gdy król Stanisław rozpoczął życie tułacze, straciwszy rodzinną fortunę i królewską władzę, rozpoczyna autor bardzo szczegółowe i niezmiernie ciekawe opowiadanie jego niefortunnych losów.

P. Boyé nie jest zachwycony postępowaniem Leszczyńskiego w epoce niedoli i wygnania. Właściwie mówiąc, nie tylko wyrzeka i prosi wszystkich monarchów o poparcie i protekcyę, nietylko że jest gotów uznać rywala wzamian za materyalne pożytki, ale wprost żebrze o zasiłki pieniężne i, pochlebiając nadmiernie jednym, obraża mimowoli drugich. Przez lat sześć od chwili opuszczenia kraju, mieszkając w Wissembourgu, nie zachował Leszczyński nic ze swego majestatu prócz dolegliwości i niebezpieczeństw. W październiku 1724 r. zorganizowano nawet spisek do współki z bandytami w okolicy tego miasta i postanowiono przedewszystkiem zgładzić ze świata osobę królewską, która nawet w upadku niedogodną była Augustowi II. W Wissembourgu także zamierzał Leszczyński wydać swą córkę za niejakiego de Courtanvaux, ale ponieważ rzeczony młodzieniec nie mógł zostać ani dukiem, ani parem, przeto ułożony związek rozchwiał się zupełnie.

W liście kandydatek do małżeństwa z Ludwikiem XV, ułożonej z niezmierną troskliwością przez ministeryum, córka Leszczyńskiego nie znajdowała się zupełnie. Dopiero, gdy Ludwik XV zachorował nagle, ministeryum postanowiło przyspieszyć małżeństwo i wybór padł na Leszczyńską, jako na związek obojętny politycznie. Liczne przeszkody usunięto szczęśliwie, i Ludwik XV poślubił córkę Stanisława, pomimo zjadliwych szyderstw i dokuczliwych potwarzy, któremi w oczach króla Francyi chciano zohydzić młodą królewnę. Ostatecznie pogodzono się z myślą, że Francya nie jest tak, jak Austrya „felix nube”, i przyjęto powszechnie Leszczyńską za królowę Francyi. W życiu króla Stanisława zaszły pewne zmiany, nibyto na lepsze. Pobyt w Wissembourgu zmienił on na rezydencyę w zamku Chambord, który zewnętrznie był okazałym, ale przedstawiał mało wygód, a na zimę był zbyt ponurym. Pensya jego pozostała skąpa, i teść króla Francyi był w rzeczywistości w niedostatku i starał się o zaciągnięcie pożyczki na dobra swojej żony. Rezydencyę w Chambord, której nie był w stanie urządzić wygodnie, nazywał swoją pustynią, a od króla Francyi i od rządu doznawał dotkliwego upokorzenia. Za owe okruchy chleba, które król Stanisław otrzymywał od Francyi, musiał się wdawać w poniżające

układy dyplomatyczne, aby jednemu z Bourbonów dopomódz do osiągnięcia księstwa Neuchatelu. Uczuwał się on w dalszym ciągu na wygnaniu i jedynie tem się mógł pocieszać, że opinia publiczna uważała go za najpoważniejszego kandydata do tronu polskiego po śmierci Augusta II.

Zgon jednak owego monarchy nie następował tak szybko, a nareszcie, gdy wieść o nim doszła do Francyi, zła wola i brak decyzyi kardynała Fleury nie pozwoliły należycie wyzyskać okoliczności na korzyść króla Stanisława i sformować spoiście i silnie jego stronnictwa. Wprawdzie wybór króla Stanisława przeprowadzono na polach Woli, ale malkontenci skonfederowali się na Pradze i przeprowadzili przy pomocy wojsk sprzymierzonych wybór Augusta III we wsi Kamień. Opis tych stronniczych zabiegów, zachowanie się wśród kampanii elekcyjnej Leszczyńskiego, jego ucieczka do Gdańska, pobyt podczas oblężenia i wyślizgnięcie się Münichowi w przebraniu i wśród nocy nie przedstawiają pod względem ścisłości nic do życzenia, a opowieść, zawierająca wiele nowych szczegółów, jest niezwykle ciekawą i interesującą. Uporczywe oblężenie Gdańska przekonywa, że, o ile nieliczny oddział Francuzów wraz ze stronnikami Leszczyńskiego okazywał militarne wyrobienie i niezwykłe męztwo, o tyle sam król Stanisław nie posiadał w swych żyłach ani odrobiny krwi rycerskiej. W najkrytyczniejszych chwilach, zamiast obecnością swą wesprzeć walczące za niego szeregi, widzimy go na rynku, klęczącego i wzywającego obecnych do wspólnej modlitwy. Prócz tego w bombardowanym Gdańsku, będąc w niezwykle trudnem położeniu politycznem i finansowem, nie omieszkał król Stanisław zawiązać stosunków miłosnych z pewną arystokratką polską i pozostał w tym nastroju miłostkowym już do końca swego niezwykle długiego żywota.

Następny pobyt króla Stanisława w Królewcu, odwiedziny jego u króla pruskiego w Berlinie i poznanie się z późniejszym Fryderykiem II opisane jest przez p. Boyé równie dokładnie i interesująco. Po powrocie Leszczyńskiego do Lotaryngii spotykamy go, mieszkającego w Meudon, później w Lunewillu. Wojna, która ostatecznie przyniosła królowi Stanisławowi nominalne księstwo Lotaryngii i Baru, przedstawioną została szczegółowo, a nie brak w dziele p. Boyé i drobnych szczegółów, dotyczących życia domowego króla Stanisława. Dowiadujemy się np., że król Stanisław podzielał pod względem zmysłowym słabostki Ludwika XV-go i że nawet po śmierci jego żony córka pragnęła go ożenić, ażeby tym przyzwyczajeniom ojca nadać przyzwoitszą sakramentalną

formę. Po śmierci Augusta III Leszczyński łudził się przez chwilę, że go wybiorą na tron, i, jakkolwiek ciężył mu wiek podeszły, był gotów poświęcić się dla kraju. Jak wiadomo, mocarstwa ościenne położyły szybko kres owym starczym illuzyom.

P. Boyé uważa króla Leszczyńskiego za wiekuiste dziecko, którego charakter nie stanął nigdy na wysokości zadania. Odmienne koleje losu mogłyby dlań zdobyć wyrozumialsze wyroki historyi, cóż, kiedy swem upakarzającem postępowaniem psuje sobie opinię i pozbawia się niekiedy sympatyi. Portret historyczny Leszczyńskiego, jaki nam podał autor, uważać można za słuszny i sprawiedliwy. Sądzę jednak, że twierdzeniu autora, jakoby dzieła Leszczyńskiego, a przedewszystkiem jego „Głos wolny, wolność ubezpieczający”, były napisane przez Załuskiego i Solignaca, są zupełnie bezzasadnem przypuszczeniem. Nic za podobną hypotezą nie przemawia, a manuskrypt „Głosu wolnego”, znajdujący się w bibliotece Ordynacyi hr. Krasińskich, stanowi jeszcze jeden dowód przeciwko niej.

A. R.

Dr. Witold Skarzyński. Mikołaj Machiavel i Andrzej Frycz Modrzewski. (Roczniki Pozn. T. 24, zeszyt IV).

Zdaniem autora, zestawienie dwu tych nazwisk wydać się może na pierwszy rzut oka dziwacznem. Cóż bowiem z sobą mogą mieć wspólnego dwaj mężowie, żyjący wprawdzie obaj w XVI wieku, lecz zamieszkali na dwu niemal krańcach ówczesnej cywilizowanej Europy, z których pierwszy, Machiavel, zawód swój polityczny kończył w chwili, gdy Modrzewski go rozpoczynał. A jednakże skądże miałoby być dziwnem zestawienie Polaka z Włochem, skoro stosunki tych dwu krajów były ścisłymi i odrodzenie przeszło wprost z Włoch do Polski. Wzorami też dla obu pisarzów byli: Plato, Arystoteles, Cicero, Liwiusz, Seneca, a nierówność wreszcie ich sławy niczego przeciw równomierności ich wiedzy i bystrości umysłu nie dowodzi. Dotychczasowe przecenienie Machiavela, a zapoznanie i zapomnienie Modrzewskiego (takim bowiem jest faktyczny los, jaki ich spotkał) w całkiem odmiennej naturze ich leży; są oni co najmniej równomierni bystrością umysłu, lecz zarazem, jakoby dwa bieguny, przeciwlegli duchem.

Jak autor utrzymuje, niepodobna wyobrazić sobie rozpaczliwszego położenia politycznego nad to, na które Machiavel

patrzał, i to jest moment, którego z oka spuścić nie można, jeżeli się go chce sprawiedliwie ocenić. Naród, rozdarty na poły przez obcych najezdców, a jako jedyna odporna siła wśród ogólnego rozprzężenia i niedołęstwa, parweniusz, opierający się li tylko na czasowym władzcy Rzymu, tak, że z jego śmiercią, sam politycznie pogrzebany został, oto było tło dziejowe, wsród którego żył i działał Machiavel, a w tej podrzędnej treści dziejów włoskich z początku XVI wieku leży klucz do rozwiązania zagadki, dlaczego mąż tej miary umysłu, co Machiavel, w pismach swych politycznych, a szczególniej w klasycznym swym „Księciu", stworzył ostatecznie karykaturę polityczną. Bystry i przenikliwy florencki mąż stanu i dyplomata do dzisiejszego dnia został wzorem dla mężów stanu i dyplomatów wszystkich części świata. Książę Machiavela odsłonił w oczach ludzi nauki tę prawdę, że polityka po wszystkie czasy była i jest sztuką, nie nauką, że o tyle tylko jest działem etyki, o ile się zajmuje ludzkiemi namiętnościami, obyczajami i uczynkami.

Machiavela Książę odsłonił jeszcze dosadnie i tę prawdę, że dla rządzących państwami nauki katechizmu lub przepisy moralności niezależnej nie zawsze są obowiązującymi, że u góry, w regionach wysokich polityki państwowej i międzynarodowej, ludzkość stoi jeszcze na stanowisku „belli omnium contra omnes" i zasady „siła przed prawem", a to z tej prostej przyczyny, że niema dotąd międzynarodowej siły, któraby była stróżem międzynarodowego prawa i moralności. Machiavel zło konstatuje, a skonstatowawszy uczy, jak się z niem liczyć i jak oddać piękne za nadobne. Stąd też został on mistrzem rzemiosła politycznego, a prawie wszyscy późniejsi mężowie stanu i dyplomaci, czy koronowani, czy nie koronowani, byli w tym kunszcie politycznym jego uczniami, ale on sam nie mógł być prowodyrem ludzkości do wyższych celów i do uczciwszych sposobów działania w polityce.

Duchem, mniej trzeźwym, przenikliwym i praktycznym, lecz o całe niebo moralnie wyższym, był niewątpliwie Andrzej Frycz Modrzewski. Nie potrzebował on troszczyć się o stworzenie narodowego państwa. Rzeczpospolita wielka, królewska kwitła bowiem pod berłem Jagiellonów. Swą poprawą Rzeczypospolitej pragnął Modrzewski odsłonić plamy i wynaleźć środki na ich usunięcie oraz na poprawę błędów, które się do niej zakradły. Już pakta Koszyckie, wymuszone na Ludwiku Węgierskim, były w konstytucyi polskiej pierwszem gniazdem anarchii, które z czasem wyrosło w paktach konwentach na niebezpieczny, śmiertelny w końcu ropień na ciele rzeczypospolitej. Ostatnie badania historyczne wykazały, jak au-

tor utrzymuje, że już skutkiem paktów Koszyckich stan szlachecki wyrósł innnym stanom i władzy królewskiej po nad głowy. Krok za krokiem postępując, szlachta pozbawiła stan mieszczański i chłopa wszelkich praw. Z wolnego i posiadającego ziemię kmiecia z epoki Piastowskiej staje się chłop poddanym pana za Jagiellonów; konfederacya generalna po śmierci Zygmunta Augusta stanowi: że, jak dotąd, tak i nadal, wolno będzie każdemu panu poddanego swego „tam in spiritualibus, quam in saecularibus, wedle rozumienia swego skarcić". Mężobójstwo, popełnione na nieszlachcicu, opłacić mógł szlachcic grzywnami. Za tęż samą zbrodnię, popełnioną na szlachcicu, odpowiadał mieszczanin i chłop gardłem. Stan mieszczański w ogóle poniżony został i zepchnięty ze stanowiska, jakie jeszcze za Piastów zajmował przez prawo, wykluczające mieszczan od posiadania ziemi, wniesione i przyjęte przez sejm za Olbrachta 1496 r.

Obraz, jaki przedstawiała Rzeczpospolita za Zygmunta Augusta, był słonecznym jedynie dla tych, którzy olśnić się dawali blaskiem, bijącym z niej na zewnątrz. Potrzeba było w każdym razie bystrego oka, by dojrzeć czarne plamy na tem słońcu, potrzeba było wprawnej i fachowej ręki, by zapuścić sondę i wydobyć na jaw jad, ukryty w organizmie Rzeczypospolitej. Potrzeba było wreszcie głębokiego wykształcenia prawniczego, społeczno-ekonomicznego i politycznego, by zło zanalizować i podać środki zaradcze przeciwko niemu. Podjął to zadanie w XV wieku Ostroróg, ale Modrzewski uczynił to daleko lepiej i umiejętniej w swem dziele „O Poprawie Rzeczypospolitej".

Modrzewski żąda bez żadnego ograniczenia równego prawa dla wszystkich; domaga się zniesienia przywilejów, zrównania stanów wobec prawa, a tem samem emancypacyi trzeciego stanu, obok stanu szlacheckiego i duchownego,—program, jak autor twierdzi, zrealizowany dopiero w 200 lat z górą przez rewolucyę francuską. Modrzewski łączył w swej osobie nowożytną dumę i poczucie praw ludu z gorącem uczuciem monarchisty. Jest on zwolennikiem monarchii nie tylko elekcyjnej, ale w całem i zupełnie nowożytnem tego słowa znaczeniu konstytucyjnem. Podnosi on przedewszystkiem myśl, że Rzeczpospolita polska nie jest wszystkich obywateli społecznością, skoro pełnymi obywatelami są tylko szlachta i duchowieństwo. Potworną też różnicę w ocenianiu wartości osoby jednego a drugiego stanu, jako całkiem nierozumną i niechrześcijańską, potępił Modrzewski i protestuje nieustannie przeciw

wyłączności przywilejów, doprowadzającej do niemocy najproduktywniejszych stanów w narodzie i do politycznego obezwładnienia całej Rzeczypospolitej.

Nie mniej zaznaczenia godnem jest wystąpienie Frycza przeciw władzy patrymonialnej panów. Chce on, aby nikt rzeczy swej sędzią być nie śmiał, i twierdzi, że nie jest to „ona wolność, która jest w uściech u każdego, ale okrutne niewolstwo iż pan przywłaszcza sobie moc nad żywotem i śmiercią sługi swego“. Nie mniejszą krzywdę społeczną upatruje Modrzewski w odsądzeniu mieszczan od posiadania ziemi, twierdząc, że ziemia nie dla samej szlachty stworzona i że nie tylko szlachta są ludźmi. Modrzewskiego jedyną, ale wielką pomyłką był wybór czasu i ludzi, do których się odzywał; w każdym razie pozostanie on wielkim teoretykiem społeczno-politycznym i wielkim moralistą, a przedewszystkiem wielkim obywatelem swego kraju.

Na tem kończę sprawozdanie z interesującej pracy D-ra Witolda Skarzyńskiego, nadmieniając w końcu, że autor nie uwzględnia literatury naszej, poświęconej zarówno Machiavellemu jak i Modrzewskiemu, polemizując jedynie, gdy mu to było dogodnem, z dziełem pr. Tarnowskiego p. t. „Pisarze polityczni polscy w XVI w.” Tymczasem w XIX wieku dwu pisarzy polskich poświęciło uwagę Machiavellowi. Pierwszy z nich był Lucyan Siemieński, który w 1850 r. napisał broszurę p. t. Machiavelli i jego polityczny system, a w 1851 r. powiększył ją aforyzmami Machiavela; drugim był Żychliński, który w 1861 r. ogłosił rozprawę o Machiavelim w Rocznikach T. P. N. poznańskiego. Prace obu tych pisarzów pominął autor, a to samo uczynił z pisarzami, którzy się Modrzewskim zajmowali. Prócz tego tło historyczne, dane pracom Machiavela, jest zbyt niewystarczające i wzięte jedynie z pracy niemieckiej Thudichuma „Promachiavel”, a tło historyczne, dane pracom Modrzewskiego, sięga za daleko, bo aż o dwadzieścia lat po wyjściu jego Poprawy Rzeczypospolitej. Autor nie zdeterminował ściśle daty wyjścia najważniejszego dzieła Frycza i dlatego do porównania wziął fakta z 1572 r., kiedy tymczasem De emendanda Rca wyszłow 1557, a przedmowa już w 1553 była napisaną. Nie mogę się również zgodzić z autorem, aby Modrzewski napisał program, wykonany w 200 lat potem przez rewolucyę francsuką. Modrzewski nie miał najmniejszego pojęcia o takiej mechanicznej równości (nietylko prawnej, ale i socyalnej), do jakiej dążyła rewolucya francuska. Pragnął on takiego porównania stanów, do jakiego powoli doszła konstytucya angielska, a o prawie natury i absolutnem zrównaniu przemilcza zupełnie. Tymczasem

Machiavel ze swem pojęciem naturalnej równości opanował ewangelistę rewolucyi J. J. Rousseau i przezeń daleko większy miał wpływ na rewolucyę i duchowo był z jej zasadami więcej powinowatym. Wreszcie autor za mało się wczytał w dzieła Machiavela i Modrzewskiego, przez co studyum jego nosi piętno powierzchowności. Z dzieł Machiavela poświęcił uwagę tylko „Księciu“ a i w nim nie zauważył tego, co Thudichum dostrzegł, t. j., że Machiavel za najlepsze uważał stosunki Francyi, gdzie był król z parlamentem, a przez parlament rozumiał on états généraux. *A. R.*

Henryk Struve. „Anarchizm ducha u obcych i u nas“, studyum krytyczne (odbitka z „Biblioteki Warszawskiej“), Warszawa, 1899, str. 63.

Pod anarchizmem wogóle pojmuje prof. Struve zepsucie równowagi i harmonii pomiędzy dwoma koniecznymi czynnikami każdego ustroju: uniwersalnym (przedmiotowym, konserwatywnym) a indywidualnym (podmiotowym, liberalnym); w zakresie życia duchowego do takich czynników uniwersalnych należą prawa logiczne, estetyczne i etyczne, do indywidualnych—poglądy, uczucia i dążenia jednostki; te ostatnie są niewątpliwie przyczyną i warunkiem postępu ducha, lecz postęp wówczas tylko będzie prawidłowy i owocny, kiedy pierwiastki jednostkowe będą w zgodzie z ogólnymi; rozdźwięk zaś pomiędzy nimi, wytworzony przez pierwiastki jednostkowe, jest właśnie anarchizmem ducha. „Anarchizm ducha—powiada autor—polega na poniewieraniu wszelkich praw i zasad ogólnych, obowiązujących rozumnego człowieka w zakresie czynności umysłowych—uczucia, myślenia i woli, a więc i ich wytworów: poezyi i sztuki, nauki i filozofii, religii i moralności. Punktem wyjścia jest dla niego bezwzględny indywidualizm i subjektywizm. Uznaje on wyłącznie dążności jednostkowego osobnika i odrzuca wszelkie bez wyjątku prawa i zasady, ograniczające w czemkolwiek swobodny rozwój najdzikszych nawet zachcianek, najsprzeczniejszych z logiką myśli i poglądów, najprzewrotniejszych czynów osobnika“. Z kolei przechodzi prof. Struve do ogólnej charakterystyki i poszczególnych objawów wybujałego indywiwidualizmu w naszem stuleciu, jako poprzednika anarchizmu ducha: na gruzach filozofii panteistycznej, a szczególniej panlogizmu Hegla, powstały dwa prądy pseudo-filozoficzne — ubóstwienie człowieka i materyalizmu, które dostarczyły indywidualizmowi obfitego pokarmu. A objawami tego indywidualizmu są różnorodne kierunki „modernizmu“ w poezyi i sztuce, jako to dekadentyzm, symbolizm, impresyonizm i t. d. — we Francyi,

prerafaelityzm i estetyzm — w Anglii i t. p. Teoretykiem tego ruchu indywidualistycznego, filozofem anarchizmu ducha jest w Niemczech Fryderyk Nietsche, na którego poglądy w znacznej mierze wpłynął cynizm Heinego i bezwzględny indywidualizm Ryszarda Wagnera. Teorya poznania Nietschego streszcza się w słowach: „*Nichts ist wahr*"!; postulatami jego metafizyki są bezwzględny ateizm i naturalizm, oparty nie na ścisłych określeniach, nie na konsekwentnem zastosowaniu samodzielnych badań metafizycznych, lecz mający swe źródło w nauce Schopenhauera o woli, w pojęciach materyalistycznych oraz w teoryi ewolucyi, których to poglądów Nietsche zresztą należycie nie zna i nie rozumie. Zasadniczym wreszcie postulatem etyki, filozofii życiowej Nietschego jest wytworzenie „nadczłowieka", a jej hasłem: „*Alles ist erlaubt!*" Autor jasno wykazuje potworność tej teoryi, według której chrześcijaństwo np. jest „objawem wielkiego, najgłębszego zepsucia", „nieśmiertelną hańbą ludzkości", ponieważ... głosi demokratyczną zasadę miłości!

Rozwój współczesnego anarchizmu ducha u nas nie jest, zdaniem prof. Struvego, bujny; są już wszakże i u nas pewne objawy anarchizmu zarówno w krytyce artystycznej i poezyi, jak w filozofii, objawy, które zaznacza autor, nie wymieniając wszakże ani jednego nazwiska, z uwagi, że chodzi mu „o rzecz, a nie o osoby"; nietrudno się jednak domyślić, o kim tu mowa, — z tytułów dzieł lub z przytoczonych cytat.

Tak się przedstawia treść rozprawy prof. Struvego; pomimo, iż nie jest ona wyczerpującą historyą „anarchizmu ducha", lecz raczej jej szkicem, daje jednak czytelnikowi pojęcie o jednym z zasadniczych prądów współczesnej umysłowości europejskiej, a przez to ułatwia mu możność krytycznego poglądu na odpowiednie jej objawy. W jakim zaś duchu, z jakiego stanowiska i w jakim celu pisał autor swój szkic, wyjaśniają następujące słowa w zakończeniu: „We wszystkich stolicach europejskich uderzają nasze oko wspaniałe utwory budownictwa od lat tysiąca; obok świątyń, wzniesionych wiarą praojców, na cześć Boga prawdy i miłości, widzimy rozległe pałace akademii nauk, uniwersytetów, bibliotek, muzeów sztuk pięknych, sprawiedliwości, a w ich sąsiedztwie szpitale, urządzone według najnowszych wymagań nauki, domy miłosierdzia, przytułki dla pozbawionych pracy i upadłych, szkoły dla wszystkich warstw społecznych, dla bogatych i biednych, dla dzieci książąt i ludu! Oto opoki, o które się rozbijać będą jeszcze przez lat tysiące najsilniejsze nawałnice anarchizmu! Gdzie takie opoki, jak skały, się wznoszą ponad rozbujałe morze sobkostwa, tam go się na seryo

obawiać nie potrzeba, tam zawsze zwycięży ostatecznie rozum, porządek, ideał! Ale u nas? My kładziemy dopiero fundamenta pod owe świątynie prawdy, piękna i dobra. Gdy u nas zabraknie wspólności dążeń ku tym ideałom, owej wspólności, która gdzieindziej zbudowała rozległe przybytki wiary i miłości, nauki i sztuki, gdy u nas zawładnie anarchia wśród pracowników, gdy każdy hołdować będzie swemu widzimisię i pójdzie za popędem swej samowoli, — wtedy sami rozbijemy te skromne cegiełki, które praca wieków nagromadziła pod naszą budowę historyi cywilizacyi! Czy to jest celem naszych czcicieli bezwzględnego indywidualizmu?".

Ig. Ch.

Kazimierz Król i Jan Nitowski. „Podręcznik do nauki historyi literatury polskiej". Połowa II (str. 211—537, I—X). Warszawa, nakładem Michała Arcta, 1900.

Przed rokiem pisaliśmy na tem miejscu o pierwszej części niniejszego podręcznika, obejmującej wiek X—XVIII. Dziełko to życzliwie zostało przyjęte przez krytykę fachową. Nie szczędzono wprawdzie autorom uwag, nie ukrywano błędów, usterek i braków, ale wykazano ogólnie wielką pożyteczność tej książki, zwłaszcza w życiu szkolnem. Nie wahano się nawet nazwać ją najlepszym podręcznikiem do historyi naszej literatury i życzono autorom rychłego ukończenia dzieła, rozpoczętego pod tak dobrą wróżbą.

W ciągu tego ostatniego roku ukazała się „Historya literatury polskiej" (dotychczas 2 tomy) P. Chmielowskiego, która niewątpliwie rozległością erudycyi, źródłowością badań, głębokością poglądów przyćmiewa skromną pracę pp. Króla i Nitowskiego. Ale są dziedziny życia, z których pierwsza nie zepchnie drugiej, a tą dziedziną jest sfera nauczania.

Podczas gdy znakomite dzieło prof. Chmielowskiego zawsze ułatwiać będzie ludziom dojrzałym badanie dziejów naszego piśmiennictwa, podręcznik pp. Króla i Nitowskiego w szkole, gdzie niepodobna wykładać z 6-cio tomowej pracy, odda nieocenione usługi.

Stoimy obecnie przed ukończonem dziełem i bez wahania powtórzymy to, cośmy o niem przed rokiem mówili: nie brak w niem usterek, zwłaszcza pod względem układu i rozmieszczenia autorów, ale i zalety jego — niemałe.

Mówiliśmy, iż zupełnie niepotrzebnie autorowie rozbili utwory danej epoki na pewne działy, według formułek teoryi prozy i poezyi.

Wielu autorów zostawiło cenne pamiątki w różnych rodzajach utworów literackich, tak prozaicznych, jak i poetyckich, a zresztą układ taki, kłócący się z chronologią, wykrzywia i wypacza obraz danej chwili dziejowej, nie pozwalając uchwycić nici genetycznego rozwoju narodowej myśli.

W drugiej połowie ta wadliwość układu daje się odczuwać jeszcze bardziej. Weźmy np. wiek XVIII i pierwszą ćwierć XIX (do 1822 r.); nawiasem mówiąc, należałoby tę epokę rozbić na 2 podokresy rokiem 1795: dobę Stanisławowską i epokę Księstwa Warszawskiego, różne charakterem, nastrojem i działającymi czynnikami. Po poetach Stanisławowskich idą tu: Niemcewicz, K. Koźmian, Fr. Wężyk, potem Woronicz, chociaż ten ostatni pierwsze swe utwory sielankowe pisał o wiele wcześniej; potem dziejopisarze, wreszcie — pisarze polityczni: Staszic, Kołłątaj i inni.

Czyż nie byłoby o wiele lepiej postawić tych ostatnich na czele okresu, przy jego charakterystyce, by wykazać, czego żądała partya postępowa i jak żądania jej odbiły się w literaturze ówczesnej, literaturze, nawskroś praktyczno-społecznej?

Przechodząc do dziejów romantyzmu, p. Nitowski rozbiera utwory Mickiewicza, potem wbrew ogólnie przyjętemu porządkowi Krasińskiego, wreszcie Słowackiego. Lecz o to mniejsza. Po Słowackim idzie Malczewski, Zaleski, Goszczyński, chociaż miejsce ich chronologicznie jest tuż po Mickiewiczu, potem dopiero Pol, Kondratowicz, Lenartowicz, Ujejski. W końcu—pomniejsi, na których czele— Franciszek Morawski, potem romantycy *minorum gentium*: Garczyński, Witwicki, Garzyński, Groza i t. d. Staremu generałowi należało się wcześniej miejsce, jako stojącemu na przełomie, tradycyą klasykowi, a sercem romantykowi, czego choćby jego wiersze pod adresem obu obozów dowodzą.

Po drugorzędnych poetach epoki romantyzmu — ogólna charakterystyka okresu po 1863 r., który p. Nitowski nazywa okresem pozytywnym, charakterystyka, niezbyt wszechstronnie chwytająca cechy piśmiennictwa naszego ostatnich lat 30; potem głośniejsi przedstawiciele tego piśmiennictwa w dziedzinie poezyi lirycznej aż do najmłodszych współczesnych, wreszcie poeci dramatyczni z Fredrą i Korzeniowskim na czele. Wygląda to tak, jakby autor „Cudzoziemczyzny“ był hołdownikiem teoryi Comte'a...

Dzieje poezyi XIX wieku kończą powieściopisarze od Bronikowskiego i Bernatowicza do Reymonta i Żeromskiego. Nie mówi-

my tu już o ogólnym podziale na poezyę i prozę w XIX stuleciu, bo leży on w planie dzieła i podziale pracy między 2 autorów. Lecz szkoda, iż tych 75 lat, które upłynęły od chwili zjawienia się pierwszego tomu Mickiewicza, nie rozbito na 2 okresy lub przynajmniej podokresy, co przyczyniłoby się znakomicie do usystematyzowania objawów życia narodowego.

Widzimy więc, jaki chaos wprowadza do wykładu stosowanie tego rodzaju systemu układowego w całokształcie dzieła. To samo da się powiedzieć o poszczególnych autorach.

Utwory np. Mickiewicza (bierzemy przykład, najbardziej rzucający się w oczy) podzielono na 3 grupy: 1) utwory drobne (przeważnie liryczne), 2) utwory epickie i 3) dramat liryczny; ten ostatni ma oznaczać „Dziady". W ten sposób, z pominięciem wszelkiej chronologii, a co za tem idzie, i śladów drogi, po której kroczy geniusz w swym samorozwoju, co w tym razie jest rzeczą najważniejszą, można dzielić utwory Kochanowskiego, Potockiego lub Krasickiego i to z pewnemi zastrzeżeniami, ale w żadnym razie mistrza romantyzmu. Wszak w romantyce chodziło właśnie o wyrwanie się z formułek poetyki klasycznej z jej regułami i klasyfikacyą.

Do utworów „drobnych" Mickiewicza p. Nitowski zaliczył ballady, sonety i wiersze różne. Ten ostatni dział — to prawdziwe „Miscellanea" bez ładu i porządku: widzimy tu „Odę do młodości", „Farysa", potem „Pieśń Filaretów", potem kilka mistycznych, kilka z pierwszego pobytu poety we Włoszech, wreszcie—„Do Joachima Lelewela", „Warcaby", „Zimę miejską" i „Żywilę". I wszystko to wraz z balladami i sonetami, są utwory „przeważnie liryczne"...

To samo, aczkolwiek w mniejszym już stopniu, można powiedzieć i o innych znakomitych przedstawicielach naszej romantyki. Słowackiego np. „Agezylausz", zabłąkał się między dramaty, pochodzące z doby, o wiele wcześniejszej, toż samo i „Niedokończony poemat" Krasińskiego gdzie ostatecznie skrystalizowały się poglądy historyozoficzne poety, które w czasie tworzenia „Niebieskiej" były zaledwie w zawiązkach i t. d.

Przy ocenie pierwszej połowy dzieła pp. Króla i Nitowskiego wykazywaliśmy niedostateczność bibliografii i to samo powtórzymy i tutaj z tym jeszcze dodatkiem, iż epoka romantyzmu wśród ogółu publiczności więcej wzbudza zainteresowania, niż staropolska; wykazywanie więc źródeł więcej ma tu szans, że nie będzie—bezowocnem.

Szereg nazwisk drugo—i trzeciorzędnych pisarzy został przez autorów zredukowany do *minimum*, i, co ważniejsza, podany drobnym drukiem, co znakomicie ułatwia wybór materyału do wykładu szkolnego. Możnaby jednak jeszcze bardziej zmniejszyć liczbę nic nie mówiących nazwisk i gołych tytułów, bez uszkodzenia całości obrazu.

Co się wreszcie tycze strony faktycznej, to na pochwałę autorów zaznaczymy, iż takich usterek, jakie krytyka wytknęła im w pierwszej połowie dzieła, o wiele tu mniej. Te, które tu wymienimy, pochodzą raczej z różnicy poglądów, niż z niedopatrzenia autorów.

W „Myszeidzie“ np. p. Król, idąc za Gruszczyńskim i Chmielowskim, odnajduje wyraźne allegorye historyczne i ukrywających się w postaciach szczurów i kotów współczesnych działaczy politycznych, co jest rzeczą więcej, niż wątpliwą.

Z Węgierskim załatwił się na jednej stroniczce, chociaż był to jeden z najsamodzielniejszych i najniepodleglejszych umysłów owoczesnych, tak niepodobny do wyperfumowanych dworaków w rodzaju Trembeckiego.

Nie wystarcza również trzywierszowa wzmianka o „Malwinie“ ks. Wirtemberskiej, pierwszym romansie sentymentalnym w naszej literaturze, jak również o Kajetanie Koźmianie i Franciszku Wężyku, tych ostatnich bojownikach naszego klasycyzmu, bądź co bądź postaciach ciekawych: pierwszy, jako autor „Stefana Czarnieckiego”, drugi, jako typ przejściowy, jeden z pierwszych u nas obrońców Szekspira.

W niezmiernie charakterystycznej postaci Niemcewicza pominięto również kilka szczegółów, nie uwzględniwszy jego spuścizny rękopiśmiennej lub utworów, drukowanych oddzielnie, jak np. „Prometeusz”, „Rok 3333“, przedstawiający kwestyę żydowską w innem zupełnie świetle, niż „Lejbe i Siora“, wreszcie piękne liryki „Dumania w Ursynowie“.

Sąd o Woroniczu jest zbyt pochlebny: owe „wspaniałe obrazy poetyczne“, które p. Król widzi w „Świątyni Sybilli“, polegają raczej na sile uczucia, w czem Woronicz, jako wybitny liryk, o wiele więcej, niż w obrazowaniu, celował.

Charakterystykę romantyzmu kreśli p. Nitowski dość udatnie, pomija jednak najgłówniejszą stronę tego kierunku: ów wysoki rozwój indywidualizmu tak jednostkowego (samodzielność twórcza), jak

zbiorowego (literatura narodowa), który właśnie jest rdzeniem i najważniejszą zdobyczą romantyzmu w przeciwieństwie do klasycyzmu, skrępowanego uciążliwemi formułami poetyki i rozpływającego się w kosmopolityzmie.

W charakterystyce Mickiewicza jest kilka punktów, na które nie możemy się zgodzić. Nie piszemy się np. na zdanie p. Nitowskiego, powtórzone za Wojciechem Cybulskim, iż przewodnią myślą „Dziadów“ jest „miłość, ukazująca się w rozmaitych swoich rodzajach“ (str. 314). Nie miejsce tu uzasadniać swoje poglądy, ograniczymy się więc tylko do zastrzeżenia, że, naszem zdaniem, zasadniczą ideą „Dziadów“ jest kwestya przeznaczenia człowieka na ziemi; ta myśl zawiera się się w „przestrogach” znikających duchów, ta myśl leży w założeniu przemiany duchowej Gustawa na Konrada.

Wreszcie w ogólnej charakterystyce twórcy „Konrada Wallenroda“ jeden szczegół dziwny. Mickiewicz, zdaniem p. Nitowskiego, „był poetą czysto oryginalnym i samodzielnym i nie ulegał wpływom pisarzy obcych, nawet Byrona, którego naśladowało tylu mniejszego talentu poetów“ (str. 315). Rzecz prosta, nie może tu być mowy o ślepem naśladownictwie, ale wpływ obcych, a nawet i naszych dawniejszych pisarzy na Mickiewicza nie da się zaprzeczyć. Prócz tegoż Byrona możnaby wymienić cały szereg autorów, którzy pozostawili swe ślady w twórczości Mickiewicza od Piotra Kochanowskiego i Trembeckiego do Goethego i Schillera od Homera i Eschylosa do współczesnych poecie pisarzy francuskich. Tem tylko różni się Mickiewicz np. od Słowackiego, że wpływy te potrafił przetrawić, przepalić w ogniu swej gorącej miłości i zastosować do warunków miejscowych, czego przykładem stosunek „Konrada Wallenroda“ do poematów Byrona, „Hermana i Doroty” — do „Pana Tadeusza“.

W Słowackim „Huga“ i „Żmiję“ zbyto wzmianką, iż są to rzeczy „bardzo słabe i nie posiadające większych zalet poetyckich“ (str. 340); co do „Huga“—zgoda; że jednak „Żmija“ posiada zalety poetyckie, tego dowodem opis łowów na sumaka.

„Balladynę“ za Jabłonowskim tłómaczy p. Nitowski jako wielką allegoryę historyczną. Wszelkie jednak usiłowania takiego lub innego tłómaczenia allegorycznego tego „aryostycznego“ dramatu okazały się bezpłodnemi; nawet taki wytrawny znawca, jak Małecki, złamał na tem pióro. Słowacki o żadnej allegoryi nie myślał — daremne więc poszukiwania. Wpływ Szekspira na „Balladynę“ zaznaczony zaledwie w jednej scenie — to nie wystarcza; należało

przedewszystkiem podkreślić wpływ „Snu nocy letniej“ z jej światem elfów.

Drobnym drukiem podano charakterystyki dramatycznych utworów „drugorzędnego znaczenia”. A więc „Mazepa”, który, choć nie odznacza się zupełnie „prawidłowością w budowie”, jak chce p. Nitowski, ale za to posiada wiele stron pięknych i poetycznych w postaciach Amelii, Zbigniewa, Mazepy; a więc „Niepoprawni”, i „Horsztyński”, w którym nie może doszukać się zasadniczej idei, chociaż to nie jest wcale rzeczą trudną; więc „Beatrix Cenci“, która, jego zdaniem, nie wywiera wrażenia tragizmu, -- to utwory „drugorzędnego znaczenia”!

Niesprawiedliwym jest również p. Nitowski względem Słowackiego, mówiąc, iż „Beniowski“ podoba się tym tylko, „którym błyskotliwość szyderstwa wystarcza” (str. 350); poza ową „błyskotliwością szyderstwa” jest jednak w tym poemacie coś więcej, błyskotliwość języka, stylu, wiersza, jednem słowem wszystko to, co czyni ze Słowackiego prawdziwego mistrza słowa naszego.

Za to należałoby obniżyć skalę dla poetów drugorzędnych. Pola np. „Pieśń o ziemi” autor nazywa obrazem „wysoce poetycznym“, gdy tymczasem poemat ten przechodzi czasem w rymowany jadłospis, gdzie poezyi ani śladu.

Kondratowicza nazywa „prawdziwym mistrzem słowa” (str.367), zapomniawszy dać toż miano Słowackiemu; w „Margierze“ odnajduje „piękny język i wielką poezyę“ (str. 369); tymczasem jest to jeden z najsłabszych utworów Kondratowicza, jak to dostatecznie udowodnił Spasowicz w swej pięknej rozprawie o Syrokomli. To samo można powiedzieć o Lenartowiczu.

Takie są usterki dzieła pp. Króla i Nitowskiego. Wszystko to jednak nie przeczy temu, co mówiliśmy we wstępie o pożyteczności tej pracy. Niewłaściwy porządek może intelligentny nauczyciel usunąć, autorów drugorzędnych pominąć, braki dopełnić, usterki według wskazówek krytyki poprawić i będzie miał wyborny podręcznik, którego nam tak długo zbywało z wielką szkodą dla pedagogii.

Miejmy zresztą nadzieję, że po wyczerpaniu pierwszego zajdzie potrzeba drugiego wydania, a wtedy wszystkie te braki zostaną usunięte. Szczerze tego autorom życzymy.

H. Galle.

Henryk Merczyng. „Dumania Przyrodnika", Petersburg, księgarnia K. Grendyszyńskiego, 1900.

W niewielkiej, 134 stronice, małej 16-ki, obejmującej książeczce podaje nam autor szereg szkiców, dotyczących mniej lub więcej zawiłych zagadnień przyrody. Dziełko to, trzymane w tonie, o ile głęboka treść poruszanych przedmiotów pozwala, możliwie przystępnym, potrąca przeważnie o sprawy, graniczące ze zdolnością naszego poznawania. Opuszczając często stanowisko obojętnego spostrzegacza, wdziera się autor myślą w dziedzinę tajemnic bytu. W szkicu pierwszym: „Różne drogi" stara się zestawić wyniki badań, dotyczących poznawania świata zewnętrznego, z koniecznością samopoznania wewnętrzego, zgłębienia własnego *ja*. W szkicu drugim „Jedna z zagadek fizyki" porusza pobieżnie kilka spraw zasadniczych, istotę materyi, podzielność atomów, pojęcie nieskończoności, wymiarowość materyi, wyłożywszy udatnie w formie popularnej hypotezę atomów wirowych Thomson'a. Szkic trzeci: „Słońce" potrąca o zagadkę ciążenia, promieniowanie i budowę fizyczną słońca oraz źródła jego energii. Przedmiotem szkicu czwartego: „Katastrofa niebieska" jest pojawienie się nowej gwiazdy świecącej w gwiazdozbiorze Woźnicy w r. 1892, skutkiem zetknięcia się 2 ciał niebieskich. Szkic piąty: „Śmierć kosmiczna" stara się przewidzieć możliwe przyczyny końca ziemi (zetknięcie się z innem ciałem niebieskiem, obniżenie się temperatury słońca, ustanie ruchu ziemi, powstrzymywanego przez tarcie, wyrównanie temperatury ciał). W szkicu szóstym: „Koniec świata u Prusa" autor podejmuje sprawdzenie matematyczne obrazów, przedstawionych przez Prusa, a wyrażonych ustami prof. Dębickiego w „Emancypantkach", obrazów, w których Prus maluje w sposób żywy i dosadny możliwe skutki zbliżenia się „uranolitu" do ziemi. Obliczenia autora stwierdzają we wszystkich punktach obrazy, przez Prusa kreślone. Najobszerniejszym jest szkic ostatni: „Eter", przedstawiający przyczyny, skłaniające do przyjęcia w nauce hypotezy eteru i wyjaśniający przypuszczalne jego własności. Z całego dziełka zalecamy zwłaszcza ten ostatni szkic nie tylko ze względu na zasadniczą dla nauki ważność poruszanego tematu, lecz i na większą ścisłość naukową wykładu, który w innych szkicach często opuszcza dziedzinę faktów i ścisłego rozumowania, zapuszczając się nieraz w dziedzinę fantastycznych dociekań lub luźnych hypotez i niedopowiedzianych myśli, czego zresztą bynajmniej autorowi za złe nie bierzemy. Są to przecież tylko — dumania...

h.

Jan Augustynowicz: „Ksiądz Prot", powieść nagrodzona zaszczytnem odznaczeniem na konkursie literackim „Głosu", Warszawa, 1899.

Zdaje mi się, że od czasu głośnego i do głębi duszy wstrząsającego dramatu Aleksandra Świętochowskiego „Ojciec Makary" w literaturze naszej po raz pierwszy pojawia się utwór w podobnym rodzaju. Aby wystąpić w obronie praw sercowych duchownego katolickiego na to trzeba wielkiej odwagi. Że pan Augustynowicz ją posiada, dowiódł tego puszczeniem w świat swej powieści. „Ksiądz Prot" to historya miłości wzorowego kapłana, młodego i pięknego wikarego, oraz równie urodziwej panny Niuty Skomorowskiej. Pełna obrazów gwałtownych walk namiętności z poczuciem obowiązku, sarkań na nieludzkie „urządzenia" i buntów, kończy się zwycięstwem rygoru kościelnego nad prawami natury — kosztem rozdartego serca ludzkiego.

Pan A. swoją powieść nazwał w przedmowie dramatem. Istotnie treść jest niezmiernie dramatyczna, tendencya zaś utworu nad wyraz interesująca. Autor z niesłychanym zapałem podjął obronę praw swego bohatera, widocznie przez siebie umiłowanego. Czy jednak wzbudził w nas współczucie dla księdza, jak to było jego zamiarem, wyzierającym ze wszystkich stronic powieści? Chyba nie. A to dla tego, że postać, jaką nadał miłości wikarego, nie należy, zdaniem naszem, do pociągających. Jest to miłość czysto zmysłowa, przeto katusze, które wywołała, z natury swojej rozczulić czytelnika nie mogą. A i Niuta wcale nie nadaje się na przedmiot uwielbień Prota, i nawet dziwimy się, że ten wytworny i szczodrze od natury pod względem duchowym uposażony człowiek był tak niewybrednym. Bo jakież przymioty ma jego wybrana? Jest śmiałą (raczej zuchwałą), ekscentryczną, ma „moc siły i temperament burzliwy". A więcej co?... „Pyszne ciało młodej i dojrzałej dziewczyny". A! więc to posiadaniem tych warunków zdobyła sobie serce idealnego młodzieńca, więc za to ten „asceta" nazywa ją „królową nad królowe"! A jakiemiż drogami owa panna dążyła do zdobycia silnie obwarowanej twierdzy? Wyniosłem traktowaniem nieprzystępnego zrazu przeciwnika, opryskliwością i, co najgorsza, narzucaniem się. Nie, doprawdy, tak mało wymagającego od kobiety kochanka wcale nie żałuję,—co więcej, mam mu za złe, że dopiero trzeba było kazania ks. Milewskiego, aby go cofnąć z drogi, z której odrobina smaku powinna była go zwrócić.

Niemniej obojętnymi pozostawia nas na swoje cierpienia panna Niuta. Jest ona w przedstawieniu pana A. wprost niesympatyczną, że nie powiem, niemożliwą. Bo i cóż było dla niej głównym bodźcem do pozyskania uczuć księdza, a raczéj z początku do zarzucenia nań sieci? Oto rozdrażnienie, wywołane tem, że on przy pierwszem spotkaniu traktował ją, zepsutą hołdami, obojętnie, — późniejszymi zaś bodźcami były „dojrzałość rozkwitła” panny, „niezaspokojone oczekiwanie” i „pragnienie czegoś, co jest tak rozkoszne, że aż w ból przechodzi i pobudzone prądem łechtań elektryzuje”. Możemy zapewnić autora, że taka „zakochana” łatwo pocieszy się po stracie Prota, skoro tylko spotka na swej drodze jakiego innego młodziana, naturalnie równie „pięknego i silnego”, jak Prot—i że przy jego boku będą jej tak samo po ciele przebiegały „drgnienia krótkie, szybkie i gwałtowne”, jak przy wikarym.

Pragnieniem autora było poruszyć nas psychologicznym obrazem cierpień moralnych człowieka, zmuszonego wskutek surowych przepisów swego stanu stłumić w sobie głos serca z pogwałceniem praw naturalnych — tymczasem powieść jest fizyologicznem przedstawieniem fizycznych męczarni zdrowego i silnego organizmu, miotającego się w konwulsyach niezaspokojonej namiętności. Wikary, tak nagle rozpłomieniający się do pięknej, ale najpospolitszej pod słońcem kobiety, wbrew intencyi autora sprawia wrażenie człowieka, który nie obliczył się z wymaganiami swej ziemskiej powłoki, gdy obierał zawód, zalecający powściągliwość zmysłową. A uniknąłby autor tego, gdyby w miłości Prota i Niuty mniej umieścił „pożerania oczyma”, „wciągania nozdrzami zapachów ciała” i „pożądania tego, co rozkoszne”, a natomiast więcej pierwiastku idealnego, uszlachetniającego wszelką namiętność.

Śmiały i głęboki pomysł został więc osłabiony w wykonaniu, którego największą wadą, podług mnie, jest zbyt pośpieszna robota. Prawdopodobnie nerwowy pośpiech nie pozwolił twórcy rozpatrzeć się w swojem dziele i dostrzedz zasadniczego błędu. Sądzimy, że i wiele innych usterek powieści zaliczyć należy na rachunek *lapsus manus* uzdolnionego autora. Bo, że mamy do czynienia z niewątpliwym talentem, świadczą liczne ustępy powieści, a za oryginalnością i świeżością tego talentu przemawia sam pomysł, jeżeli nie zupełnie nowy w naszej literaturze, to przynajmniej w takiej odmianie nie wyzyskany. Obok gorącego serca, zdolnego do odczuwania niedoli ludzkiej, autor posiada w znacznym stopniu dar spostrzegawczy i poczucie natury,—nadto jest urodzonym plastykiem. Każda postać w jego utworze nosi na sobie znamiona ręki zdolnego portrecisty,

umiejącego nietylko uchwycić rysy charakterystyczne, ale także je odtworzyć. Szkoda tylko, że pan A. nadużywa zbyt jaskrawych farb, zwłaszcza, gdy chodzi o uwypuklenie ujemnych stron charakteru. Świadczyłoby to o pewnej skłonności naszego powieściopisarza do przesady.

Ta dostrzegać się daje osobliwie w odtworzeniu typów drugorzędnych. Aby lepiej uwydatnić przymioty Prota, jako kapłana, autor otoczył go gronem duchownych—z pod ciemnej gwiazdy. Jest tu wyuzdany i cyniczny ksiądz Prostkowski, który przeważnie zajmuje się „wślizgiwaniem" w serca parafianek, do spowiadania wybiera umyślnie „szary" kąt, odpędza od swego konfesyonału mężczyzn, dopuszczając wyłącznie dziewki „hoże i zdrowe", a w towarzystwie kolegów po pijanemu śpiewa w całości piosenkę: „Kaśka za piec, Maciek za nią"... Nie wyżej moralnie od niego stoi ks. Fabiszewski, układny lis, „z twarzą anioła, a oczyma skończonego szelmy i łotra", o którym „zdefiniowana opinia brzmiała: — Nie utonie ten Fabek, bo będzie wisiał"! Albo jaki to ujmujący rysopis ks. Chwalkiewicza: stary wyga, płytki i ograniczony, gospodarz i hodowca koni, dobry kompan, skory do wypitki i w y b i t k i, dobry znawca preferka, wista, winta i innych gier, tak dalece zajęty sprawami osobistemi, że na kościelne nie ma literalnie ani jednej chwili czasu, a przytem rozporządzający w mowie słownikiem wyrażeń niemożliwych. Dopełnieniem tej trójcy są: nieustannie napychający sobie żołądek proboszcz z Chęciszan i ks. Kobuza, znawca win wszelakich, publicznie przyciskający „do łona" pulchną gospodynią i czkający z przepicia, póki nie zniknie z oczu czytelnika pod stołem. dokąd zwali się po zbyt obfitych libacyach. Dodać należy, że wszyscy ci „pracownicy w winnicy Pańskiej", otwarcie kpią sobie z obowiązków swoich, a kolegów, nie wstępujących w ich ślady, wyśmiewają i lekceważą. Nie podejrzewając w p. A. nieprzyjaciela duchowieństwa — od tego zarzutu broni go stworzenie sylwetki ks. Prota, a także surowego ascety ks. Milewskiego i po części ks. Chociemskiego — wolimy przypuścić, że dłonią pisarza kierowała owa pochopność do nadużywania barw, ilekroć trzeba było nabierać na pędzel ciemnych.

Pomimo wykazane wady, pomimo brak staranniejszego obmyślenia przedmiotu i wyraźne zaniedbanie w robocie powieści, sprawiające, że obok pięknych miejsc i silnych zwrotów stylowych spotykamy często słabe, niezgrabne, a niekiedy naiwne, raz jeszcze powtarzamy, że autor „Księdza Prota" ujawnił talent niewątpliwy. Talent to wprawdzie jeszcze surowy, uwięziony w szorstkiej skoru-

pie niekształtnej poczwarki, z której jednak wyłonić się może ładny motyl. Książki p. A. nawet mimo braków, jakie w niej są, nikt myślący po przeczytaniu nie zamknie obojętnie, tak ze względu na doniosłość idei, w niej zawartej, jak i śmiałość, z którą autor tę ideę podjął i rozwinął. Spodziewamy się, że następne dzieło będzie już znacznie dojrzalsze, a także wolne od usterek językowych, które w danym razie najbardziej obciążają literackie i obywatelskie sumienie autora...

Stylowi pana A., lubo nieco zaniedbanemu, nie można zaprzeczyć wielu znamion dodatnich. Zawiele jednak autor używa określeń i omówień: nawał ich często nie pozwala czytelnikowi objąć całości obrazu lub myśli. *Wiktor Luboradzki.*

Andrzej Niemojewski. „Listy człowieka szalonego", Warszawa 1899.

W skreślonem pod powyższym tytułem opowiadaniu w formie listowej utalentowany autor dotknął jednej z licznych, niestety, anomalii w naszym pochodzie duchowym doby ostatniej. Ów człowiek szalony, pisujący listy do przyjaciela o sztuce malarskiej u nas i o życiu artystów, to właściwie człowiek rozsądny i szlachetny, zapatrujący się trzeźwo, rozumnie i ze stanowiska zdrowej etyki na obecny kierunek w malarstwie i na — moralną stronę artystów. Zdawałoby się pozornie, że to są dwie całkiem różne i niezależne od siebie rzeczy; a skoro mamy najzupełniejsze prawo krytykowania dzieł sztuki, to na stronę duchową i umysłową artysty, a przedewszystkiem na jego pojęcia etyczne i na moralność powinniśmy rzucać zasłonę, zwłaszcza, gdy ta moralna strona nie olśniewa nas brylantami czystej wody. Niewątpliwie, paszkwile nigdy i od nikogo aprobaty nie otrzymują, ale sąd choćby najsurowszy (byleby słuszny) o pewnych ujemnych objawach w życiu społecznem i wskazanie bez ogródek źródła, z którego one płyną, jest koniecznym i pożytecznym. Z bezwzględnem tedy uznaniem należy powitać „Listy człowieka szalonego", w których autor przez usta swego bohatera wypowiedział szereg bolesnych prawd, tyczących się artystów dzisiejszych i sztuki malarskiej, oplątanej t. zw. impresyonizmem, weryzmem, symbolizmem i t. d. Użyliśmy wyrażenia „bolesnych" nie dlatego, byśmy chcieli jakiś tragizm upatrywać w samym fakcie wykoszlawienia pojęć o istocie i zadaniu sztuki; nie: wierzymy mocno, że uosabiane w niej szczytne ideały ducha ludzkiego są, jak on, nieśmiertelne i wielkie i że zabawka, którą z tych ideałów uczynili sobie dzi-

siejsi „kapłani sztuki“, ustanie rychło; wiemy doskonale, że od człowieka, torującego sobie drogę postępu, nie podobna wymagać, by ani razu nie zboczył z prostej linii i nie zbłądził; takie zboczenia w pochodzie ludzkości ku udoskonaleniu są objawem całkiem naturalnym i normalnym nawet; natomiast bolesnym jest przerażający upadek duchowych sił dzisiejszych malarzy impresyonistów, którzy, zasklepiwszy się w ciasnem kole barw, nie umieją odczuć poezyi ducha, a dochodząc do śmiesznej przesady w krytykowaniu i odmalowywaniu świateł i cieni w przyrodzie, ani się domyślą nawet, że w głębinach duszy ludzkiej kryją się stokroć piękniejsze i rozmaitsze barwy; bolesnem jest, że, pełzając jak robak w trawie, tylko z jej barw i kształtów tworzą przeróżne kombinacye, nie przypuszczając, by hen, gdzieś w górze mogły wisieć błękity i goreć słońca, i widzą tylko „takie świata koło, jakie tępemi zakreślają oczyma"; bolesnem jest, że dła takich autorów niezrozumiałej „Melancholii topoli“, cudackiej „Łkającej rozpaczy" i t. d. Grotger jest rysownikiem pospolitym, „który poświęca wszystko dla swoich pryncypiów, jako artysta, jest wątpliwym i bałamuci tylko publiczczność“; bolesnem jest wreszcie mizerne życie tych n a d l u d z i, spędzających noce całe na hulankach w gronie modelek, malowanych najpierw „bez burki od Hersego i bez wielu innych rzeczy“, a następnie zepchniętych w błoto i niekiedy doprowadzonych do samobójstwa. To też krzywda, wyrządzona w ten sposób społeczeństwu, jest stokroć większa, niż jak się z pozoru wydaje. Autor zrozumiał to doskonale i wypowiedział w tej mierze myśl niezmiernie trafną i charakterystyczną: „Geniusze grzeszą nieraz ciężko przeciw ludzkości, ale mogiłą tych grzechów jest olbrzymia góra ich zasług. Talenty natomiast zachowują się względem ludzkości niemal odwrotnie. Na strzelistej górze ich grzechów strzępi dumne pióra pisklę ich duchowe. Czas strąca owo pisklę w otchłań wieczystego zapomnienia, a góra krzywd pozostaje“. Nie ulega tedy wąpliwości, że tacy artyści, uważający siebie za geniuszów i z pogardą i politowaniem patrzący na tych profanów, którzy w żaden sposób nie mogą zrozumieć ich arcydzieł i, co gorsza, ośmielają się potępiać ich stosunki z modelkami, tacy artyści „bez czci i wiary, dla których cnota i zbrodnia jednaką wartość przedstawia, którzy sławę swoją zdobywają hańbą innych, będą kiedyś przez pracowite pszczoły ludzkie uważani za trutniów, którym owe pszczoły gromadne nikłe skrzydełka obetną“.

„Listy człowieka szalonego“ nie są powieścią o kształtach, wykończonych artystycznie wedle dzisiejszych wymagań sztuki; są

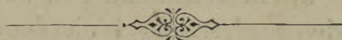
one jeno szeregiem poglądów na dzisiejszą sztukę u nas, trafnych uwag krytycznych i krótkich dorywczych wizerunków jednostek, nakreślonych szkicowo, ale dość plastycznie przez autora, nietylko umiejącego patrzeć trzeźwo na pewne objawy społeczne, lecz i zdolnego pochylić głowę przed zacniejszymi pierwiastkami ducha ludzkiego. *J. Nitowski.*

Wincenty Kosiakiewicz. „Hanka“ powieść, Warszawa, Centnerszwer, 1899, str. 109.

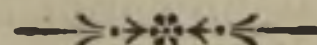
Ponieważ talent autora „Bawełny“, „Niebezpiecznego człowieka“, „Plamy“, „Gąsiorkowskiego” i t. d. cieszy się ustaloną sławą, poprzestać więc można na przytoczeniu osnowy „Hanki“. W Towiankach, we dworze, są trzy panny na wydaniu -- i ani jednego mężczyzny, bo wujaszek, adwokat, mieszkający w mieście, ma zaledwie czas na odwiezienie z pensyi, na ostatnie wakacye, szesnastoletniej Hanki, pod opiekuńcze skrzydła starszej jej siostry, dwudziestopięcioletniej Mani, obok której bawi jeszcze w Towiankach blizka jej kuzynka Terenia z matką, nazywaną pospolicie ciocią Klocią. Hanka, Mania i Terenia kochają się czyli raczej mają być kochane. Przez kogo? -- Naturalnie przez mężczyzn. Jest ich również trzech, wszyscy z sąsiedztwa: niejaki Pawłowski, zawczasu i z góry zabrany przez Terenię, „właściciel folwarku, człowiek młody, gładki i dość zamożny“; tudzież dwaj bracia Kropliccy, starszy czterdziestoletni Leon, „chłodny, spokojny, nieco cynik“, młodszy Józef, który tylko co skończył wydział filozoficzny w Heidelbergu, zapalony idealista. Gra sprowadza się do dwu par. W kimże się będzie kochał cynik, a w kim idealista? To cały problemat powieści. O czem innem nie może być mowy w Towiankach, a może: w Polsce: to sprawa wiadoma od daty, jak istnieje romans, to jest od sworzenia świata. Przy pierwszym zaraz przeglądzie kawalerów Hanka zawyrokowała, że w Mani (25-cio letniej) kochać się musi Leon (40-to letni), bo i przystojniejszy i rozważniejszy, i milszy, i grzeczniejszy, i obrotniejszy, i wykwintniejszy... Tak stanowczo orzekła przed sobą w swem serduszku i w swej główce — Hanka. Że zaś Mania jest wielce nieśmiałą i niezdecydowaną, więc ona, Hanka, weźmie tych dwoje pod swoją opiekę. Dramat się zawiązuje. Zawiązuje się on dlatego tylko, że autor postanowił dać zamiast dramatu... sielankę wodewilową. Oto się pokazało, po wielu niezmiernie pięknych dyalogach i monologach, że kocha się w Mani brat młodszy, Józef; zaś w jej siostrze młodszej, Hance, za-

kochać się pozostało starszemu bratu Leonowi. I łatwo to mu przyszło, skoro Hanka od pierwszego wejrzenia, od pierwszej rozmowy, zdecydowała, że Leon jest i wykwintniejszy, i obrotniejszy, i dorzeczniejszy, i rozmowniejszy, i przystojniejszy. Wszystko się kończy wyśmienicie, bo co do długich, urojonych męczarni Hanki, wyrzucającej sobie, że krzywdzi Manię, spędzając za długie niekiedy chwile na bardzo przyjemnych przechadzkach z Leonem, to urojenie to znika pod koniec powieści w skutek następującej wymiany słówek pomiędzy Hanką a Manią. „Hanka: Maniu, Leon cię kocha. Mania: Mnie? Leon? Hanka: Tak, ciebie. Mania: Hanko, ty jesteś chora. Hanka: Ty kochasz Leona. Mania: Co? ja? — ani trochę. Hanka: Co?! Mania: Ja, Leona? skąd ci się to wzięło? Hanka: Ty go nie kochasz? Mania: Nie. Hanka: Nie żartuj ze mnie. Mania: Ani myślę. Hanka: Ty kochasz Leona. Mania: Nie. Hanka: Nie? Mania: Nie. Hanka: Maniu, nie? Maniu: Nie, nie... Hanka: Przysięgnij! — przysięgnij, jak kochasz twoją siostrę. Mania: Jak ciebie kocham. Hanka: Maniu, to żart, to sen... Mania: Hanko, prawda najszczersza. Hanka: Więc on ciebie kocha bez nadzie... Mania: On, mnie? Hanko, ty jesteś w malignie. Hanka: Maniu, Maniu, na Boga! mów prawdę, on ciebie kocha całą duszą. Mania: Ani mu się śniło... Hanka: On cię kocha! on cię kocha! Mania: Ach, on ciebie kocha, nie mnie... Hanka: Co!?... Co!?... powtórz... Mania: On ciebie kocha, Hanko!!... Tym razem nic już Hanka na to nie powiedziała. „Usłyszała, zrozumiała, — oczy swe jasne zamknęła, usteczka otwarła do półuśmiechu, główkę w tył przechyliła i cichutko zsunęła się z krzesła na ziemię zemdlona“ (str. 96—98). Zbiera się następnie rada familijna, która uchwala: pozwolić Leonowi i Hance mówić z sobą o wszystkiem, z wyjątkiem miłości; Hanka skończyć wpierw musi pensyę... Zamyka się powieść na krótkim dyalogu Leona z Józefem: — „Porozumieliscie się?“ — spytał Józef. — „Doskonale“. — „Nie mówiąc o miłości?“ — „Ani słówka“... I tyle.

t.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.



= **Wiedza i życie**, zagadnienia i prądy współczesne w dziedzinie wiedzy, sztuki i życia społecznego, Lwów, nakładem księgarni H. Altenberga, Warszawa, księgarnia pod firmą E. Wende i Spółka, 1899.

Bardzo szczęśliwą była myśl niniejszego wydawnictwa. Jest to szereg książeczek o cenie, przystępnej dla każdego interesującego się sprawami wiedzy czytelnika (60 kop. za tom), ukazujących się mniej więcej peryodycznie, a zawierających poważne studya z różnych dziedzin wiedzy tak przyrodniczej, jak i humanitarnej. Dotychczas ukazało się siedem książeczek w pięknem, wydaniu, a pomiędzy niemi niektóre nader cenne i pożyteczne. Do takich należy bezsprzecznie dzieło Roberta de la Sizeranne p. t. „Ruskin i kult piękna" w dwu tomach („Wiedza i życie" tom I i III), przełożone przez Antoniego Potockiego. Jest to dokładny i wszechstronny wizerunek tej ciekawej nad wyraz postaci, krańcowego wielbiciela piękna i zawziętego wroga wszystkiego tego, co obniża lub usuwa pierwiastek piękna w naturze, sztuce i życiu, choćby skądinąd miało nader doniosłe znaczenie praktyczne, jak np. koleje żelazne. W pierwszym tomie autor daje biografię Ruskina, obraz jego działalności społecznej, jego wizerunek duchowy i wreszcie charakteryzuje jego pisma; w drugim zaś kreśli poglądy filozoficzne, estetyczne i społeczne Ruskina na przyrodę, sztukę i życie społeczne. W zakończeniu przedstawia świat i ludzkość, przetworzone według teoryi estetycznej Ruskina, zastosowanej do życia praktycznego. Autor traktuje swój przedmiot objektywnie, bez zbytniego entuzyazmu, ale i bez zjadliwej krytyki, której, bądź co bądź, ulegać mogą poglądy angielskiego estetyka. Piękny przekład A. Potockiego podnosi wartość literacką niniejszego dzieła.—W II tomie „Wiedzy i życia" prof. dr. Józef Nusbaum daje nam szereg szkiców p. t. „Z zagadnień biologii i filozofii przyrody"; są to rzeczy, po większej części znane już dawniej, prócz pierwszego studyum p. t. „Z dziejów darwinizmu po Darwinie", zarysu poglądów na teoryę ewolucyi Naegelego, Weissmana i kilku młodszych uczonych, tworzących odłam, znany w nauce pod mianem neolamarkizmu. Inne studya czytaliśmy już gdzieindziej: „T. H. Huxley,

jako biolog, pedagog i filozof" w „Ateneum" z r. 1896 t. I (w skróceniu), „Pochodzenie snu" w „Bibliotece Warszawskiej" (1898 r.), „Genezę zabawy" i „Estetykę w biologii" w tymże miesięczniku z r. 1897.—Tom IV omawianego wydawnictwa zawiera pracę Angela Mossa p. t. „Fizyczne wychowanie młodzieży" w tłómaczeniu Stanisława Brzozowskiego. Punktem wyjścia dla włoskiego autora jest Anglia, ów klasyczny kraj wszelakich sportów; porównywając fizyczne wychowanie w Anglii ze stanem tej kwestyi w innych krajach, dochodzi on do smutnych rezultatów. Okazuje się, że na lądzie stałym kwestya fizycznego kształcenia dzieci albo zupełnie nie została rozwiązaną, albo też wywołała wprawdzie pewne innowacye w wykładzie szkolnym, np. godziny gimnastyki, ale innowacye, najzupełniej niedostateczne i chybiające celu. Tak np. potępia Mosso t. zw. gimnastykę niemiecką, t. j. na przyrządach, wykazuje, jak nieraz ćwiczenia gimnastyczne odbywały się w salach wązkich i wilgotnych, bez światła i powietrza i t. d. Książka znamionuje wytrawne pióro i rozległe doświadczenie; może też być śmiało poleconą tym, którzy oddają się sprawom wychowania.— O dziele Edwarda Przewóskiego p. t. „Krytyka literacka we Francyi", zawartem w tomie VI „Wiedzy i Życia" pomówimy oddzielnie obszerniej.— W tomie V i VII znajdujemy cenną pracę Oswalda Külpe, prof. filozofii w uniwersytecie würzburskim p. t. „O zadaniach i kierunkach filozofii", przełożoną z niemieckiego przez członków „Kółka filozoficznego" słuchaczy uniwersytetu lwowskiego pod redakcyą prof. Kazimierza Twardowskiego. Tom I traktuje o podziale filozofii i oddzielnych naukach filozoficznych (metafizyka, teorya poznania, etyka, estetyka i t. d.); tom II zawiera charakterystykę kierunków filozoficznych, dotyczących metafizyki, teoryi poznania i etyki. Każdy poszczególny przedmiot traktowany jest historycznie, t. j. autor wykazuje, jak dane pojęcie lub kierunek rozwijał się od czasów Talesa aż do naszych; przytem wykład zaleca się zwięzłością, trzeźwością i jasnością, co zachęcić może do przeczytania dzieła nawet najzawziętszego nieprzyjaciela wszelkich abstrakcyi. W końcu każdego rozdziału podana jest literatura danego przedmiotu; między innemi uwzględniono tu i rzeczy polskie, co należy zapisać na korzyść tłómaczy i ich staranności.

— *Klemens Junosza.* **Żona z jarmarku.** (Powieść wiejska. Warszawa, G. Centnerszwer, 1899, str. 112). — Najzamożniejszym gospodarzem we wsi Przytusze był Michał Spiewalski. „Po rodzicach sporo pieniędzy swojego czasu dostał, na handle się później

puszczał i piękny kawał gruntu przykupił; więc też, ile razy do wyjazdu wasąg sobie wyszykował i parę wypasionych koni do niego zaprzągł, można było myśleć, że nie prosty gospodarz jedzie, ale jaki znaczny kolonista lub młynarz“. Miał chleb, ale i w dzieciach Bóg mu błogosławieństwa nie skąpił. Z nieboszczki żony miał ich kilkoro; córka jego, cicha i pracowita Kasia, sprawująca w domu ojcowskim rolę gospodyni, również miała już czas owdowieć. Ile też lat naprawdę liczył p. Michał Spiewalski? Dobrą kopę zapewne, choć trzymał się prosto, „poszycie na głowie miał gęste, nie bardzo jeszcze siwe“, a z twarzy biła mu czerstwość i rzeźkość. Przeto i nie dziw może, że pewnego dnia gruchnęła po wsi wieść stugęba, że Kasia ustąpić będzie musiała pierwszeństwa w domu— swojej macosze. Ale jakiej macosze! Rózia, córka Jana Kieliszka vel Kieliszkowskiego, rzeźnika z Ogonowa, młodsza była wiekiem od Kasi... to jeszcze pół biedy, gdyż ostatecznie wszystkie matki z okolicy z największą radością byłyby za starego Spiewalskiego oddały nawet piętnastoletnie swe pisklątka, gdyby tylko raczył był spojrzeć na nie. Niestety, stary Spiewalski nic widzieć nie mógł i nie chciał po za oczętami Rózi, której żadna uczciwa dziewucha wiejska sprostaćby nie umiała w sztuce i umiejętności podobania się: zawczasu nauczyła się tego w rozmowach i poufnem obcowaniu z czeladnikiem ojca Wickiem, prawdziwym donżuanem ogonowskim... Historya rozwija się i kończy według tych założeń. Oskubany najpierw pieniężnie przez przyszłego teścia Kieliszka, Spiewalski żeni się z Kieliszkówną. Czujność Kasi, zapobiega wprawdzie doraźnym, małym skandalikom poślubnych stosunków młodej pani Spiewalskiej z Wickiem, ale tem samem przyczynia się — mimowolnie i pośrednio— do większej, tragiczno-skandalicznej katastrofy. Wicek dostarcza „żonie z jarmarku“ — jak chłopi przytuscy nazywają panią Rozalię Spiewalską — trucizny; trucizna dostaje się do szklanki herbaty, przeznaczonej dla starego męża; wskutek jednak niespodziewanego obrotu rzeczy, doskonale zresztą znanego autorom dramatów i powieści sensacyjnych, herbatę z trucizną wypija sama Spiewalska. Wicek znika z widnokręgów ogonowskich na zawsze. Bajka interesująca, obrobienie proste, bez żadnych wysileń artystycznych, język dostępny przeciętnemu czytelnikowi naszych zakątków wiejskich, obserwacya i charakterystyka życia prowincyonalnego—typowe, żeby nie powiedzieć stereotypowe. Jest przytem w powiastce kilka scen dobrych, dobrze skomponowanych na podstawie raz nabytych wyobrażeń o żydach, wieśniakach i drobnych mieszczan. Pełen humoru jest obrazek,

przedstawiający Bartłomieja Jarząbka, sąsiada i przyjaciela Spiewalskich w chwili, gdy kupuje kożuch na zimę. Bo też, jak słusznie zaznacza autor, „kożuch kupić nie łatwa to rzecz: ze dwie kopy trzeba przerzucić i obejrzeć, zanim się co porządnego znajdzie, a i na wytargowanie trzeba czasu... Sprawunek taki raz na kilka lat się robi i pieniędzy niemało kosztuje“ (str. 19). Portrecik Kasi, szkicowany lekko, pobieżnie, na drugim planie—bardzo dobry.

t.

= *M. Dzierżanowska — C. Niewiadomska — J. Warnkówna.* **Ćwiczenia do nauki języka i gramatyki polskiej** podług najnowszych źrodeł ułożone. Wydanie drugie poprawione i znacznie rozszerzone. (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1899). Podręcznik niniejszy składa się z dwu części: kurs elementarny — dla dzieci początkujących, gdzie zebrano materyał dla ćwiczeń gramatycznych w zakresie wiadomości początkowych (tak z etymologii, jak i ze składni), i—kurs wyższy, dla uczniów bardziej uzdolnionych i więcej przygotowanych. Ćwiczenia, które się nań składają, stanowią już systematyczny kurs głosowni, etymologii i składni. Wielkiem ułatwieniem dla uczących jest podział ćwiczeń na całe lata wykładu. A więc w kursie elementarnym mają być przerabione ćwiczenia, oznaczone literą *A*, z których dziecko zapozna się z głównemi częściami zadania, rzeczownikiem, przymiotnikiem i czasownikiem; na drugi rok nauki autorki przeznaczają ćwiczenia, oznaczone literą *B:* o częściach mowy oraz początkowe wiadomości ze składni i głosowni; w trzecim wreszcie roku przechodzi się ćwiczenia, oznaczone literą *C* i uzupełniające praktycznie dotąd zdobyte wiadomości. Tak samo i kurs wyższy dzieli się na dwa jednoroczne kursy (lit. *D* i *E*) za pomocą ćwiczeń, dobranych umiejętnie do stopnia umysłowego przygotowania ucznia. W taki sposób w ciągu pięciu lat uczeń praktycznie pozna cały język i jego teoryę we wszystkich jej działach. Przykłady i ćwiczenia, ułożone umiejętnie i systematycznie, mogą oddać niemałe usługi w początkowem nauczaniu. Nie koniecznie tylko rozumiemy cel dwu pozostałych książek, z których składają się „Ćwiczenia“. Są to t. zw. „książki nauczyciela“, zawierające zozwiązania zadań, pomieszczonych w „książkach ucznia“ wraz z pewnemi wskazówkami, jak stosować owe ćwiczenia w praktyce pedagogicznej. Ale wskazówek jest tu zbyt mało, co zaś do rozwiązań zadań to

trudno przypuszczać, żeby znalazł się nauczyciel, tak mało umiejący, że nie potrafiłby sam odpowiedzieć na pytania, zadawane przez niego samego uczniom? Cel więc tych „książek nauczyciela" jest chybiony, a mogą one być nawet szkodliwe, gdyż dają pohop uczniom do zaopatrzenia się w nie.

— *Hajota*. **On i My**. (Nowelle). Warszawa, 1900.—Charakter chorobliwie wrażliwy i uczuciowy („On i my"), dwa rozczarowauia serc („Portret", „Wygrałam"), wreszcie dwa opowiadania egzotyczne („Błękitny naszyjnik", „Kwiaty niewierności")—oto treść ostatniego zbioru nowel Hajoty. Temat nowelli „On i my" jest doskonały. Bert to istota bardzo wrażliwa, natura subtelna, złamana życiem, żyjąca w pustelniczem odosobnieniu; to, co dla istot odpornych jest tylko bolesne, dla Berta staje się zabójczem: samotnik, mistyk, żyjący zdala od wiru życia, nie może znieść częstego na świecie objawu, że dwa serca ludzkie muszą rozstać się, muszą o sobie zapomnieć. Lecz wykonanie niezupełnie odpowiada głębokości tematu. Autorka na pierwszy plan wysunęła miłość bardzo pospolitą, nadto postaci samotnika brakuje rysów głębszych. Bert w nowelli jest raczej dziwakiem, niż naturą głębszą. Rozdźwięk między zamiarem a wykonaniem jest widoczny. „Portret" jest historyą „genialnego" malarza, który, przekonawszy się, że jego piękna kuzynka, którą kocha, jest cierpko-oschłą gąską, odbiera sobie życie. Zawiele „genialnych" artystów odbiera sobie życie z miłości... w literaturze. Pochodzi to z jednostronnego pojmowania duszy artystycznej; dusza taka nie jest przecie tylko wrażliwą: ma ona również wielki zasób żywotności i odporności. Prawdziwie „genialny" artysta, zamiast zabijać się z powodu panny Mumy, wolałby swe rozczarowanie unieśmiertelnić w arcydziele. „Wygrałam", jest wytworną drobnostką, „Błękitny naszyjnik" — dowcipną powiastką, „Kwiaty niewierności"—bardzo piękną legendą. *L. Chor.*

— *Józef Grajnert*. **Kij żebraczy.** (Powiastka, odznaczona zaszczytnie na konkursie „Gazety Świątecznej"). Warszawa, 1900. Autor, nie siląc się na gwarę ludową, pisze językiem literackim. Prostota i jasność układu, brak patetyczności, umiejętność obrazowego przedstawienia sensu moralnego oraz treść zajmująca—oto zalety tej książki, bardzo dla ludu odpowiedniej.

— *Adolf Dygasiński.* **Zając.** Warszawa, 1900.—Życie zakątka litewskiego, zwanego Morzelany,—oto treść „Zająca”,—życie ludzi i... zwierząt, a mianowicie pewnego zająca,—bo w powieściach Dygasińskiego, jak wiadomo, zwierzęta odgrywają rolę pierwszorzędną na równi z człowiekiem. Większość pisarzów zajmuje się tylko człowiekiem, jako istotą najdoskonalszą; w Dygasińskim tkwi dążność do malowania życia całej natury, jej kształtów najrozmaitszych, jej postaci licznych i różnorodnych; a tę całą naturę kocha Dygasiński, i nie podobna oprzeć się urokowi tej miłości! Żyje w nim zamiłowanie nie tylko do kształtów wielkich i wspaniałych, lecz i do drobnych, prostych. Jak większość utworów Dygasińskiego, tak i ten nowy owiewa atmosfera zdrowa i balsamiczna: czytając go, domyślamy się, że autor oddychał długo powietrzem lasów... Natura autorska Dygasińskiego jest bardzo szczerą, daleką od wszelkiej pozy, a prosta w rozsnuwaniu wątka opowiadania. A mimo to jest w nim jakaś gorycz, smutna zrezygnowana filozofia życia; widzi on bowiem jasno ułomność przeciętnej natury ludzkiej, czasem nawet przedstawia mu się ta ułomność w barwach tak ponurych, że niektóre jego postacie są zbliżone do karykatury. Dwie pobudki: głód i miłość oraz potrzeba ich zaspokojenia rządzą zarówno ludźmi, jak zwierzętami. Stąd ludzie Dygasińskiego bywają niekiedy rażąco podobni do jego zwierząt, tak np. lis—Mykita, chytry rozbójnik leśny, i kłusownik Tetera podobni są do siebie, jak dwie krople wody. Lecz jest także w powieści postać dodatnia — Jakób Malwa-Zabłotnik, samotnik, domorosły filozof, pełen miłości względem ludzi i zwierząt, mający widoczną skłonność do mistycyzmu. Postać ta, którą zresztą autor traktuje nie bez pewnego uszczypliwego humoru, jest pomysłem oryginalnym: chłop-mistyk!... *L. Chor.*

— *Jan Nitowski,* **Poezye.** Lwów, 1899 r. — Poezye Nitowskiego mało mają wspólnego ze współczesnymi prądami twórczości; jego mistrzami są Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, z poetów nowszych — Asnyk. Rzeczywiście są w utworach Nitowskiego dość liczne reminiscencye z tych wielkich poetów; tak np. monolog arcykapłana w „Ostatnim dniu Arkony”, jego skarga rozpaczliwa na Swantewida jest echem improwizacyi Konrada; takie zaś myśli, jak ta np., że „dziś—to przedświt innej ludów doby”, albo, że „myśl wieków w chaosie nie skona” odrazu przypomina poezyę Krasińskiego. A walka Ranów z Duńczykami jest jakby odgłosem tej walki, którą w „Lilli Wenedzie” toczą Wenedzi z Lechitami, nie mówiąc już

o tem, że wróżka jest rodzoną siostrą Rozy Wenedy. W niektórych pieśniach lirycznych („Nad księgą Grecyi", „Kraina szczęścia" i inne) dałoby się łatwo wykazać wpływ Asnyka. Lecz wzorując się na dawnych poetach pod względem pomysłów, a poniekąd i formy, przejął się jednocześnie Nitowski duchem, szlachetnością ich poezyi, a zwłaszcza podniosłym idealizmem Krasińskiego i Asnyka. Zasadniczym pomysłem wszystkich wogóle jego utworów jest walka w imię ideałów, która jest nietylko istotą życia ludzkiego, koniecznością poprostu, ale i świętym człowieka obowiązkiem; w walce tej, według pięknego poglądu poety, pierwiastki złe odnoszą często zwycięstwo, ale to zwycięstwo jest tylko pozorne, bo chwilowe; z czasem, prędzej czy później, idea, duch zwyciężyć musi. Ci, którzy, walcząc w imię ideałów, polegli, są największymi dobroczyńcami ludzkości, a ich duch będzie nieśmiertelny, ich zasługa wiekuista, bo torująca człowiekowi drogę do jasnego przybytku ideałów. Oto myśl przewodnia i „Walki tytanów", w której Ocean, Kronos i Hyperyon walczą ze strasznym i złym Zeusem, i „Ostatnich chwil Abelarda", w których Heloiza koi obietnicą nieśmiertelności rozpacz Abelarda, zgorzkniałego w walce ze światem; ta sama myśl spoczywa na dnie utworów pomniejszych („Na Golgocie", „Obiór Zoroastra", „Z chwili cierpień i t. d.).

Wiersz autora nie odznacza się melodyjnością, ani doskonałą rytmiką; jego rymy są poprawne, ale nie kunsztowne; jego styl nie jaśnieje zbyt wielką obrazowością; niektórym utworom brak pożądanej siły lirycznej lub dramatycznej: ale jest w jego poezyach tyle pięknych myśli i wzniosłych uczuć, tyle silnej wiary w najwznioślejsze ideały ducha ludzkiego, tyle prawdziwie młodzieńczego optymizmu i szlachetnego idealizmu, że bez wahania uznać je za piękne można i trzeba. *Ign. Ch.*

A. Zaborowski. **Światy zaginione.** Z 3-go wydania francuskiego przełożył i uzupełnił *J. K. Potocki.* (Wydawnictwo popularne). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1899 — Dziełko to, które niewątpliwie zajmie jedno z najchlubniejszych miejsc w szeregu wydawnictw popularnych, wydawanych obecnie przez firmę Gebethnera i Wolffa, obejmuje zasady paleontologii, wyłożone w sposób jasny i nader zajmujący. Nie ogranicza się ono na wzór innych podręczników tej nauki do suchego opisu i klasyfikacyi ważniej-

szych form zwierzęcych i roślinnych zamierzchłej przeszłości i przytoczenia innych odnośnych faktów, lecz stara się zdobyty dotychczas materyał naukowy oświetlić teoryą, wyjaśniającą przyczyny powstawania i rozwoju całego świata ożywionego, zapoczątkowania życia na ziemi, wyłonienia się go z materyi nieustrojowej i dalszego różniczkowania się go i rozwoju. Pomijając zbyt może usilną dążność do uzasadnienia poglądów Haeckla oraz kilka niedokładności, które w niezrozumiały dla nas sposób do dziełka tego się zakradły, jak np. brak tablicy, wzmiankowanej w przedmowie tłómacza, zdanie, iż dotychczas otrzymane sztucznie związki organiczne są tylko potrójne (str. 71), (otrzymano przecież i wiele poczwórnych, np. alkaloidy), wynikające z połączenia trzech pierwiastków prostych (czyżby mogły istnieć pierwiastki złożone?), lub zdanie, iż cyan składa się z jednej objętości azotu oraz dwu (?) objętości węgla (str. 75),— polecamy każdemu, interesującemu się zasadniczemi sprawami tej ciekawej nauki, zajmujące to dziełko. Zaznaczymy ubocznie, iż odznacza się ono między innemi formą wykładu tak śmiałą, od jakiej odwykliśmy już u nas od lat wielu.

h

J. Norman Lockyer. **Pierwsze początki astronomii.** Przełożył i do użytku naszych dzieci i samouków zastosował *Władysław Skłodowski.* Wydanie drugie, przejrzane i dopełnione przez tłómacza. (Wydawnictwo popularne). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1899. Nader popularne to dziełko znane jest już czytelnikom, interesującym się wydawnictwami popularnemi, z 1-go wydania. Wydanie 2-e zostało znacznie powiększone i wzbogacone rysunkami. Za staranne przejrzenie w 2-em wydaniu tej książeczki, dopełnienie jej treści i illustracyi, należy się tłómaczowi szczera podzięka. Przy sposobności czujemy się w obowiązku zaznaczyć, iż jest to już 16-ta z kolei książeczka w szeregu popularnych wydawnictw, zapoczątkowanych niegdyś przez czasopismo „Przyroda i Przemysł“, a obecnie tak udatnie wznowionych i w ostatnich zwłaszcza czasach energicznie prowadzonych przez obecnych wydawców. Rozwój tego wydawnictwa świadczy pomyślnie o rozbudzeniu się u nas na nowo zamiłowania do nauk przrodniczych i o odczuciu przez ogół ich potrzeby.

h.

= *Mathias Berson*. **Księgozbiór katedry płockiej**, z 17 tablicami, Warszawa, 1899.—Wytworna ta książka składa się z tekstu i kilkunastu pięknie wykonanych tablic, reprodukcyi miniatur, inicyałów, całych kart i okładek ze starych rękopisów, przechowywanych w bibliotoce kapituły płockiej.

W tekście autor kreśli pokrótce historyę tego księgozbioru, założonego w r. 1024 przez biskupa miejscowego Marcina, rodem Francuza, który z Rzymu przywiózł do Polski wiele rękopisów, dając w ten sposób zaczątek przyszłej bibliotece kapitulnej. Z biegiem czasu księgozbiór zbogacał się, zasilany darami prałatów, jak np. biskupa płockiego, Stanisława Łubieńskiego (1640). Uszczuplona i zniszczona w wieku XVII i pierwszej połowie XVIII przez najazdy i zaburzenia w kraju biblioteka została doprowadzona do porządku dopiero w połowie bieżącego stulecia.

W dalszym ciągu autor opisuje kilka cenniejszych rękopisów, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmuje Pismo św. z pierwszej połowy XII w. (po r. 1136), spisane po łacinie, a ozdobione wielce kunsztownymi inicyałami przeważnie w stylu romańskim. Inicyały te mogą zaciekawić nie tylko historyka sztuki, ale nawet dziejopisarza kultury: oto jeden z nich przedstawia osobę duchowną w owoczesnym stroju, inny przekonywa nas o używaniu dzwonków, jako instrumentu muzycznego, przez duchowieństwo w kościołach, o czem pisze św. Hieronim już około roku 400 i t. d.

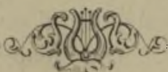
Mniej ciekawym jest Mszał: *Missale vetus*, zachowany w rękopisie z XIII lub XIV w., również jak i pierwszy, znacznie uszkodzony; godną uwagi jest tylko zapiska w kalendarzu, świadcząca, że Władysław Jagiełło zmarł 1 czerwca 1434 r., nie zaś 31 maja, jak przypuszczano. O *Graduale* z XVI wieku tyle tylko można powiedzieć, iż, jak okazuje napis na okładce, należał on prawdopodobnie do Erazma Ciołka, biskupa płockiego. Dalej opisuje autor t. zw. *Liber revelationum beate Brygitte*, rękopis, wykonany przez Jana Kłobuka zwanego Kropacz z Pragi czeskiej w r. 1400. Wreszcie ostatnim z szeregu rękopisów, wyszczególnionych przez p. Bersona, jest *Graduał* z roku 1365, ozdobiony pięknymi, pełnymi fantazyi i smaku estetycznego inicyałami, których wizerunki podaje autor na ostatniej tablicy; a co dla nas ważniejsza, w tekście łacińskim znajdujemy tu urywek pieśni polskiej w oryginalnej pisowni: „Chrystus zmartwich wstal ge, ludu prziclad dal ge, esz nam zmartwich wstaci sbogiem croleuaci. Kyrie". Dla historyka literatury szczegół to w książce p. Bersona najcenniejszy.

— *Wacław Sieroszewski (Sirko): Risztau.* Warszawa, 1899.— Jest to powiastka, a właściwie skreślone wprawnem piórem opowiadanie o przygodach młodego badacza przyrody Stanisława Wichlickiego, który usiłował dotrzeć do szczytów lodowca Risztau na południowo-zachodnich stokach Kaukazu. Postrzelony przez nieostrożnego, a zagorzałego myśliwca Jurka Strasiewicza, zmuszony był przez pewien czas leczyć się w domu jego matki, gdzie następnie zakochał się w sierocie Helenie, nawzajem rozbudziwszy w jej sercu tak silne uczucie, że, gdy wkrótce potem znalazł się w wielkiem niebezpieczeństwie na Risztau skutkiem oberwania się skały, dzielna dziewczyna zorganizowała wyprawę i razem z nią wyruszyła w bardzo niebezpieczną drogę w celu odszukania i uratowania ukochanego. Obok nader ożywionej fabuły spotykamy w opowiadaniu niezmiernie barwne opisy bujnej przyrody kaukaskiej i zajęć gospodarczych rodziny polskiej, osiadłej wśród gór, co, razem wzięte, czyni utwór p. Sieroszewskiego wielce zajmującym. Całość zdobią piękne illustracye Antoniego Kamieńskiego. *J. Nit.*

Sprostowanie.

W zeszycie sierpniowym w artykule „Belgijska wyprawa antarktyczna“ wkradły się następujące omyłki drukarskie:

Stronica:	*Wiersz:*	*Zamiast:*	*Powinno być:*
245	1 z góry	depeszami	deszczem
246	10 z dołu	omyłkę i skład	omyłkę: skład
255	12 „ „	olbrzym	olbrzymi
„	10 „ „	rozszerzone	rozsiane
262	7 z góry	Vagodroma	Pagodroma
„	7 z dołu	skupienia	skupienie
264	17 z góry	przykrej	pięknej



Bibliografia.

= **Biblioteka Warszawska,** zeszyt wrześniowy. Fr. Rawita-Gawroński, „Filip Orlik, jako hetman kozacki“, W Gostomski „Dramat Wagnerowski“, A. W. „Rozwój szkolnictwa ludowego w W. Ks. Poznańskiem i miasta Szląska w okresie 10-letnim 1886—96 r.“, A. Nowaczyński „Do Damaszku, szkic z literatury współczesnej.

= W ostatnich dwu zeszytach **Przeglądu Polskiego** (wrzesień, październik) znajdujemy prace następujące: „Burzę“, komedyę Szekspira z uwagami wstępnemi w przekładzie Wojciecha Dzieduszyckiego, „Z zakamarków XVII w.“ przez d-ra Feliksa Konecznego, „Bakchylides i jego pieśni“ przez Jana Kublińskiego, „O studyach Juliana Klaczki nad odrodzeniem“ prz d-ra Pawła Popiela, „Marya Kazimiera Sobieska, z powodu książki K. Waliszewskiego przez N. Wiktora Czermaka.

= **Przegląd Powszechny** z października r. b. zawiera „Z najnowszej literatury duńskiej, Joergeson“ przez T. W., „Młodą Polskę w powieści i poezyi“, „Nasi naturaliści“ (c. d.) przez prof. Antoniego Mazanowskiego.

= Na zeszyt III z r. b. **Kwartalnika Historycznego** składają się prace: Tadeusza Piniego „Źródła historyczne Irydyona Zygmunta Krasińskiego“, Ludwika Finkla, „Polityka polska w sprawie węgierskiej w r. 1528“, M. Schorra „Organizacya Żydów w Polsce od najdawniejszych czasów aż do r. 1772“.

= **Przewodnik Naukowy i Literacki** we wrześniu i październiku pomieszcza w dalszym ciągu „Korespondencyę Józefa Bohdana Zaleskiego“, „Nowy Sącz w epoce Wazów“ przez ks. J. Sygańskiego, „Zarys pojęć o narodzie“ przez J. Snitkę, a także „Do dziejów poczty w Polsce“ przez J. B. Chołodeckiego.

= W Krakowie zaczął wychodzić miesięcznik, poświęcony zagadnieniom i wykształcenia, czytelnictwa i samouctwa p. t. **Oświata** i kierunek literacki nowego czasopisma spoczywa w ręku W. M. Kozłowskiego.

= Ostatni numer **Życia** z dnia 22 września (№ 17—18) zawiera prace oryginalne następujących autorów: Stan. Przybyszewskiego „Fragment“, Stan. Wyrzykowskiego „Amorosissima“ (wiersz), Ewy Łuskiny „Opętani miłości“, Dagny Przybyszewskiej „Kiedy słońce zachodzi“ (fragment dramatyczny), oraz wiersze Stan. Brzozowskiego, Wład. Jarzębskiego, Tadeusza Micińskiego, Cezarego Jellenty, Jerzego Żuławskiego.

= **Biblioteka dzieł wyborowych** daje swym czytelnikem w ostatnich tomikach: P. Chmielowskiego „Historyę literatury polskiej“ tom II (wiek XVII—XVIII), Sylweryusza Kondratowicza „Całą siłą!...“ powieść z przedmową T. Jeske-Choińskiego, Gustawa Dolińskiego „Jak u nas chowano dzieci, zarys dziejów pedagogii polskiej“ z przedmową Juliana Ochorowicza i A. Seidla „Transwaal i Boerowie“ przekład Włodzimierza Trąmpczyńskiego z przedmowę Juliana Ochorowicza.

= **Kuryer Codzienny** w kwartale III dodaje III tom „Pism“ J. Słowackiego z przedmową P. Chmielowskiego.

= **Potkański Karol.** Studya nad XIV w. № IV i V: „Walka o Poznań 1305—1312)“, „Zdrada Wincentego z Szamotuł“, Kraków, 1899.

= **Dzieje powszechne ilustrowane,** wydawane przez Franciszka Bondego, zeszyt 263—280, Wiedeń.

= **Brandes Jerzy.** Lwów, z upoważnienia autora przełożyła z oryginału Józefa Klemensiewiczowa, Lwów, 1900.

= **Caro Jak.** dr. prof. Dzieje Polski, z języka niemieckiego przełożył Stan. Mieczyński, tom V 1455—1480, Warszawa, 1899.

= **Krzyżanowski Stanisław.** O sejmikowaniu mieszczaństwa krakowskiego (odbitka z roczn. krak.), Kraków, 1899.

= **Nowodworski Michał ks.** Encyklopedya kościelna, tom XXIII (Radziwiłł—Rythovius) Warszawa, 1899.

= **Pepłowski Stan. Schnür.** Szkice historyczne, Lwów, 1900.

= **Piekosiński Franciszek.** Statut litewski, część I, Kraków, 1899.

= **Talko-Hryniewicz J. N.** Materyały do paleontologii mogił Azyi wschodniej, II, Kraków, 1899.

= **Wolski K. Saryusz.** Album konfederacyi barskiej, 1768 — 1772, Kraków, 1899.

= **Jezienicki M. dr.** Celniejsze utwory łacińskie Janickiego, Kochanowskiego, Sarbiewskiego ze wstępem i objaśnieniami, cz. I—II, Lwów, 1898—99.

= **Estrejcher K.** Bibliografia polska tom XVII (G), Kraków, 1899.

= **Manteuffel Gustaw.** Dorpat i były uniwersytet Dorpacki, Lwów, 1899.

= **Pepłowski Stan. Sehnür.** Z papierów po Fredrze, przyczynek do biografii poety, Krakow, 1899.

= **P. Chmielowski.** Metodyka historyi literatury polskiej, zeszyt III Dodatek do „Przeglądu Pedagodicznego“), Warszawa, 1899.

= **Walczak Fr.** Lucyan Siemieński i jego stanowisko w literaturze polskiej (Sprawozdanie dyrekcyi c. k. gimnazyum w Bochni za rok szkolny 1899), Bochnia i Kraków, 1899.

= **Szymonowicz Szymon.** Wybór poematów łacińskich, wydał dr. Wiktor Hahn, Kołomyja, 1899.

= **Tretiak Józef prof.** Cześć Mickiewicza dla Najświętszej Panny, wyd. 2-gie, Kraków, 1899.

= **Bardzki Artur.** Czynsze wieczyste w Warszawie, Warszawa, 1899—1900.

= **Domański Władysław.** Teorya ekonomii politycznej, Warszawa, 1899.

= **Boeticher Ad.** Die Bau- und Kunstdenkmäler der Provinz Ostpreussen, Heft IX, Königsberg, 1899.

= **Jelski Aleksander.** Wiadomość historyczna o fabryce szkieł i zwierciadeł ozdobnych w Urzeczu Radziwiłłowskiem na Litwie, Kraków, 1899.

= **Odrzywolski Sławomir.** Renesans w Polsce, zabytki sztuki z w. XVI i XVII w Krakowie (po polsku i po niemiecku), Wien, 1899.

= **Łopaciński Hieronim.** Z dziejów cechu mularskiego i kamieniarskiego w Lublinie, Kraków, 1899.

= **Flatau Edward dr.** Ustrój nerwowy w świetle najnowszych badań, rzecz przeznaczona na odczyt na VIII zjeździe lekarzy i przyrodników polskich w Poznaniu, Warszawa, 1899.

= **Ziehen F. dr.** Zasady psychologii fizyologicznej w 15 wykładach z przedmową Ad. Mahrburga, Warszawa 1900.

= **Sieckfeld G.** Wiadomości praktyczne o motorach gazowych, przekład z niem. inż. Emila Schoenfelda, z dodaniem opisu budowy motorów, Warszawa, 1899.

= **Jakubowicz Stanisław.** Samoprząśnica (Selfactor), studyum teoretyczno-praktyczne, Warszawa, 1899.

= **Rostafiński Józef dr. prof.** Botanika szkolna na klasy niższe, wyd. 4-te, Kraków, 1899.

= **Hauptmann Gerhart.** Kolega Crampton, przekład Ludwika Germana, Warszawa, 1900.

= **Haggard Rider H.** Ona, przekład z ang. przez Maryę Goltz.

= **Machar Jan.** Magdalena, przełożył z czeskiego Adam M-ski, z przedmową A. Langego, Warszawa, 1900.

= **Negri Ada.** Pieśni Niedoli (fatalita), Burza (Tempeste), tłómaczył Gabor, Warszawa, 1899.

= **Kłopotowska Anna.** Jeszcze rymy! Warszawa—Kraków, 1899.

= **Sterling Kazimierz.** Dramaty, Warszawa, 1900.

= **Komornicka Marya.** Baśnie—Psalmodye, Warszawa, 1900.

= **Laskowski Kazimierz.** (El.), Wiersze, Warszawa, 1899.

= **Ognisko domowe.** Kalendarz popularny ilustrowany na rok jubileuszowy 1900, Warszawa, 1899.

= **K. Laskowski.** Dla zabicia czasu (humoreski), Warszawa, 1900.

= **D. M. J.** Twarda dola, współczesny dramat społeczny w 4-ch aktach, Kraków, 1899.

= **Faleński F.** Utwory dramatyczne Felicyana, tom III, Kraków, 1899.

= **Kosiakiewicz Wincenty.** Hallali, powieść, Warszawa, 1899.

= **Lange Antoni.** Wybór poezyi (Biblioteka Mrówki, 350 — 351), Lwów, 1899.

= **Rodoć M.** Satyry i fraszki, wyd. 2-gie, Kraków, 1899.

= **Szczepański Ludwik.** Pieśni i hymny. (Biblioteka Mrówki 338 — 339), Lwow, 1899.

= **Wyspiański Stan.** Klątwa, tragedya, Krakow, 1899.

= **Delmer Louis.** Des chemins de fer. (Les livres d'or de la science № 16), Paris, 1899.

= **Armellini.** Lezioni di archeologia cristiana, Roma.

= **Clare Israel.** Library of universal history: containing a record of the human race from the earliest historical period to the present time; embracing a general survey of the progress of mankind in national and social life, civil government, religion, literature, science and art; with an introd. by Moses Tyler. In 8 vols. V. I. Ancient oriental nations, New-York.

= **Forster John.** The life of Charles Dickens, London.

= **Heigel K. T.** Deutsche Geschichte vom Tode Friedrichs d. Gr. bis zur Auflösung des alten Reichs. 1 Bd. Vom Tode Friedrichs d. Gr. bis zum Feldzug in in der Champagne (1786—1792), Stuttgart.

= **Mahan A. F.** Influence de la puissance maritime dans l'histoire, Paris.

= **Marion M.** La Bretagne et le duc d'Aiguillon, Paris.

= **Bornstein Paul.** Die Dichter des Todes in der modernen Literatur, Berlin.

= **Fischer Andr.** Goethe und Napoleon, Frauenfeld.

= **Goethe's** Faust in ursprünglicher Gestalt, nach der Göchhauseuschen, Abschrift hrsg. von Erich Schmidt, 4 Ausg. Weimar.

= **Grimm Herm:** Goethe. Vorlesungeu, 6 Aufl. Berlin.

= **Grossheim Emil.** Lexicon zur Goethe-Litteratur, Quakenbrück.

= **Kluge Friedrich.** Geschichte der englischen Sprache, 2 Aufl., Strassburg.

= **Marschal Emma.** Shakespeare and his birthplace. London.

= **Walters Cumming.** The mystery Shakespeare's sonnets, London.

= **Wiese u. Pèrcopo.** Geschichte der italienischen Litteratur von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart, Leipzig.

= **Berndt Paul.** Die Arbeitslosigkeit, ihre Bekämpfung und Statistik, Berlin.

= **Steffen G. F.** England als Weltmacht und Kulturstaat, Studien über politische, intellektuelle und ästhetische Erscheinungen im britischen Reiche. Aus dem Schwed. von Osc. Reyher, Stuttgart.

= **Stettson Charlotte Perkins.** Women and economics. A study of the economie relation between men and women as a factor in social evolution, London.

= **Letters** of Richard Wagner to Emil Heckel. With a brief history of the Beyreuth festivals, translated and indexed by William Ashton Ellis, London.

= **Prüfer Arth.** Die Bühnenfestspiele in Bayreuth m. besond. Berücksicht. der Aufführungen v. 1899, 6 Vorträge, Leipzig.

= **Rabelais** et l'oeuvre de Jules Garnier (160 gravures), Paris.

= **Barnet P. A.** Common sense in education and teaching: an introduction to practise, New-York.

= **Kritische Bibliographie** aller Länder über die Neuigkeiten der Philosophie, Metaphysik, Psychologie u. den Okkultismus. Hrsg. von Paul Zillman, Zehlendorf.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, na zasadzie § 23 lit. *l* Ustawy Towarzystwa ogłasza niniejszem na rok 1900 konkurs na wykonanie szkicu plastycznego na fontannę (wielkość dowolna), mającą stanąć na skwerze przed gmachem Towarzystwa, na rogu ulic Królewskiej i Mazowieckiej.

Za projekty najlepsze, mające istotną wartość artystyczną, przeznaczone są 3 nagrody pieniężne, mianowicie: 250, 150 i 100 rubli. Dzieła nagrodzone staną się własnością Towarzystwa.

Deklaracye w formie zwyczajnej korespondencyi, ze wskazaniem w nich dokładnego adresu, należy nadesłać pod adresem Komitetu Towarzystwa przed 15 stycznia 1900 r.

Prace konkursowe winny być nadesłane do lokalu Wystawy Tow. najpóźniej do dnia 25 stycznia 1900 r. do godziny 3-ej po południu.

Sąd konkursowy odbędzie się podług regulaminu, ustanowionego dla konkursów Towarzystwa.

Koszt transportu dzieł konkursowych, nie przenoszących wagi 10 pudów, pociągiem zwyczajnym nadesłanych i opłatę cła od przysłanych z zagranicy, o ile dzieła te zostaną przyjęte przez Cenzurę rządową i delegacyę Sądu konkursowego, ponosi Towarzystwo.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Октября 1899 г.

Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna.*
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*